B 33295

Импровизации

707731

DZIEŁA JANA KASPROWICZA

XXII

JAN KASPROWICZ

DZIEŁA

POD REDAKCJĄ
STEFANA KOŁACZKOWSKIEGO

TOM XXII

WYDAŁ WOJCIECH MEISELS
1930

JAN KASPROWICZ

PISMA PROZĄ

IV

KRAKÓW
1930

Biblioteka Wydziału Zaocznego
W. S. P.
Kraków
B
33295

UP - Kraków BG
1050210530

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

ROZPRAWY I PRZEMÓWIENIA TREŚCI SPOŁECZNEJ

ŻYCIORYS KAROLA MARCINKOWSKIEGO

I.

Kiedy w Poznaniu 1865 r. obchodzono dwudziestopięcioletni jubileusz „Towarzystwa pomocy naukowej im. Karola Marcinkowskiego", jeden z najznakomitszych obywateli wielkopolskich, Hipolit Cegielski, wyraził się wówczas o założycielu tegoż Towarzystwa w sposób następujący:

„...jednej rzeczy, Panowie, przedewszystkiem powinszować sobie możemy i powinniśmy. Oto tego, żeśmy usłuchali głosu i poszli za przykładem Męża, który pierwszy najjaśniej pojął zadanie nad którem teraz wspólnie pracujemy. Towarzystwo, którego jesteśmy członkami, stworzył i na tych samych postawił zasadach i warunkach, które mu nadały tę wielką i niezmienną wartość, oraz rękojmię jego żywotności i trwałości. On to, po krótkiem ale jasnem rozpatrzeniu się w stosunkach świata i narodów, pojął z bystrością sobie właściwą, że narodowi, co upadł ciemnotą, opuszczeniem i luźnością wszystkich warunków życia publicznego, potrzeba przedewszystkiem oświaty i idącej z nią w parze pracy pojedynczej równie jak zbiorowej; on to zrozumiał, że w lepszem wychowaniu dzieci naszych i gruntownej nauce młodzieży leży jedyna, ale pewna rękojmia lepszej przyszłości tak tejże młodzieży samej, jak społeczności, z której ona wychodzi; on to zrozumiał, że kto dziś nie przyczynia się do pracy społecznej światłem należytem i udziałem czynnym, indywidua równie, jak narody, ten silnem postępem czasu zdeptany, wyrzucony i na zmarnienie wystawiony być musi. W tej to myśli, w tym szerokim, a dalekim poglądzie założył on Towarzystwo nasze: w tem to najwyższa i najszlachetniejsza jego zasługa..."

I rzeczywiście, Karol Marcinkowski przyczynił się niemało do rozwoju duchowego, i dobrobytu Wielkopolski, jemu zawdzięcza ta prastara dzielnica piastowska, że posiadając przez jego towarzystwo wytworzony poważny zastęp inteligencji, broni się dotychczas, pomimo przeważającej pod każdym względem siły nieprzyjaciela, przeciwko wynarodawiającym żywiołom pruskim. Dlatego też zrozumiałą jest rzeczą, że do najwspanialszych obchodów, jakie w ostatnich świeciliśmy czasach, zaliczyć należy i uroczystość pięćdziesięcioletniej rocznicy założenia „Towarzystwa pomocy naukowej im. Karola Marcinkowskiego".

Obchodzono ją jedynie w Wielkopolsce; kordony bowiem mimowoli osłabiają w nas poczucie wspólności plemiennej. Galicja nietylko urzędownie uważa się za kraj odrębny, i jako taka występuje zarówno w stosunku do innych ludów monarchji rakuskiej, jak niestety! bardzo często i w stosunku do innych prowincyj dawnej Polski. Zapominamy, a przynajmniej zbyt mało pamiętamy o tem, że, jakkolwiek podzieleni na części, jedno stanowimy ciało, że, pracując w jednej dzielnicy, pracujemy dla przyszłości, która nie będzie znała granic, i że to, co jednych boli dziś lub cieszy, i drugich boleć lub cieszyć powinno. Echo uroczystości wielkopolskiej odbiło się i w Galicji, zbyt jednak słabo, ażeby ogół nasz dowiedział się, kto był Marcinkowski i co dla dobra społeczeństwa swojego uczynił. Towarzystwo nasze, wydając niniejszą książeczkę, pragnie w tym względzie przyjść ogółowi z pomocą i w krótkich zarysach przedstawić mu działalność męża, któremu, gdy Wielkopolska wyjdzie już całkowicie zwycięsko z walki z uciskiem krzyżackim, zasługę tego zwycięstwa w znacznym stopniu przypisać będzie trzeba.

Jan Karol Marcinkowski urodził się 23 czerwca 1800 w Poznaniu, na przedmieściu świętego Wojciecha, gdzie rodzice

jego niewielki posiadali domek. Ojciec trudnił się z początku furmankami, co wobec ówczesnych stosunków komunikacyjnych niezłe przynosiło dochody. Uzbierał on też, jak na przedmieszczanina, znaczny, zdaje się, majątek, kiedy, idąc za wrodzonym nam Polakom popędem do rolnictwa, furmanki porzucił, a jął się po dzierżawach uprawy ziemi. Interesa jednak w gospodarstwie niezbyt dobrze mu się powiodły, umarł bowiem (w r. 1812), straciwszy przeważną część swego dobytku. Matka, wróciwszy z resztkami fortuny do Poznania, otworzyła szynk i traktjernię w domu, w którym Karol ujrzał był światło boże. Jak długo zajmowała się tym nowym dla siebie procederem, nie wiadomo; w chwili zaś, gdy syn, dając folgę uczuciom patrjotycznym i najwspanialszy spełniając obowiązek, pospieszył na powstanie listopadowe, znajdujemy ją u córki w miasteczku Buku, gdzie jako 73-letnia staruszka bogobojnego dokonała żywota.

Z pięciorga dzieci Karol najlepsze odebrał wychowanie; musiał być zatem ulubieńcem rodziców. Po ukończeniu szkoły reformackiej (normalnej) oddano go bowiem do liceum poznańskiego, które wówczas pod rektoratem ks. Gorczyczewskiego w kwitnącym znajdowało się stanie. Liceum, noszące dziś nazwę gimnazjum św. Marji Magdaleny (od r. 1834), zasługuje ze wszech miar, aby choć kilkoma słowy poznajomić czytelnika z jego losami. W r. 1573 przerobione przez jezuitów ze szkoły elementarnej, istniejącej już w początkach XIV wieku, na gimnazjum, wychowało ono cały szereg ludzi, którzy wybitne w społeczeństwie polskiem zajmowali stanowiska. Nie było w Wielkopolsce znakomitszego człowieka, któryby rozwoju swego nie zawdzięczał tej starożytnej szkole. I dzisiaj jeszcze wszystko, co znaczniejszą odgrywa w Księstwie Poznańskiem rolę, z tego a nie z innego wyszło zakładu. Wychowańcy gimnazjum św. Marji Magdaleny odznaczali

się zawsze wysoce rozwiniętem poczuciem obywatelskiem, w chwilach też stanowczych, kiedy szło o czynną narodowej sprawy obronę, uczniowie rzucali tłumnie ławki szkolne i spieszyli na pole bitwy, wojenne zdobywać sobie wawrzyny. Tak było za legjonów Dąbrowskiego w którym to czasie liczba uczniów zmniejszyła się do 150 niedorostków; tak było w r. 1830, 1847, i nareszcie w nieszczęśliwych a wiekopomnych dniach wybuchu powstania styczniowego.

Komisja Edukacyjna, która powstała, jak wiadomo, z serca i głowy tych wielkich w ubiegłym wieku mężów, którzy, widząc upadający naród, chcieli go podnieść za pomocą oświaty, zmieniła gimnazjum na „szkołę narodową", a Prusacy, owładnąwszy po ostatnim rozbiorze Wielkopolską, znowu na swoją przeobrazili je modłę, nadając mu pod zarządem rektora Wolframa charakter zupełnie niemiecki. W czasie, kiedy Marcinkowski przestąpił progi instytutu, to jest za dni Księstwa Warszawskiego, polepszyły się warunki zakładu, nazwanego odtąd „szkołą departamentową". Ks. Gorczyczewski, kanonik poznański, przedtem rektor szkoły kaliskiej, gorąco ukochał sprawy ojczyste; pierwszą też jego po objęciu kierownictwa pracą było rozpędzenie kolegjum niemieckiego, a zastąpienie go ciałem nauczycieli polskich. Za jego rządów jak i za dyrektorstwa jego następcy, ks. Przybylskiego, rozwinął się zakład i co do ilości uczniów, która wzrosła do liczby 300, a wszyscy, wyrastając z wieku chłopięcego, poczęli żywo odczuwać potrzebę reorganizacji przygnębionego społeczeństwa, objawiając uczucia swoje narodowe niejednokrotnie w sposób demonstracyjny na zewnątrz, jak n. p. podczas przewiezienia z Francji zwłok króla Stanisława Leszczyńskiego.

Młodzież stanowiła wtedy uszlachetniający rozczyn wśród zdemoralizowanego pokolenia starszego, rwała się od książki do czynu, a jeżeli nie było pola dla ujścia zapału wśród szczęku

orężów, wtedy manifestacjami budziła uśpionego ducha. Do rzędu tych objawów uczuć szlachetnych należy oprócz wzmiankowanego powyżej uczestnictwa w sprowadzeniu zwłok króla Stanisława, eskortowanych przez jenerała Sokolnickiego, także i wręczenie pierścieni pamiątkowych z wizerunkami Poniatowskiego, Napoleona i Kościuszki, ulubionym szkoły poznańskiej profesorom, Janowi Trojańskiemu, Józefowi Muczkowskiemu i Józefowi Królikowskiemu, za ich zasługi, położone około odpierania silnych już wówczas zapędów germanizacyjnych. Było to za rektoratu Kaulfussa, na kilka lat przed wybuchem powstania listopadowego. Skutki tego kroku były wprawdzie niepomyślne: profesorów usunięto, bojąc się zbytecznego ich wpływu na młodzież, a i Kaulfussa, człowieka sprawiedliwego, sprzyjającego uciemiężonym Polakom, przeniosły władze pruskie do okolic niemieckich. Nikomu jednak nie śniło się potępiać młodzieży za ten krok, świadczący o szlachetności umysłu i o wdzięczności serca. Nikt też nie miał powodu zarzucać jej, że oddając się „sprawom, nie mającym nic wspólnego z nauką", zaniedbuje zagon, „na którym przedewszystkiem pracować powinna"; z gimnazjum poznańskiego bowiem wychodzili i pod tym względem ludzie najdzielniejsi; dość przytoczyć na dowód tego fakt, że w przeciągu niespełna lat pięciu (od r. 1825—29) siedmiu wychowańców szkoły tej otrzymało na rozmaitych uniwersytetach (w Berlinie, Wrocławiu i Warszawie) odznaczenia za świetne rozwiązanie zadań konkursowych.

Do najlepszych uczni zaliczał się i Marcinkowski; pilność i talent zjednały mu miłość i szacunek nietylko śród profesorów i kolegów, ale także i śród innych dalej stojących ludzi, którzy okazywali gotowość zaopiekowania się jego losem. Do przyjaciół młodego Karola należał pomiędzy innymi ówczesny namiestnik WKsięstwa Poznańskiego, ks. Antoni

Radziwiłł, znany mecenas nauki i sztuk pięknych, u którego bawił także Fryderyk Chopin. Książę Radziwiłł, ożeniony z księżniczką pruską, zostawszy po oddaniu WKs. Poznańskiego na mocy traktatów wiedeńskich z r. 1815 w dziedzictwo króla pruskiego, namiestnikiem tej dzielnicy dawnej Polski, dobrą po sobie pozostawił pamięć. Jakkolwiek urzędnikiem był rządu zaborczego, starał się jednak wszelkiemi sposobami o złagodzenie doli nieszczęśliwego społeczeństwa, stawiał tamę objawiającym się zakusom germanizacyjnym, co mu jako spokrewnionemu z dworem uchodziło, tworzył instytucje dobroczynne publiczne, a nadewszystko, wiedząc, że rozwój kraju zależy od stopnia wykształcenia jego mieszkańców, przygarniał do siebie uczącą się młodzież, zachęcając ją do pracy i słowem życzliwem i czynną pomocą. Śród wychowańców gimnazjum poznańskiego, bywających w gościnnym domu Radziwiłłów, znajdował się i Marcinkowski. Czy i o ile potrzebował wsparcia namiestnika wobec nieświetnych zapewne stosunków majątkowych matki, nie wiemy; w każdym razie rzeczą jest pewną, że idąc na uniwersytet, przyjął zapis jednego z obywateli wielkopolskich, Eustachego Grabskiego, który, zachwycony zdolnościami i pracowitością Karola, przekazał mu kodycylem znaczniejszą kwotę (1817 talarów) na studja.

Nagradzany kilkakrotnie, ukończył Marcinkowski kursa gimnazjalne r. 1817 z wyszczególnieniem, a pożegnawszy w auli zakładu, jak to istnieje dotychczas jeszcze zwyczaj w gimnazjach pruskich, mową łacińską współuczniów i profesorów, zwrócił kroki swoje ku Berlinowi, aby tamże przygotować się do zawodu lekarskiego, który sobie obrał, porzuciwszy za poradą szlachetnego rektora Kaulfussa pierwotny zamiar poświęcenia się studjom językoznawczym. Pobyt jednak na wszechnicy berlińskiej nie był usłany różami.

Z jednej strony trapił go brak środków, z zapisu bowiem Grabskiego wypłacono mu z niewiadomych przyczyn zaledwie 650 talarów, a więc trzecią część przekazanej sumy, — musiał więc wskutek tego zarabiać lekcjami na życie; z drugiej zaś strony zaczęła się rozwijać choroba piersiowa, której zarodki posiadał już dawniej w sobie. Temperamentu żywego, a nawet krwistocholerycznego, jak świadczy o tem dokument szkolny, był Marcinkowski pod względem fizycznym słabo rozwinięty: męczył go ustawiczny katar płuc, który, jak to zobaczymy w dalszym ciągu opowiadania, zamienił się w gruźlicę płucową, przecinającą ostatecznie pasmo dni jego. Z powodu wątłego zdrowia przerwał młodzieniec za poradą profesora swego, Berendta, studja lekarskie i pospieszył na kilkutygodniowy pobyt do zdrojowisk salcbrunskich. Choroba nie wpłynęła jednak na humor jego; nie opuściła go też poezja, która, zmieniwszy się w najwspanialsze cnoty obywatelskie i humanitarne porywy, przekształcające się w pomnikowe czyny, szlachetnemu żywotowi jego blask nadawała uroczy.

Jadąc do miejsca kąpielowego, w liście pisanym do kolegów, z naiwną opowiada prostotą wrażenia swoje. Tu podoba mu się jakieś miasteczko dlatego nadewszystko, że jest w niem dużo ładnych dziewczyn, tam znowu cieszy się, że mógł się napawać winem zielono-górskiem, znanem ze swej cierpkości; gdzieindziej znowu delektuje się stodołą przekształconą na teatr, mającą w jednym końcu sceny, na której „*koeniglich privilegierte Butenopsche Schauspielergeselschaft*“ grywają prawie codzień, najwięcej komedje, a czasem tragedje i opery“, a w drugim stajnie dla koni: — „jaskółki i wróble świergocą na dachu i powiększają muzykę orkiestry z pięciu trąb i jednego fagotu składającą się“.

Pobyt w Salcbrunie, jakkolwiek złagodził cierpienie, nie usunął go jednak całkowicie. Zresztą było to prawie niepodo-

bieństwem u młodzieńca tak wrażliwego, jak Marcinkowski. Na wszechnicy w Berlinie śledził on, mając, jak to mówią, ucho na pulsie życia narodowego, bieg wypadków ówczesnych, tak bogatych w światła i cienie; wrażeniami swojemi dzielił się z gronem młodzieży polskiej, skupiającej się około niego, stwarzał ruch i życie, które popychały młodzież na tory agitacyj politycznych, opłacanych potem celą więzienną. Nie ominęła ona i Marcinkowskiego: za należenie do tajnego stowarzyszenia akademickiego „Polonia", które, jak mówi bezimienny współczesny biograf Karola, miało na celu *„budzić pomiędzy uczniami ducha patrjotyzmu i poświęcenia dla ojczyzny, a równocześnie zachęcać ich do pilności w naukach"* — owoż za współudział w związku tym skazany został (1822 r.) na sześcio-miesięczną twierdzę. Karę tę odsiedział Marcinkowski, przebywszy przedtem jeszcze ośm miesięcy w więzieniu śledczem, w wilgotnej twierdzy Wisłoujście pod Gdańskiem. Pomijając już to, że wyrok sądów pruskich spowodował zwłokę w studjach, wilgotna kaźń nadbałtycka wpłynęła nader niekorzystnie na stan jego zdrowia. Wtedy to właśnie katar płucowy przybrał charakter choroby gruźlicznej.

Marcinkowski, karany w młodzieńczym wieku, za „poryw konspiratorski", nie był zwolennikiem ruchu: wyznawał on zasady pracy organicznej, pojętej atoli w sposób najszlachetniejszy. Nie głosił on nigdy zasady dzisiejszych naszych menczesterystów, że majątek jednostki jest majątkiem całego społeczeństwa, i co za tem idzie, nie zachęcał nigdy do gromadzenia i duszenia kapitałów w kasach żelaznych, ale nawoływał społeczeństwo całe do wspólnej, mrówczej pracy, do pomagania sobie wzajemnego, do składania zebranych groszy na ołtarzu dobra publicznego. Atoli głosząc potrzebę spokojnego oddania się zabiegom około rozwoju narodu, nie rzucał na wzór dzisiejszych naszych liberalnych i konserwatywnych

„organiczników", kamieniem potępienia na najszlachetniejsze porywy społeczeństwa, na jego ruchy zbrojne, które, aczkolwiek nie wywalczyły nam niezależności politycznej, to sławę naszą rozniosły po całym świecie, i imieniu polskiemu taki nadały urok, że na zachodzie „Polak" był wcieleniem bohaterstwa, rycerskości i wszelkich cnót wspaniałych, jakiemi stoją narody.

Sam przecież, jak to zobaczymy na dalszych stronicach tej książki, nie wahał się ani na chwilę pożegnać matkę-staruszkę, porzucić praktykę lekarską i pospieszyć na pole walki, gdy łuna nocy belwederskiej powołała do czynu mieszkańców ziemi, tratowanej kopytami koni tatarskich, niszczonej przez zagony szwedzkie i kozackie, hańbionej przez najezdniczych Prusaków i Moskali. Z Marcinkowskim poszli także ojcowie dzisiejszych apostołów pogodzenia się z losem, ściągających to pogodzenie się aż do najnędzniejszego lokajstwa, albo do oddawania na pastwę potwora kolonizacyjnego zbroczonej krwią i potem roboczego ludu pszenicznej gleby rodzinnej. Z Marcinkowskim razem konspirowali oni przed wybuchem powstania, tworzyli loże masońskie, z których wychodziły potężne hasła odrodzenia, i pokutowali za ten „grzech pierworodny narodu polskiego", w twierdzach pruskich.

Za ogólną „robotą" ówczesną nie pozostała bowiem i Wielkopolska, co więcej stawała niejednokrotnie na czele knowań patrjotycznych. W Wilnie, pomiędzy młodzieżą akademicką tworzą się tajne stowarzyszenia promienistych filaretów, z których życia czerpie największy z poetów naszych treść do pierwszych utworów swoich; młodzież prześladowana przez dzikich satrapów mongolskich, trawi najlepszy czas swój w wilgotnych murach klasztornych, pozamienianych na więzienia, albo kibitkami odwożoną bywa w głąb Rosji, lub do kopalń sybirskich, opromienionych później tęczowemi bła-

skami poezji Anhellego. Echa tej muzyki wspaniałych lotów młodzieńczego ducha, kończące się przejmującym serce, tragicznym rozdźwiękiem, dolatują i nad Spreję, do stolicy Prus, gdzie się kształcą młodzi Wielkopolanie, ale zamiast odwodzić ich od czynów, które gotują prześladowanie, zapalają ich również do łączenia się w kółka tajemne i rozbudzania w sobie i wzmacniania uczuć obywatelskich. Wobec tego, że w czasie, gdy odkryto związek „Polonia", bawił w Berlinie dawniejszy filaret, Franciszek Malewski, nie ulega wątpliwości, że Marcinkowski, skupiając około siebie wszystkich prawie rodaków, współkolegów, tajne to stowarzyszenie założył pod wpływem ruchu, jaki panował był we Wilnie.

Zresztą był to wogóle czas konspiracyj. W całym kraju kwitły przed wypadkami listopadowemi tak zwane loże wolnomularskie i węglarskie, zawiązane na wzór rewolucyjnych karbonarich włoskich i masonów francuskich przez głośnego Łukasińskiego. W Wielkopolsce organizacją ich zajmuje się Ludwik Szczaniecki, a na czele jawnych nieomal związków, zwanych „gminami kosynierów", staje jenerał Mielżyński. Po reorganizacji tych stowarzyszeń i po porozumieniu się z Warszawą, która, wskutek zbyt otwartego działania Wielkopolan, zerwała z nimi stosunki, naczelnictwo „towarzystwa patrjotycznego narodowego" — bo taką przybrały nazwę zjednoczone loże — oddano w rękę jenerała Umińskiego, a głównymi jego podporami stali się Wielkopolanie: Arnold Skórzewski, Karol Stablewski, Maciej i Seweryn Mielżyńscy. Zasłużeni mężowie ci, wywierali na bieg spraw ówczesnych wpływ znamienity, a usługi oddawane społeczeństwu odpokutowali, tak samo, jak młodzieńczy Marcinkowski, więzieniem. Przyjęły ich w „gościnne" mury swoje twierdze Torunia, Głogowa, Gdańska i Kłodzka.

Marcinkowski, odsiedziawszy karę, powrócił do Berlina,

i tu w roku 1823 uzyskał po obronie rozprawy *de fontibus indicationum generatim* i po zdaniu świetnego egzaminu państwowego, stopień doktora wszech nauk lekarskich i prawo rozpoczęcia praktyki, która tak błogo miała zapisać się później w pamięci uboższych zwłaszcza mieszkańców Poznania i jego okolic.

Działalność, jaką odtąd rozpoczął, dzieli się, jak powiada Cegielski, z wypadkiem czasów na dwie odrębne epoki: przedrewolucyjną i porewolucyjną. Jest to ten sam mąż, ten sam lekarz i obywatel w jednej i drugiej; atoli działanie w obudwóch o tyle jest różne, o ile się sceny czasowe zmieniły. W pierwszej przeważał o wiele charakter lekarza; w drugiej ubiegał się, że tak powiem, lekarz z obywatelem kraju. Dwa te charaktery ważyły się, powiem raczej, równoważyły się ciągle, a emulacja ta, jak każda emulacja szlachetna, szlachetne wydała owoce.

Ale o działalności tej w rozdziale następnym.

II.

Po ostatnim Rzeczypospolitej rozbiorze którego akt podpisano 19. października 1795 r., dzisiejsze Wielkie Księstwo Poznańskie przeszło wraz z Warszawą pod panowanie pruskie. Chytrzy potomkowie krzyżaków, chcąc kraj jak najprędzej zniemczyć, jak to się stało z biegiem czasu z innemi ziemiami słowiańskiemi, na których wyrosła potęga Hohenzollernów, wiedzieli, od czego robotę swoją zacząć. Znikczemniałe za dni Augustów Saskich i Poniatowskiego społeczeństwo szlacheckie, nie posiadające w sobie żadnego już prawie poczucia obywatelskiego, hołdujące jedynie obżarstwu i opilstwu, pragnęli nowi zdobywcy zdemoralizować do szczętu. Warszawa była w owym czasie terenem najpodlejszego bezprawia ze strony rozpasanej,

samolubnej szlachty; potomkowie najpierwszych rodzin polskich walali się w brudzie karczemnej rozpusty. Złota młodzież była postrachem spokojnych, biednych mieszkańców dawnej stolicy Polski. Po spędzonych na pijaństwie nocach uherbowani panicze, wracając do domu, napadali na przechodniów, tłukli szyby po domach, a patrjotyzm swój okazywali w ten sposób, że bili policjantów, albo krępowali sznurami szyldwachów pruskich, wzywających podochoconą tłuszczę do zachowania się w spokoju.

Gubernatorem był wówczas jenerał Koehler, człowiek rozumiejący znakomicie intencje rządu swego: na wybryki wszelkiego rodzaju patrzał przez palce, będąc przekonanym, że im więcej naród upadnie pod względem obyczajowym, tem łatwiej nałożyć jarzmo niewolnicze na kark jego. Cała jego procedura karna przeciwko rozbijającym się młodym Potockim Kalinowskim Radziwiłłom, Oborskim, Górskim, Dąbskim, Rostworowskim, Kickim, Ostrowskim, Zawiszom, Łąckim, Potkańskim, Przyrzychowskim, Jezierskim, Tyszkiewiczom. Przeździeckim, Tolińskim, Łopotom, Cichockim, Krasińskim, Karśnickim, Koszyckim, Bielińskim, Kwińskim, Morlinim, i jak się tam jeszcze nazywali nadawający wówczas ton Warszawie młodzieńcy — owóż cała procedura karna jenerała Koehlera zasadzała się na tem, że z łagodnym uśmiechem na ustach dawał im lekkie napomnienia, albo posyłał adjutanta swego do rodziców ich lub żon z ostrzeżeniem, że, jeżeli synowie lub mężowie się nie poprawią, wtedy będzie zmuszony pozamykać ich do kordegardy, co zapewne znakomitym nazwiskom magnackim dobrej nie przysporzy sławy. Groźby atoli pozostawały groźbami, nie zamieniając się nigdy w czyn. Zresztą do matek albo żon nie było się po co udawać, większa ich bowiem część nie miała nic wspólnego z tem, czegośmy przywykli żądać od Polki, lub wogóle od kobiety.

O jakiemkolwiek bądź poświęceniu, o jakichś zabiegach, ażeby ratować kraj upadły nie było ani mowy. Treść żywota tych zacnych pań stanowiły na schyłku ubiegłego i na początku naszego stulecia bale i rozmaite innego gatunku zabawy. Ubieganie się o względy rozłajdaczonych mężczyzn, korzenie się przed najzwyklejszemi kokotami francuskiemi było u polskich pań na porządku dziennym. Zamiłowania do rzeczy polskich nikt z tak zwanych wyższych stanów nie uczuwał w sobie: bawiono się harlrekinadami komedjantów nadsekwańskich, nazywając zapał dla sztuki lub dla literatury polskiej *un patriotisme d'antichambre* — patrjotyzmem przedpokoju. Występował np. w owym czasie z trupą swoją na scenie warszawskiej słynny Bogusławski, wskrzesając typowe postacie starodawnych Polaków — tych, którzy gromili Szwedów, Turków, Tatarów; na przedstawieniach tych nikt się jednak z arystokracji nie jawił. Gdy Bogusławski zarzucał z fantazją wyloty od kontusza i recytował wiersze, mieszczące w sobie aluzje do ówczesnego położenia, klaskał pełen zachwytu tylko „gmin" prosty — ludzie ciężkiej pracy, od szydła, hebla lub młota kowalskiego. Z entuzjazmu tego śmieli się panicze wraz ze swemi nałożnicami magnackiego rodu, drżał przed oklaskami tylko rząd pruski, rozumiejąc słusznie, że z tych właśnie warstw pomiatanych wyjdzie reakcja przeciwko jego panowaniu, że z tego właśnie gniazda powstaną „mściciele" shańbionego narodu.

Było zaledwie kilka większych domów w Warszawie, które nie czuły odrazy do tego, co trąciło właściwościami rodzimemi, domy, które posiadały pewien stopień moralności i popierały rozwój ducha polskiego. Do tego rodzaju domów należał np. salon Małachowskiego Stanisława, Marcina Badeniego, arcybiskupa Krasickiego, księciem poetów zwanego, kasztelanowej Połonieckiej i kilka innych. Zbierał się tam kwiat inte-

ligencji ówczesnej: Osińscy, Dmochowscy, Kopczyńscy, Staszyce.

Nie potrzeba zapewniać, że niezdrowe powietrze, grasujące w Warszawie, przedostawało się i na prowincję, szerząc wszędzie zarazę moralną.

„Nie było miasteczka bez Kasyna" — powiada jeden z pisarzy, znawca owej epoki — „nie było jarmarku ani odpustu bez składkowych balów, gry, pijatyk, a przy tem i burd, jak na dawnych sejmikach".

Do rozuzdania obyczajów pomagał niezwykły wzrost cen zbożowych. „Był to paktol" — powiada tenże sam autor — „który się na biedną Polskę niespodziewanie rozlał, ale niestety! połączony z ową zgubną łatwością zaciągania pożyczek na hipoteki majątkowe na niski procent, obudził w możniejszej klasie nieprzezwyciężoną chęć do zabaw, zbytków, hulatyk, która wkrótce przerodziła się w szał, jakiego nigdy przedtem w kraju naszym nie widziano. Sądzić by można, że kasta, która Polskę do zguby doprowadziła, na widok okropnych skutków swej nieoględności, srogiego samolubstwa, swoich bezprawiów, chciała się gwałtem odurzyć, o przeszłości zapomnieć, nie myśleć o przyszłości i żyć tylko teraźniejszością, mówiąc sobie jak Ludwik XV: po mnie niech się świat zatopi (*après moi la deluge*)".

Tymczasem germanizacja w Prusach południowych, bo tak nazwano Warszawę wraz z dzisiejszym W. Ks. Poznańskiem, postępowała szalonym krokiem naprzód. Gubernator Koehler, uśmiechający się łagodnie na wybryki zdemoralizowanych synów magnackich, a tak ukochany przez warszawiaków, że za jego łagodność chcieli mu nawet pomnik wystawić po wyjściu Prusaków z murów stołecznego miasta, dokonał swego: zdemoralizował do reszty społeczeństwo, a na zagonach jego rzucał posiew chwastu germanizacyjnego,

z którym do dziś dnia tak trudno się uporać, który tyle pochłonął już ofiar w zdrowem zbożu i niejedno zapewne ziarno pszeniczne jeszcze przytłumi. Zmieniły się w Wielkopolsce stosunki do niepoznania: „w miejsce wojewodów kasztelanów, starostów, postawiono na czele prowincyj prezydentów, powiatom dano landratów, gminom justycjarjuszów. Liczbę ogólną urzędów, zaprowadzonych przez Prusaków w Prusach południowych podaje Teodor Morawski na 9000 i te urzędy zajmowali sami tylko Niemcy lub zniemczeni Polacy, to jest ewangielickiego wyznania i wychowani w szkołach niemieckich". Zresztą nie sami tylko „Polacy wyznania ewangielickiego" germanizowali się łatwo; szlachta wielkopolska uważała za zaszczyt, jeżeli mogła nauczyć się do tego stopnia języka najeźdźców, ażeby zatrzeć w sobie zupełnie znamiona polskości. Do szlacheckich nazwisk swoich dodawała junkierskie „von", ubiegała się w Berlinie o tytuły baronów, hrabiów, kamerherów itd., opłacając blask ten wątpliwy najnikczemniejszem łokajstwem. Niejednokrotnie haniebniejszych jeszcze dopuszczała się zbrodni; znanym jest fakt, że jedna z dam wielkopolskich, pani Skórzewska z Lubostronia, przesunęła tyki graniczne, pozostawiające majątek jej po jednym z rozbiorów przy Polsce, w ten sposób, ażeby go przydzielić do zaboru pruskiego, a to wszystko z powodu, że przezacna ta matrona zakochała się była w jakimś jenerale pruskim. Czy jest jaka różnica pomiędzy ową „matroną" ze schyłku wieku osiemnastego, a dzisiejszą szlachtą wielkopolską, oddającą ziemię ojczystą na pastwę kolonizacji bismarkowskiej? Niema chyba żadnej. Dzisiejsi sprzedawczycy są krew z krwi potomkami takich Skórzewskich. Nie więcej poczucia obywatelskości posiadało duchowieństwo: kapituła gnieźnieńska, składając przysięgę na wierność — tak zwane homagjum — królowi pruskiemu, posunęła się do tego stopnia upokarza-

jącej usłużności, iż dziękowała Bogu, który pozwolił staremu gniazdu lechowemu dostać się pod dobroczynne berło Prusaków.

Tymczasem i pod względem ekonomicznym nastąpiła, rzecz prosta, kardynalna niemal zmiana. „Niemcy sami — powiada wspomniany powyżej historyk Morawski — mieli prawo do dzierżawy amtów czyli dóbr i leśnictw rządowych, których liczba szczególnie się powiększyła pod panowaniem pruskiem, gdyż z jednej strony powstanie Wielkopolski za Kościuszki otworzyło było pole do licznych konfiskat, a z drugiej, wbrew najwyraźniejszym zastrzeżeniom traktatów, uległy tejże konfiskacie wszystkie majątki kościelne: biskupstw, opactw, probostw, kapituł, zakonów.

Sprowadzono ćmy kolonistów niemieckich i niemieckich wyrobników do wszystkich robót publicznych. Na rzecz panów niemieckich szafowano dobrami skonfiskowanemi, a ku zupełnemu wydziedziczeniu szlachty polskiej, zamiast przyrzeczonego stowarzyszenia kredytowego, które zaprowadzone już było w Szląsku, prezydent Prus południowych, Hoym, otworzył pożyczki rządowe na niski procent. Użyto na ten cel sum bankowych, kasy inwalidów, nawet kapitałów depozytowych wdów i sierot, w przewidzeniu, które się ziściło niebawem, że szlachta, skora do zbytków, korzystać będzie z łatwości pożyczenia i z niskich procentów.

Prawo pruskie zostało wszędzie wprowadzone, zwolna język polski wyrugowany z sądownictwa i administracji, wszystkie zakłady Komisji Edukacyjnej zniesione, a ze szkół wojewódzkich utrzymały się tylko pijarskie: w Warszawie, Rydzynie, Piotrkowie, Łomży, Wieluniu, które przechowywał własnem staraniem niezachwiany patrjotyzm zakonu".

Takie były stosunki w Wielkopolsce za pierwszych dni Karola Marcinkowskiego; skreśliliśmy je dlatego, ażeby

uwydatnić atmosferę, którą oddychało małe chłopię, mające później tak wielkie położyć zasługi około dalszego rozwoju społeczeństwa, rozpoczętego już za jego czasów młodzieńczych.

Z ciężkiego snu zbudziły zmitrężony naród dźwięki potężnej pieśni legjonów i rozrzucająca naokoło siebie czar niezwykły postać Napoleona. Z nadziejami, jakie wstąpiły w serca polskie za zjawieniem się tego nowożytnego Aleksandra Macedońskiego, który na rumowiskach zburzonych przez siebie państw nowe stawiał trony, oczyściło się powietrze w Wielkopolsce. Prusy południowe, zmienione na W. księstwo Warszawskie, otrzymały własną autonomję, a gdy później na mocy traktatu wiedeńskiego dzisiejsze Poznańskie dostało się napowrót pod rządy Hohenzollernów, lejce pruskie nie były już tak naciągnięte, jak w pierwszym perjodzie ich panowania. Jak zaznaczyliśmy w poprzednim już rozdziale, WKs. Poznańskie otrzymało namiestnika — Polaka, w osobie ks. Antoniego Radziwiłła, który o obowiązkach swoich narodowych nie zapominał. Rozpoczęty pod zaborem rosyjskim ruch polityczny znalazł nietylko echo nad Wartą, ale i żyzny grunt dla korzeni swoich. Dowodem tego wspomniana już działalność Umińskich Mielżyńskich, Skórzewskich i Stablewskich na polu rewolucyjnych dążeń, niezbyt mocno kryjących się w tajnych podziemiach spisków, a zmierzających do rekonstruowania upadłego gmachu Rzeczypospolitej.

Jak widzieliśmy, to powiew w świeżo rozbudzonego poczucia narodowego ogarnął i Marcinkowskiego w chwili, gdy jeszcze był studentem, a jakkolwiek zapał patrjotyczny poprowadził go do więzienia, chłodna kaźń nie umiała w nim oziębić uczuć szlachetnych, lecz owszem zahartowała jeszcze bardziej jego wolę i wymogła chęć działania dla dobra swego społeczeństwa.

Stolica Wielkopolski, Poznań, nie przedstawiał się wpraw-

dzie zbyt dodatnio w czasach, kiedy Marcinkowski rozpoczął swą praktykę lekarską. Było to miasto stosunkowo wyludnione, a zamieszkałe przeważnie przez żywioł niemiecki i żydowski, w którego rękach znajdował się przemysł i handel cały. Polska ludność tuliła się, jak i dzisiaj jeszcze, głównie do prawego brzegu Warty, na tak zwanem Chwaliszewie, mającem w obrębie swoim, oprócz okazałej katedry i starego kościoła Panny Marji, same prawie tylko zabudowania, które świadczyły już z góry, że mieszka w nich ludność, w skarby tego świata niezasobna, ale za to bogata w pracę i trud wszelaki. Miasteczka prowincjonalne, nadzwyczaj licznie po ziemi wielkopolskiej rozsiane, smutniejszy jeszcze przedstawiały widok. Nie było w nich prawie żadnego życia narodowego, wrzało ono natomiast w owym czasie w dobrze uposażonych dworkach szlacheckich, które z sideł, zastawionych na nie przez Hoymów, wyrwały czasy napoleońskie, a które dotychczas trzymały się znakomicie.

Lekarzy nie było zbyt wiele zarówno na prowincji jak i w samym Poznaniu, właściwie nawet nie było ich wcale: funkcje lecznicze pełnili w przeważającej części chirurdzy drugiej klasy. Dla Marcinkowskiego zatem, rozpoczynającego praktykę w Poznaniu razem z przyjacielem swoim, uczciwym Niemcem, drem Schneidrem, roztwierało się pole korzystne. Umiał on też odrazu pozyskać sympatję mieszkańców, a pomagały mu do tego: tradycja talentów jego i pilności jako ucznia, i patrjotyzm, którego dał dowody na wszechnicy, wreszcie niezwykła bezinteresowność, towarzysząca jego działalności obecnej. Był on prawdziwym dobroczyńcą ubogich, których nietylko że leczył bezpłatnie — co u początkującego lekarza nie byłoby zbyt dziwnem — ale którym za pieniądze, wzięte u pacjentów możniejszych, opłacał lekarstwa i kupował potrzebne pożywienie. Jak był bezinteresownym, świadczy pomiędzy innemi

i ta okoliczność, że gdy nareszcie wypłaconą mu została reszta z zapisu Eustachego Grabskiego, wynosząca 1150 talarów, sumę tę przekazał na szpital sióstr miłosierdzia celem utworzenia w nim rodzaju polikliniki, gdzieby dostarczano lekarstw i innych środków leczniczych dla chorych przychodnich, których przyjęcie do Zakładu było wzbronione statutem, a którzy chcieliby w ten przynajmniej sposób doznać tu ulgi w swoich cierpieniach. Pomimo szybko rozwijającej się praktyki, nie zaniedbał Marcinkowski żadnej sposobności, ażeby móc się kształcić dalej. Dlatego też, wiedząc, jak znakomitem polem pracy dla młodego lekarza jest szpital, starał się dostać do zakładu powyższego, założonego staraniem ks. Radziwiłła, a zostającego pod przełożeństwem siostry Petroneli Pyrzanowskiej, sprowadzonej jak i inne siostry miłosierdzia z Warszawy. Lekarzem zakładu był w tym czasie wspomniany już przyjaciel Marcinkowskiego, dr. Schneider, przy którym aplikował się tenże jako wolontarjusz, ażeby później, gdy Schneider uległ tyfusowi, wejść na jego miejsce. Pensję, jaką mu nominacja ta przyniosła, wynoszącą sto talarów, przekazał później na dobroczynne cele zakładu, — dla chorych nie mających do leczenia się potrzebnych środków. Sława jego hojnej dobroczynności i znajomości sztuki lekarskiej rozbiegła się niebawem po całem Księstwie; z różnych też okolic przybywali do Poznania chorzy, ażeby zasięgnąć porady u ulubionego doktora. Wzywano go zewsząd, a wobec utrudnionych warunków komunikacyjnych zdarzało się bardzo często, że Marcinkowski kilkanaście mil — nieraz do dwudziestu — przebywał na dobę konno, ażeby tylko pospieszyć z pomocą lekarską. Nie dziw też, że boleść ludności zarówno polskiej jak i niemieckiej nie miała granic, gdy się dowiedziano, że wielki filantrop, nieznający żadnych różnic narodowościowych, gdy szło o spełnienie czynu szlachetnego, zaraził się tyfusem i walczył po-

między życiem a śmiercią. Odprawiano nabożeństwa po wszystkich kościołach, prosząc Boga o wyzdrowienie znakomitego lekarza i obywatela, a gdy to wyzdrowienie nastąpiło (1829), wyrażono radość społeczeństwa z tego powodu wierszami, pełnymi zapału i serdecznego dla Marcinkowskiego wylania.

Zasługi jego, łożone w tak młodym już wieku, bo Marcinkowski miał wtedy zaledwie lat 29, uczciło obywatelstwo nietylko objawianą mu słowem i piórem sympatją, ale i następującym, godnym zanotowania czynem.

W roku 1829 umarł arcybiskup gnieźnieński i poznański Teofil Wolicki. Poprzednik szlachetnego Dunina, szanujący w sobie godność prymasów polskich, dostojnik ten nie ubiegał się o łaski rządu zaborczego; interes kościoła umiał pogodzić z interesem narodu, którego wiernym był synem, nie dziw też, że zjednał sobie miłość u ówczesnego społeczeństwa, które umiało się już było podnieść z kałuży, w jakiej bywało za czasów Prus południowych. Pamiątki po arcybiskupie uważano jako pamiątki narodowe; zakupiono też w drodze składek publicznych pozostałość jego, pierścień drogocenny, który zwykł był nosić na palcu, i ofiarowano go w lecie 1830 roku Marcinkowskiemu, jako upominek narodowy, chcąc przez to uznać poświęcenie się jego dla dobra, zarówno fizycznego jak i moralnego ludności wielkopolskiej.

Atoli cicha praca filantropa miała niebawem przybrać inny zupełnie charakter.

Do Poznania nadeszła wieść o wybuchu powstania listopadowego. Marcinkowski nie namyśla się długo, ale siada na koń i pospiesza na pole walki, gdzie, jak pisał do jednego ze swoich przyjaciół, Karola Steblewskiego, woli dobijać się o miejsce najniższego chirurga niżeli w Poznaniu — podług jego zdania — zniszczeć do szczętu. Wszakże nim jeszcze

opuścił gród przemysławowy, dopełnił, będąc zawsze przywykłym do karności, obowiązku względem pruskiej władzy wojskowej, pod której stał komendą jako lekarz wojskowy. Wysłał on mianowicie do niej pismo, gdzie bez ogródki powiada, że „pragnie być uwolniony od powinności, które go tu wiążą, bo nie zna nic świętszego nad powinność poświęcenia sił swoich Ojczyźnie, wzywającej obecnie swych synów do broni", — „Gdy oświadczenie to dojdzie do władz przeznaczonych" — kończył Marcinkowski swe pismo — „będę na polu sławy, z którego żadna ludzka siła wstrzymać mnie nie zdoła".

I pojechał, pożegnawszy się z dogorywającą matką którą ukochał ponad życie, ale nie ponad obowiązek względem Ojczyzny. A w Poznańskiem, jak opowiadają współcześni, zasyłano znowu modły ku niebu za pomyślność jego, śród chorych zaś w szpitalu Sióstr Miłosierdzia „powstał podobno jęk i płacz, że kapelan miejscowy musiał ich uspokajać przypomnieniem, że najwyższym opiekunem ubogiego i sieroty jest Bóg".

Powiedzieliśmy, iż Marcinkowski, gdy szło o spełnienie prawdziwie ludzkiego czynu, nie znał względów narodowościowych; te swoje pojęcia o obowiązkach człowieka względem bliźnich udowodnił i podczas przeprawy za kordon. Zdążając bowiem ku Warszawie, zatrzymał się około miasteczka Słupy, na granicy, ażeby opatrzyć żandarma, postrzelonego przez hr. Tytusa Działyńskiego, któremu zagrodzić chciał przejście do Królestwa.

Przybywszy na plac boju, okazał wierność orzeczeniu swemu, że chce spełniać rolę ostatniego chirurga ażeby tylko móc służyć sprawie ojczystej. Skromny, nie chciał, jak powiada biograf jego Cegielski, przyjąć ofiarowanej mu wysokiej rangi w administracji lekarskiej, ale jako prosty ułan wstąpił do

szwadronu jazdy poznańskiej, walczącej pod pułkownikiem Brzeżańskim. W niczem się też od najzwyklejszego nie różnił żołnierza. Jeneralny lekarz sztabowy Kaczkowski, opowiada w pamiętnikach swoich o spotkaniu się z Marcinkowskim; przytaczamy ustęp odnośny, spodziewając się, że zainteresuje czytelników — tem więcej, że mimo pewnej przesady w barwach, główne kontury nakreślonej tu postaci Marcinkowskiego są prawdziwe.

„O doktorze Marcinkowskim" — powiada dr. Kaczkowski — „słyszałem tylko wiele dobrego od wojewodziny Działyńskiej, pani Klaudyny Potockiej i od namiestnika W. księstwa Poznańskiego, księcia Antoniego Radziwiłła. Pierwsze zetknięcie się moje z nim było całkiem niespodziane. Po bitwie pod Grochowem przeglądałem nowo formujące się oddziały, aby widzieć, czy są należycie w służbę zdrowia zaopatrzone, i z koleji wstąpiłem do legji poznańskiej. Jakież było moje zdziwienie, gdym się od dowódzcy dowiedział, że dr. Marcinkowski jest w niej prostym szeregowcem.

— To pięknie z jego strony, ale czyż w swoim zawodzie nie byłby pożyteczniejszym? — zapytałem.

— Zapewne — odrzekł pułkownik — i my tego jesteśmy zdania: radziliśmy, prosiliśmy go, słuchać nawet nie chciał, wreszcie ofiarowaliśmy mu oficerskie szlify, i tych nie przyjął. Natura uparta, co raz postanowi, tego nikt nie zmieni. A szkoda; w sprawie każdy go zastąpić potrafi, choć dobry żołnierz, za wzór innym służy. Ale lekarzy z takiem doświadczeniem i zdolnościami mało. Napróżno mu jednakże o tem mówić.

— Chciałbym go widzieć.

— Najchętniej, proszę za mną.

O kilkaset kroków stała długa stajnia, a przy niej krzątali się poznańscy legjoniści. Podszedłszy bliżej, wskazał mi pułkownik żołnierza, wyrzucającego gnój.

— Oto właśnie nasz Marcinkowski, patrzaj pan, jak zamaszyście wywija łopatą, już pewnie musiał i konia jak lalkę wymuskać i broń wyczyścić. Pierwszym jest we wszystkiem.— A zwracając się do niego, zawołał głośniej:

— Panie Karolu, generał Kaczkowski ma do pana interes, przyprowadziłem go tutaj i zostawiam was.

Marcinkowski wyprostował się na te słowa, zdjął czapkę i stanął w pozycji, oczekując rozkazu.

— Pójdziesz pan ze mną, potrzebuję go na parę godzin.

W kilka chwil był już gotów, a nie wchodząc w żadne rozmowy, zaprowadziłem go wprost do szpitala; stanąwszy przy łóżku chorego, któremu tego dnia miano odcinać nogę, odezwałem się tonem rozkazującym:

— Zrobisz pan tę operację; ci dwaj młodzi lekarze będą pomagali, — wybierzesz sobie narzędzia. Chory wie o swem przeznaczeniu i chętnie się na nie zgadza.

We dwadzieścia minut niespełna wszystko było najpiękniej i najczyściej skończone, przewiązane i obandażowane, a Marcinkowski, salutując po wojskowemu, zapytał, czy mam mu jeszcze co do rozkazania.

Próba ta wypadła arcyświetnie, bo nietylkom się przekonał o istotnie wielkiej chirurgicznej zdolności Marcinkowskiego, ale nadto i o tem, że dość było wyraźnego rozkazu władzy wyższej, aby go zwrócić na właściwą drogę, na którą żadne perswazje i namowy nie wprowadzą go nigdy. Tegoż więc dnia wieczorem, po herbacie u naczelnego wodza generała Skrzyneckiego, gdyśmy sami zostali, przedstawiłem mu, jak ważne możemy zrobić nabycie, przenosząc dra Marcinkowskiego z żołnierskiego frontu do służby zdrowia. Generał Skrzynecki uznał to za słuszne i dał rozkaz na piśmie dowódzcy legji poznańskiej, aby ten odkomenderował natychmiast dra Marcinkowskiego do naczelnego lekarza, pod bezpośredniem

rozporządzeniem którego ma nadal zostawać, dodawszy na nim własnoręcznie: „ma być wykonane jutro o godzinie 8. rano".

Nazajutrz rano, codziennym zwyczajem, wyszedłem do sali dla rozmówienia się z rozmaitemi osobami, w interesach służby przybyłemi, lub mającemi prywatne żądania do przedstawienia, a w przedpokoju podlekarzy, Kwiatkowski odbierał od ordynansów raporta z różnych stron nadsyłane.

Oto wśród tego zajęcia uwiadamia mnie Kwiatkowski, iż ordynans z legji poznańskiej nie chce mu pisma doręczyć, bo ma nakaz oddać je do własnych moich rąk. Wyszedłem natychmiast do przedpokoju — był to Marcinkowski, jakem się spodziewał. Stał przy drzwiach, zrobił front i z żołnierską subordynacją podał mi zapieczętowany pakiet. — Czytam głośno: „Z rozkazu naczelnego wodza odkomenderowanym zostaje żołnierz z legji poznańskiej, Karol Marcinkowski, do generał-sztab-lekarza wojska, gdzie ma zostać pod jego bezpośredniem rozporządzeniem. Podpisano: dowódzca legji".

— Złapałem przecie ptaszka, rzekłem, śmiejąc się.

— Co pan generał rozkaże? zapytał Marcinkowski, zawsze wyprostowany przy drzwiach.

— Rozkazuję ci, bratku, zostać od dnia dzisiejszego zastępcą dywizyjnego lekarza i pełnić funkcję operatora przy głównej kwaterze. Doktora Gałęzowskiego nie było jeszcze podówczas w Warszawie.

— Ależ ja jestem prostym żołnierzem, legji mojej opuszczać nie chcę, ani też służby, którą sobie w niej obrałem — odparł żywo, cały zmieszany i zarumieniony.

— Cóż ja na to poradzę? Rozkaz wyraźny naczelnego wodza, a pierwszym obowiązkiem żołnierza subordynacja.

— Ha! niech i tak będzie, ale w takim razie o jedną proszę

łaskę, aby mi wolno było pełnić mój obowiązek, nie zmieniając munduru mej legji.

Zgodziłem się na to, choć wedle regulaminu służby musiałem przedstawić tę drobną okoliczność na zatwierdzenie ministra wojny, za poprzedniem zgodzeniem się samego naczelnego wodza. Mundur ten był nadzwyczaj prosty: granatowy surducik z amarantowym kołnierzem i tegoż koloru włóczkowemi szlifami, rzemienny pas z tornistrem i czapka, tak zwana francuska, w formie szlafmycy z wiszącym końcem, wygodna na głowę i pod głowę podczas snu. Wogóle w legji poznańskiej żadnych nigdy nie było błyskotek, a za to surowa powaga, czystość i wzorowy porządek. Widziałem później legję galicyjską, jak po raz pierwszy, po swem uformowaniu się, przeciągała w paradzie przed naczelnym wodzem, zdaje mi się 10. czerwca. Na rosłych pięknych koniach, do 600 było jazdy białemi płaszczami osłonionej. Cały rynsztunek konia i żołnierza kosztowny, bo galonów i ozdób nie żałowano. Taka formacja dużo zabierała pieniędzy i czasu, i aż po bitwie ostrołęckiej stanąć była gotowa. Widziałem też i inną legję, na którą możne i krzykliwe obstalunki zapowiadały mnogie jej szwadrony, tymczasem zaledwie w 300 wystąpiła koni. Legja poznańska zaś była cicha, bez pretensji, złożona z samych prawie obywateli, którzy z całem przejęciem się służbę prostych szeregowców pełnili; nie mnożyła ona oficerów u siebie, poddała się pod rozkazy doświadczonych, a co najważniejsza, zaraz z początku gotową była do boju. Nie dziw, że Marcinkowski przylgnął do niej sercem całem i rozstać się nie chciał.

Jako lekarz pracował on pilnie po szpitalach w Warszawie, gdzie tylko wypadała tego potrzeba, a w marszach był zawsze z główną kwaterą. Przy oryginalności i dziwactwie miał on wygórowaną szlachetność w charakterze i wielką gruntowność

sądu. W najczulszych rozstaliśmy się uściskach, choć zrazu czuł żal do mnie, żem go podstępem z szeregu wyciągnął. Po bitwie ostrołęckiej, gdy generał Chłapowski z oddziałem poznańskim wyruszył na Litwę, nie chciał Marcinkowski pozostawać nadal przy głównej armji; wolał towarzyszyć swoim Wielkopolanom. Odkomenderowałem go do nich w stopniu dywizyjnego lekarza, — a losy, rzucając nas potem w różne strony, nie dozwoliły, abyśmy się po raz drugi spotkali"...

Biograf Marcinkowskiego, dr. Zielewicz, z którego powyższy ustęp zaczerpnęliśmy, zauważa, że w niektórych szczegółach opowiadanie to nie zgadza się z prawdą. Mianowicie już w bitwie pod Grochowem, Marcinkowski posiadał rangę podporucznika, nie był więc w tym czasie, do którego odnosi się ustęp z pamiętników Kaczkowskiego, prostym żołnierzem. Mniejsza jednak o to. Kaczkowskiego mogła zawieść pamięć co do czasu, w każdym jednak razie charakterystyka dra Karola, w cytowanych zawarta słowach, posiada cechy prawdziwe i dlatego też uważaliśmy za słuszne ją przytoczyć. Bezgraniczne poświęcenie, skromność i sumienność w spełnianiu swych obowiązków — oto najgłówniejsze rysy, znamionujące osobę Marcinkowskiego, a rysy te zaznaczył i jenerał-lekarz Kaczkowski.

Marcinkowski w karjerze wojskowej postępował szybko: jako podporucznik otrzymał po bitwie pod Grochowem razem z bohaterskim ks. Logą złoty krzyż zasługi — virtuti militari, walczył pod wielkim Dębem i Jędrzejowem w stopniu kapitana, a odpowiednio do tego miał jako urzędnik służby sanitarnej tytuł lekarza dywizyjnego, w którym to charakterze kampanję w r. 1831 ukończył.

Tymczasem postanowiono dla wzmocnienia powstania na Litwie sformować z najdzielniejszych ludzi pułk osobny,

i posłać go tamże pod dowództwem napoleończyka, jenerała Dezyderego Chłapowskiego. Korpus składał się z 800 ludzi, śród których niepoślednie miejsce zajęli Wielkopolanie Maciej Mielżyński, Gustaw Potworowski, ks. Loga, Leon Szmitkowski i Marcinkowski. W drodze ku granicom Litwy stoczono krwawą walkę pod Długosiodłami, gdzie Marcinkowski niepomiernie się odznaczył, walcząc jako znakomity żołnierz podczas bitwy, a po bitwie opatrując rannych, pomiędzy którymi byli ze znamienitszych Stanisław Chłapowski, krewny jenerała, i Tomasz Potocki. Przed wkroczeniem na Litwę, wojsko rozłożyło się dla wypoczynku na noc obozem o sześć mil od miasteczka Bielska, a jenerał Chłapowski zajął się przeprowadzeniem rozmaitych niezbędnych urządzeń: ustanowił radę gospodarczą, wybrał płatnika i kwatermistrza, tudzież mianował szefem sztabu Karola Marcinkowskiego.

Wywołało to niezadowolenie pomiędzy oficerami. W korpusie bowiem Chłapowskiego byli ludzie pod względem wojskowym wykształceńsi od świeżo mianowanego szefa sztabu. Chłapowski jednak wiedział, co czynił. Pod względem waleczności i skrupulatności w wypełnianiu obowiązków, jako też pod względem wypróbowanego patrjotyzmu nikt Marcinkowskiego nie przewyższał. W organizacji rozprószonych oddziałów litewskich nikt też nie mógł mu być bardziej pomocnym od człowieka, który odznaczał się zarówno charakterem, jak rozumem i sercem. Braki technicznego uzdolnienia rychło Marcinkowskiemu zapomniano; przyczyniły się do tego sukcesy, jakie odniesiono w pierwszych zaraz potyczkach i walkach na ziemi litewskiej. Pod wsią Akaciem, gdzie spotkano się z Moskalami, Marcinkowski stał na czele pierwszego szwadronu ułanów i niemało z ludźmi swymi przyczynił się do odniesienia zwycięstwa. Dzięki tej potyczce zajęło wojsko nasze miasto Bielsk i zabrało 400 Moskali do niewoli, których

jednak z powodu cholery puszczono. Chłapowski zasłyszawszy, że w puszczy białowieskiej znajdują się oddziały litewskie, skierował drogę swą w tę stronę, a jakkolwiek Moskale strzegli dróg, udało się mu dotrzeć do wsi Hajnowszczyzny, położonej przy samej puszczy, i złamać tam silny czworobok piechoty rosyjskiej, zabrać do niewoli majora, kilku oficerów, kilkaset żołnierzy i jedno działo. Polegli wtedy podporucznik Jakób Grotkowski z 20 pułku piechoty linjowej, podoficer Józef Jabłoński z 1 pułku ułanów i pięciu żołnierzy; ranni zaś byli porucznik Gustaw Potworowski i ks. kanonik Loga, „mąż, stojący na czele szwadronu jazdy poznańskiej, poważny kształtem i strojem. Młody, wysmukły, z włosem długim, na barki spadającym, o licach bladych, z okiem pełnem życia, w stroju długim, w czarnej sutannie, przykrytej komżą, z stułą na szyji, a na piersiach z szkaplerzem. W lewym ręku jego krzyż, w prawym pałasz. Z ust zaś jego takie słowa biegły: Bracia! za wiarę i Ojczyznę! za Boga i wolność! dzisiaj zginąć lub zwyciężyć potrzeba!...“ Oprócz księdza Logi, którego opatrywał Marcinkowski, odznaczył się tu z Poznańczyków Maciej Mielżyński. Marcinkowski, wysłany z plutonem ułanów dla zasłonienia korpusu od strony prawej, wytrzymał w lesie napad całego szwadronu rosyjskiego, a cofnąwszy się przed przemożnym nieprzyjacielem bez strat, połączył się z pułkiem w chwili, gdy tenże przypuszczał atak na wzmiankowany wyżej czworobok piechoty. Po bitwie tej Chłapowski, połączywszy się z oddziałami litewskiemi, będącemi pod dowództwem Ronkiego i Schroettera, wypłoszył podstępem Wks. Konstantego ze Słonima, stanął z korpusem swoim w Mostach, a następnie złączony z kompanją kapitana Żylińskiego, do którego wysłał był z rozkazami Marcinkowskiego, zmierzał ku Wilnu i tak dotarł 31. maja pod miasteczko powiatowe Lidę, wywrócił dwa bataljony rosyjskie, kilka sotni kozaków

i parę dział i miasto zajął. W potyczce pod Lidą, otrzymał ciężką ranę wspomniany powyżej Gustaw Potworowski, który ocalenie życia miał do zawdzięczenia starannej opiece Marcinkowskiego, poległ zaś August Przyłuski.

Kiedy pod Trokami jenerał Chłapowski jako jenerał brygady przeszedł pod rozkazy jenerała Giełguda jako jenerała dywizji, posłał Marcinkowskiego z raportem do tegoż jenerała, oraz z poleceniem skłonienia go, aby pójść na Wilno. Giełgud długo się wahał, ostatecznie jednak z przedstawieniami Chłapowskiego się zgodził, wlókł się jednak jak gdyby spętany, bez poczucia obowiązku i bez najmniejszej energji. Dzięki temu niedołęstwu, przyszło do krwawych starć pod okopami Ponar, o milę od Wilna, gdzie trzy szwadrony jazdy ciężkiej odpierały napaści jazdy rosyjskiej, a następnie do nieszczęśliwej bitwy pod Szawlami. Szawle zajmował pułkownik rosyjski Krukow z komendą, składającą się z niespełna 4000 piechoty, 300 lichej konnicy i 8 dział, gdy Giełgud i Chłapowski nadciągali od Rosień, dow. Roland od Kurszan, a Dembiński od Poniewieża. Atak na Szawle, umówiony na pierwszą godzinę po północy, odwleczony został do poranka dnia 8 lipca i rozpoczął się od strony wschodniej, od której stanowisko nieprzyjaciela było prawie niedostępne. „To też wdzieranie się nasze na groblę“ powiada jeden z uczestników walki, „ostrzeloną w podłuż i poszluźnie, było niedorzecznością, zwłaszcza, że z łatwością uderzyć było można na nieprzyjaciela z każdej innej strony. Nie dziw zatem, że kilkakrotne usiłowania Szymanowskiego i Dembińskiego odparte zostały wytrwale. Pomimo to, do zwycięstwa brakło tylko choć jednego jeszcze bataljonu do poparcia dowodzącego Jaremy w środku miasta. Było ich jeszcze ośm nietkniętych pod ręką Rolanda, który, niewiadomo, pod jakimi pozorami wstrzymał ich postęp. Tymczasem Krukow, poturbowany mocno, przy-

szedł do siebie; jeńcy zamknięci w domach, a było ich siedmiuset, wyłamali i porwali się nazad do broni za poświęconym bataljonem, który nie bez wielkiej straty wycofał się ze zdobytego już prawie miasta. Po czasie pułkownik Oborski wyrywa gwałtem z rąk Rolanda drugi bataljon siódmego pułku linjowego i pcha go na pomieszczenie pierwszego. Lecz i ten szturm po niejakiem powodzeniu ustać musiał z tego powodu. Po tych piekielnych żartach, opłaconych przeszło dwoma tysiącami rannych, zabitych lub rozproszonych, Giełgud nakazał odwrót powszechny i z Chłapowskim uciekł przed chórem gróźb i przekleństw do Kurszan". W krwawej walce tej odznaczył się mianowicie bataljon Jaremy, do którego przyłączył się ks. Loga i przykładem swoim pobudzał do cudów waleczności. W tem — jak opisuje naoczny świadek — pada koń pod nim, on zaś chwyta za karabin, spieszy naprzód i ginie wśród najgęstszego ognia. „Z tem drogiem życiem pewne zwycięstwo odbiegło nagle naszych". Oprócz ks. Logi poległ pod Szawlami z bardziej znanych Wielkopolan Ignacy Mielżyński, brat Macieja. Marcinkowski brał czynny udział w boju, a następnie pełnił na pobojowisku z poświęceniem szczytną rolę samarytanina. W wyprawie pod Połągą, gdzie miano odebrać broń i ochotników ze statków zamorskich, gdy wylądowanie tamże pokazało się niepodobnem, wysłany był Marcinkowski, z wielkiem narażeniem osoby na morze pod Kłajpedą czyli Memlem, dla porozumienia się z ową wyprawą. Był to ostatni czyn wojenny Marcinkowskiego, niebawem bowiem przeszli Giełgud, Roland i Chłapowski granice Prus i po nieszczęśliwej kampanji litewskiej broń złożyli. „Co się wówczas działo w duszy Marcinkowskiego" — pisze Cegielski — „łatwo sobie wystawić choćby nam tego w listach do przyjaciół nie był odmalował". W jednym z nich, datowanym z Kłajpedy, znajdujemy następujący ustęp:

„Własne me szczęście jest dla mnie przedmiotem zbyt nędznym, abym się za nim mógł uganiać. Co dalej przedsiębiorę, jest w zamiarze dalszego kształcenia się znowu na dobro cierpiącej ludzkości. Dziś zatłoczyłyby mnie nieprzyjemne uczucia, gdybym po tylu doznanych, dotkliwych przeciwnościach miał od razu w dawne wstąpić stosunki i służyć za cel szyderstwa złośliwych nieprzyjaciół. Czas ułagodzi rozdrażnioną duszę, a wtenczas los przychylniejszy znowu mnie między was poprowadzi. Czas ten rozłączenia za granicą jak najlepiej będę się starał użyć".

Nim atoli opuścił kraj, ażeby „kształcić się dla dobra cierpiącej ludzkości", okazał ponownie nietylko zdolności swoje na polu lekarskiem, ale i zaparcie, jakiem się zawsze przejmował, gdy szło o niesienie ulgi chorym. W załodze pruskiej, wysłanej dla strzeżenia granic litewskich, a rozłożonej w pobliżu obozu rozbrojonych korpusów polskich, wybuchła cholera. Komendant załogi, dowiedziawszy się o Marcinkowskim, powołał go do siebie i poruczył mu opiekę nad dotkniętem zarazą wojskiem. Marcinkowski, niepomny własnego bezpieczeństwa oddał się całą duszą pielęgnowaniu chorych i taki sobie zjednał szacunek u dowodzącego korpusem jenerała Stilpnagla, że tenże oddawszy polskiemu lekarzowi hołd publiczny, polecił go rządowi, aby go wynagrodził. Człowiekowi jednak tej miary, co Marcinkowski, nie wspominać było o nagrodzie; zbyt bezinteresownym był on filantropem i zbyt wielkim patrjotą, ażeby przyjąć cokolwiek od władz pruskich i aby cośkolwiek mieć im do zawdzięczenia. Cholera nawiedziła także miasto Kłajpedę, zrozumiany wszędzie wywołując popłoch. Reprezentacja miasta, nie ufając lekarzom wojskowym, którzy zachowywali wszelkie względem swojej osoby ostrożności, aby tylko własnego nie narazić życia, powołała w mury swoje naszego ziomka. Jak w obozie, tak i tutaj Marcinkowski

wywiązał się z zadania swego z taką gorliwością, że słuszny wzbudził podziw u wszystkich. Biuletyny pism ówczesnych przesadzały się w pochwałach dla byłego powstańca-lekarza, a reprezentacja miasta Kłajpedy, chcąc okazać mu wdzięczność swoją, wręczyła mu na pamiątkę pierścień drogocenny, wystosowawszy przytem adres, podpisany przez burmistrza i trzech członków rady. W interesującym tym dokumencie zaznaczyli panowie rajcy miejscy gotowość, nieustającą gorliwość i przezorność, z jaką w ciągu cholery opatrywał chorych miasta Memla (Kłajpedy) i okolic jego, przez co „oswobodził od śmierci niejedną matkę, ojca i dzieci, i zasłużył nietylko na wdzięczność wyleczonych, lecz i na ogólną miłość i szacunek tamtejszych mieszkańców". „W rocznikach miasta" — opiewa adres w dalszym ciągu — „imię pana wspominane będzie w najodleglejszej potomności ze czcią i uczuciem wdzięczności. Przyjmij Pan przez nas serdeczne podziękowanie mieszkańców tutejszych za trudy, jakieś podejmował z wielkiem narażeniem siebie samego w czasie ogólnej niedoli, i pozwól łaskawie, abyśmy mogli przez dołączony tu dar udowodnić tego. Oby Opatrzność przez długie lata zachowała Pana dla dobra cierpiącej ludzkości! oby kolej życia jego, w którem zawsze szczery udział brać będzie miasto Memel, zdobiły prawdziwej radości uczucia i oby się Panu długi jeszcze czas w naszem mieście przemieszkiwać podobało". Adres ten nosi datę 12. października 1831 r.

Doznał Marcinkowski za trudy swoje nietylko gremjalnego uznania, które w powyższej formie widome przybrało kształty, ale i poszczególni mieszkańcy straszną zarazą nawiedzonego miasta wyrażali mu swą wdzięczność. Śród nich był kupiec, nazwiskiem Mason, Szkot z pochodzenia, w którego domu Marcinkowski nie żałował starań około wyleczenia chorej rodziny. Mason nietylko że zaopatrzył ziomka naszego w listy

polecające do Szkocji, ale, powodowany pięknem uczuciem wdzięczności, umieścił na pokładzie okrętu, którym Marcinkowski opuszczał Kłajpedę, ulubionego konia jego. W drodze jednak powstała burza i zmiotła ku wielkiemu smutkowi Marcinkowskiego stajenkę z pokładu. Wierny towarzysz zginął w falach morskich. Dobre serce naszego lekarza stratę odczuło dotkliwie; nie dziwota, na koniu tym odbył on całą kampanję, na koniu tym przeszedł także, po nieszczęśliwem zakończeniu wyprawy Chłapowskiego, granicę pruską. Fakt ten jako też choroba morska, która go trapiła przez cały ciąg siedmiotygodniowej podróży, nie mogły korzystnie wpłynąć na stan zdrowia, od urodzenia wątłego, a obecnie starganego trudami obozowymi. Pomimo to Marcinkowski się nie uskarzał, w listach do przyjaciół, pisanych w czasie powstania, nazywał je nawet względnie dobrem.

Skołatany przybył Marcinkowski do Szkocji, a pierwszem miastem, w którem się na dłuższy czas zatrzymał, było Montrose, gdzie zamieszkawszy u krewnych kupca kłajpedzkiego, pod ich opieką zdrowie odzyskał. Najważniejszem zatrudnieniem, jakiemu się obecnie oddawał, było uczenie się języka angielskiego, zamierzał bowiem udać się do Edinburga, Glasgowa, Londynu, i tam pod okiem najznakomitszych profesorów kształcić się dalej w swym fachu. „Ciągle tą samą powodowany myślą poświęcenia się, ile siły i zdolności dozwolą, dobru ludzkości", pisze wygnaniec z Montrose do pp. Szczanieckich, przyjaciół swoich — „w ciągu 8-letniego mego pobytu w Poznaniu, codzień bardziej spostrzegałem, jak wiele mi brakowało, aby w tym zamiarze jakkolwiek własnemu odpowiedzieć życzeniu. Czas mój zanadto był ograniczony, abym się w mej sztuce należycie mógł kształcić. Nieraz słyszeliście me chęci udawania się w tym celu za granicę. Wojna, zrobiwszy najszczytniejszy ustęp w mem prywatnem życiu,

ochroniwszy dni moje na dłużej, nie zniszczyła mych widoków. Chęć ta tem gwałtowniej odżyła we mnie, skorom się o nieszczęśliwym końcu naszej sprawy przekonał, i zarazem uczuł, że rychły powrót do kraju przytłumiłby mój umysł widokiem teraźniejszego nieszczęścia i przykremi wspomnieniami przeszłości. Tu więc przyjechałem douczać się po trochu tego, czego mi jeszcze nie dostaje, aby tem użyteczniejszym być można bliźnim. We wszystkich mych przedsięwzięciach szczególniejsze sprzyjanie losu mej osobie spostrzegałem, przekonywające mnie zawsze o prawdziwości przysłowia: więcej szczęścia, niż rozumu. Tasama przychylna gwiazda świeciła i w Memlu (Kłajpedzie) i ta sama tu mi przyświeca. Nie miałem funduszu, ale znalazłem przyjaciół: gdzie przyjaźń jest, złota nie trzeba do ludzi uszczęśliwienia". Wszystkie też chwile wolne od zabaw towarzyskiego życia, mianowicie od obiadów, na które, jak pisze w jednym ze swych listów, zapraszali go zbyt często gościnni Szkoci, poświęcał nauce języka. Na czytaniu gazet angielskich spędzał codziennie w „Caffe Room" po dwie godziny, jedenaście zaś godzin na przyswajaniu sobie zasad języka angielskiego. Niebawem też postąpił tak dalece, że bez trudności książki angielskie rozumiał, a nawet mógł brać udział w konwersacji. Chętną pomoc znalazł w uprzejmych paniach szkockich, które poprawiały jego błędy zwłaszcza w wymawianiu. Resztę czasu poświęcał, jak sam wyznaje dowcipnie, jedzeniu i piciu, raczył się „wyborną wołowiną i rybami", a pragnienie gasił „doskonałem porterem, piwem angielskiem, i gatunkiem punszu tu pospolicie w każdym obiedzie używanego, zrobionego ze spirytusu tutejszego pod nazwiskiem Whisky". Ten sposób życia korzystnie widocznie wpłynął na jego siły fizyczne: utył nawet, jak to wynika z następujących jego słów (pisanych do panien

Szczanieckich): „gdyby moje oczy tak wielkie nie były, wnet by mi ich z okrągłej twarzy widać nie było".

Atoli wygody, jakiemi otaczała go rodzina Masona i tegoż przyjaciele, nie zatłuściły w Marcinkowskim przywiązania do nieszczęśliwej ziemi rodzinnej, ani nie osłabiły troski o jej dobro. Dzień 8. września, w którym zmuszony był przejść granicę pruską, jest dla niego „dniem okropnym". W chwilach rozpaczy, jaka go od czasu do czasu ogarniała, zdawało mu się, że z dniem tym pogrzebaną została na zawsze sprawa ujarzmionej ojzyzny. Stan ten nie trwał jednak zawsze; pogodny w gruncie rzeczy umysł jego nie mógł zupełnie zatracić wiary w lepszą przyszłość. Wyraża on tę wiarę, jako też przekonanie, że przyjdą czasy, gdzie sprawiedliwość odniesie zwycięstwo, niejednokrotnie w listach pisanych do przyjaciół.

„Po okropnym dniu 8. września — powiada Marcinkowski we wspomnianym już powyżej liście do pp. Szczanieckich — nie mogę wzbronić się tej myśli, że chcąc być szczęśliwym na świecie, wypadałoby niczego nie życzyć, nic się nie spodziewać. Jak dalece najpiękniejsze nadzieje nasze spełzły na niczem! A przecież grób i popioły zniszczonych nadziei są świeżej otuchy zadatkiem i kolebką. Duch czasu zedrze despotyzmu zasłonę: mocniejsza przyrodzenia siła nad wszystkie zabiegi sztuki; moc ludzka nie zniszczy tego, co natura dała! *Ale ileż to ofiar wymaga ta prosta prawda przyznania praw człowieka i narodu*!"

Do podtrzymywania tych nadziei przyczyniła się przedewszystkiem sympatja, jaką ludy europejskie, nie zarażone jeszcze krwiożerczemi idejami bismarkowskiemi, otaczały naszych wychodźców. Wszystko prawie, co żyło, począwszy od sfer arystokratycznych, a skończywszy na robotniku, gorące objawiało dla niedobitków wielkiej sprawy uczucia.

Tej przyjaźni doznał podczas pobytu swego w Szkocji i Marcinkowski.

„Te myśli, które z ojczystego nieszczęścia uniosłem na obcą ziemię, wzmocnione zostały ogólnym udziałem, jaki sprawa nasza w kraju wolnych ludzi znalazła. Oddzielnie od wzorowej gościnności, z jaką tu zostałem przyjęty, a której Szkocja tej staropolskiej cnoty jest celującem siedliskiem, codzień w tutejszych mieszkańcach nowe tego udziału spostrzegam dowody, cząstkowe wynurzenia publicznego ducha..."

Niestety te objawy uwielbienia i współczucia dla Polski pozostały tylko objawami prawie gołosłownemi i to dzięki rządom ówczesnym. Wszechwładztwo ludów nie było wtedy jeszcze — tak jak niem dzisiaj nie jest — tak silne, ażeby wpłynąć na rządy, iżby z faktyczną przyszły nam pomocą.

Widział to Marcinkowski i mimowolnie nasuwała mu się myśl z bajki Krasickiego, że „wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły".

Zarówno we Francji jak i w Anglji rządy były niezdecydowane, co czynić wypada z autokratycznym potworem północnym, zagrażającym wolności europejskiej, depczącym wszelką sprawiedliwość i słuszność. Marcinkowski, bawiąc w Montrose, z całą uwagą śledził bieg wypadków, spodziewając się — jak wszyscy wychodźcy i wogóle cały naród — od zmian politycznych we Francji i Anglji także zmian w stosunku Polski do rządów zaborczych. Z powodu znajdującej się wówczas na porządku dziennym sprawy reformy parlamentu angielskiego, pisał do jenerała Chłapowskiego, z którym i po powstaniu serdeczna wiązała go przyjaźń:

„Bardziej, niż cholera (która zaczęła rozszerzać się i w Anglji), bo jest ogólniejsza, zajmuje umysły sprawa reformy parlamentów. Partja przeciwna wszelkiej zmianie stara się o ile możności osłabić w oczach izby deputowanych i ludu

powagę teraźniejszego ministerjum, wystawiając jego postępowanie w sprawie króla holenderskiego, jako niesprawiedliwe, a ze względu narodu angielskiego i jego przewagi w interesach Europy jako nielogiczne i wolne. Dyskusja nad moskiewsko-holenderską pożyczką niemało przyczyniła się do osłabienia publicznego zaufania w rządzie — wielu nawet o długiem utrzymaniu się teraźniejszego ministerjum powątpiewać zaczyna. Jak Karliści we Francji a Torysi tutaj, zasilani dumą północnej przemocy drwią z paryskiego i londyńskiego gabinetów, które czy nie chcą spostrzec, czy nie mogą przeszkodzić tajnym i powolnym, a dlatego tym niebezpieczniejszym zamachom Petersburga. Pewną to jest rzeczą, że i jeden i drugi obawia się wybuchu wewnętrznego wulkanu, którym dzisiaj i Francja i Anglja jest zagrożoną. Ale pytanie, czy wolne, niezdecydowane postępowanie ich rządów, przyczyniając się do wzrostu za granicą ich nieprzyjaciół wolności nie jest właśnie sprężyną przyspieszającą ten nieszczęśliwy wybuch, a natenczas najświętsza sprawa całego rodu ludzkiego o ileby wstecz posuniętą została! Przyszłoby mi czasem rozpaczać, gdybym nie miał tej niewzruszonej wiary, że się duch czasu śmiertelnika ręką nie da zatrzymać!".

Miał też Marcinkowski, obok tej wiary i tego oddania się sprawie wolności powszechnej, dobre oko na przeniewierstwo i obłudę rządów ówczesnych i pod innemi jeszcze względami. „Co się na wiosnę wydarzy" — pisze on w tym samym liście — „trudno dziś zgadnąć: wszystkie narody, czyli raczej ich guwernerzy prawią o potrzebie pokoju i o najświętszej usilności utrzymania go, i grając jawnie tę komedję, jeszcze jawniej gotują się do wojny!...

Jedynie rząd francuski starał się uniewinnić, powodowany tą od dawna zakorzenioną w nas ku Francji sympatją: „Francji którąśmy przez mordercze walki od pewnej obronili napaści,

jeszczebym nie chciał względem nas posądzać. Musi się nie czuć na siłach, aby, wydając wojnę, mogła się oprzeć licznym despotycznych rządów najemnikom, w których nienawiść i pamięć zwycięstw lat 1813 i 15 jeszcze nie uśpione. Francja dla ocalenia swej wolności, dla ustalenia jej na najwyższej władzy ludu, potrzebuje jeszcze pokoju. Starała go się wszelkiemi sposobami, nawet poświęceniem Polski utrzymać, bo nie wojna, ale pokój jest urodzajną porą, sprzyjającą krzewieniu się ducha czasu, *który kiedyś musi przedrzeć despotyzmu zasłonę*. Okropna dla nas ofiara — daj Boże, ażeby dla sprawy ogólnej całego rodu ludzkiego osłodzone przyniosła owoce". Wspaniałe to wyrazy, świadczące, że Marcinkowski, obok gorącego przywiązania do sprawy własnego narodu, czułym był na powszechne dobro ludów i że dla dobra tego cierpienia własnej poświęcał ojczyzny! Wobec tego, że dzisiejsi urzędowi przedstawiciele ludu wielkopolskiego, działający w parlamencie niemieckim wbrew potrzebom warstw ujarzmionych, a na korzyść swoich junkierskich interesów, głosując np. za cłami zbożowemi, za podwyższeniem wydatków na wojsko etc., uzurpują Marcinkowskiego dla siebie, warto im przypomnieć choćby na tem tu miejscu, że wielki ten patrjota nie spodziewał się nigdy zbawienia Polski ze strony rządów.

Manifest carski, wydany po upadku powstania upewniał Europę, że zamiarem władcy Rosji „pobratać dwa sąsiednie, spokrewnione narody". I cóż na to Marcinkowski? „W manifeście cara" — powiada on — „widzę, jak się duch czasu na despocie własną jego bronią pomści. Czyż nie zastanowił się nad tem, że musi kiedyś czas nadejść, *gdzie narody złożą tę nienawiść, którą w nich przez tyle wieków tylko duma despotów wpajała? Narody uznają się kiedyś za braci, ale wtenczas ta nadużyciem powagi Boga uświęcona tyranów władza, musi*

ustąpić przyrodzonemu człowieczeństwa prawu!...“ Trudno zaprawdę podnioślejszy przedstawić sobie umysł, nad ten, w którym podobne rodzą się pojęcia!

Obok kwestyj natury politycznej poświęcał Marcinkowski baczną uwagę sprawom ekonomicznym kraju, który go przyjął tak gościnnie. Społeczne i gospodarcze stosunki Anglji wielkie na nim wywarły wrażenie. Tutaj też powziął myśl pracowania nad wewnętrznem odrodzeniem własnego społeczeństwa, przekonawszy się po katastrofie listopadowej, że naród nic nie zrobi na polu walki, jeżeli nie będzie odpowiednio rozwinięty pod względem socjalnym i ekonomicznym. Imponuje mu Albion, którego „cały ogół jest olbrzymiem dziełem pracy i przemysłu ludzkiego“. Zachwyca się porządkiem i praktycznym zmysłem Anglików, którzy na każdym kroku działają z obrachowaniem „na użytek i dogodność w zaopatrzeniu potrzeb społecznego życia“... „Wszędzie dobre mienie“ — woła w liście do jenerała Chłapowskiego — „wszędzie w stosunku do nas, pomimo nierównie większej drogości, dostatki i przepych znajduję“. Nie ma słów uwielbienia dla stopnia oświaty ludności angielskiej. „Pod tym względem Anglik nie wychodzi za granicę interesu własnego kraju, ale z interesem swego kraju najniższy równie, jak najwyższy jednako jest obeznanym“. Szeroką jego naturę, nie zacieśniającą się zbytecznie w granicach narodowościowych, ale mającą zrozumienie dla celów ogólno-ludzkich, razi tylko egoizm kupieckiego narodu, nie przeszkadza mu to jednak nazywać go wielkim przez wzgląd na jego zabiegi około własnego rozwoju.

Przyjazne stosunki, jakie go łączyły podczas kampanji listopadowej z jenerałem Dezyderym Chłapowskim, nie zerwały się po jej nieszczęśliwem zakończeniu, ale może stały się jeszcze serdeczniejszemi. Jenerał, znakomity gospodarz, oddany po powstaniu uprawie roli, pozostawał z Marcinkow-

skim w korespondencji, poruczając mu załatwianie w Anglji drobnych interesów gospodarczych. Marcinkowski spełniał chęci przyjaciela z całą gotowością. A więc kupuje dla niego „nasienie brukwiane, najlepsze jakie dostać mógł", i przesyła je do Memla (Kłajpedy); bada, jak się rolnicy szkoccy obchodzą z ziemią, jak orzą i jakiego używają następstwa w zasiewach, i spostrzeżenia swoje, w detaliczne przechodzące szczegóły, komunikuje Chłapowskiemu.

Pobyt w Montrose, w gronie rodziny poczciwego Masona, przedłużył Marcinkowski, zdaje się z powodu cholery, która zawitała i do Anglji, nie czyniąc tu jednak dzięki dobrobytowi takich spustoszeń, jak w innych krajach Europy, a zwłaszcza w Polsce. Zatrzymywało go uczucie wdzięczności, które w nim nadzwyczajna, jak powiada, gościnność wzbudziła. „Zresztą — przyznaje to sam — rachowano wiele na jego pomoc, jako na jedynego pomiędzy dziesięcioma lekarzami tamtejszymi, „któryby, przypatrzywszy się tej klęsce (w Kłajpedzie), więcej niż drudzy wiedzieć powinien".

Zamiast też w początkach marca, jak to pierwotnie zamierzał, opuścił Montrose dopiero z końcem kwietnia, udając się do Edynburga, skąd po krótkim pobycie wyjechał do Londynu. W Edynburgu słuchał wykładów słynnego profesora Mackintoscha i pracował przy nim praktycznie, zajmując się zwłaszcza leczeniem dotkniętych cholerą, która i tutaj srożyć się zaczęła. Doświadczenia lekarskie poczynione, u boku Mackintoscha, zużytkował Marcinkowski później w broszurce swej o transfuzji krwi. Londyn nęcił go nietylko sławą uniwersytetu swego; do stolicy Anglji pchała go i ta okoliczność, że za staraniem ks. Czartoryskiego zawiązało się tamże „Towarzystwo polskie literackie", istniejące do dnia dzisiejszego, a mające na celu niesienie pomocy wychodźcom polskim i zwracanie uwagi Europy na położenie naszej ojczyzny.

O stowarzyszeniu tem wspomina on jeszcze w liście, wysłanym do Chłapowskiego z Montrose: „Wyczytałem wczoraj" — pisze pod dniem 20-go kwietnia 1832 r. — „interesowny artykuł w Kurjerze Londyńskim, który mą ciekawość do zwiedzenia tego miasta zaostrzył. Jest to uwiadomienie o zawiązaniu „Polish litterary association". Anglicy w tem towarzystwie mają zamiar przekonać nas de facto, że kiedy rząd czy nie mógł, czy nie chciał śmiertelnego od kraju naszego odwrócić ciosu, lud angielski szlachetniejszemi powodowany uczuciami, aż do pomyślniejszego czasu dla wygnanej z własnej dziedziny swojej polskiej narodowości ofiaruje schronienie i pomoc".

Pierwszy list, wystosowany do jenerała Chłapowskiego z Londynu nosi, datę 8. lipca 1832. Widać z niego przedewszystkiem, jak żywo zajęło go nowo zawiązane towarzystwo, mające „zamiar oświecenia zagranicznych o wszystkich szczegółach, tyczących się naszego narodu, o którym tu wszędzie najfałszywsze mają wyobrażenia, jak o żelaznym wilku, i utrzymać sympatję do przyszłej okazji". Polaków musiała być wówczas znaczna liczba nad Tamizą, ze znakomitszych wspomina o Czartoryskim, Niemcewiczu, Władysławie Zamojskim, jenerałach Pacu i Rybińskim, o Działyńskim, Czapskim i Gurowskim Adamie, „należącym do partji jawnych demokratów, których celem, zdaje się, pisać przeciw wszystkim, co mieli udział w rewolucji". Z ostatniego zwrotu nie wynika wcale, jakoby Marcinkowski czuł wstręt do idej demokratycznych. Świadczy przeciwko temu zapał, z jakim o szlachetnym Wielkopolaninie wyraża się w listach swoich taki prawdziwy demokrata, jak Maurycy Mochnacki; świadczy przeciw temu cała działalność jego, zdążająca do „zbratania wszystkich warstw narodu", tak, że był czas, gdzie go posądzano o zwykłe u nas w takich razach „zapędy demagogiczne".

Marcinkowskiego raziła tylko niezgoda, panująca wśród emigracji naszej; niezgoda, która nie przysparzała sławy narodowi polskiemu i była nieraz powodem obelg, rzucanych na nas nawet z trybun parlamentów francuskiego i angielskiego. „Najgorzej, że są tacy" — ubolewa Marcinkowski — „co wszystkich bez wyjątku czerniąc, całą sprawę w oczach obcych narodów w uwłaczających wystawiają kolorach". Ubolewał nad tego rodzaju stosunkami tem więcej, ponieważ sam nie czuł się na siłach, aby zaradzić złemu, aby pojednać zwaśnionych rodaków. „Wątpię, żeby moja osoba gdziekolwiek do pogodzenia partyj posłużyła. Za mała moja do tego figura, a zarozumiałość tych, którzy niegodnych niesnasek między naszymi pobudką są i żywiołem, buja w ostateczności ach, żadnych nie przyjmujących prawideł".

Sympatje Anglików, objawiające się choćby w założeniu powyżej przytoczonego „Polish litterary association" nie zamgliły u niego jednak tego zdrowego sądu, jaki miał o biegu wypadków. W parlamencie londyńskim postawił był Fergusson wniosek o upomnienie się zaręczeń, traktatem wiedeńskim dla narodu polskiego przyznanych. Marcinkowski na skutek wniosku tego wcale nie liczył, a to mianowicie z tego powodu, ponieważ umiał właściwą przykładać miarę do kontraktów dyplomatycznych. Zresztą Anglję uważał za zbyt egoistyczną, ażeby cośkolwiek uczyniła dla innych, własnego nie mając w tem względu. „Jeżeli Anglja przy tej okazji uczuje dla własnego interesu potrzebę wojny z Moskwą, rzecz ta lepsze pewno przyniesie skutki, niż zwyczajne formalności i tłumaczenia traktatów, które między monarchami nic nie znaczą, a ludów nie zobowiązują..." Jasno patrzał Marcinkowski na wszystko, dlatego też zrozumiała jest następująca notatka, uczyniona z powodu mającej wybuchnąć wojny pomiędzy Rosją a Anglją: „Ale co mi się w tem nie podoba,

jest ta okoliczność, że ją sobie raczej Torysowie życzą, aby tym sposobem odwrócić umysły Anglików od szkodliwej ich partji reformy domowej, a pod tym względem liberaliści bardziej dbający o zabezpieczenie nowo nabytych praw, chciwi zniszczenia wpływów Torysów, o utrzymanie pokoju nawet z chwilowem poświęceniem interesów zagranicznych starać się gotowi..." A więc najzwyklejszy egoizm klasowy czy partyjny, który nie umiał się nagiąć pod słodkie jarzmo celów szlachetnych, do jakich ludzkość kroczyć powinna, celów, gotujących społeczeństwom wszystkim, bez wyjątku, najwyższe dobro — wolność.

Ten egoizm, który go niemile dotykał w Anglji, razi go i we Francji, do której zawitał w sierpniu tego samego roku. Zamieszkawszy w Paryżu, oddawał się przedewszystkiem studjom medycznym, których stan daleko był tu wyższy, niż na innych wszechnicach europejskich.

Miał on i tutaj sposobność przekonania się o nadzwyczajnej, jak powiada, bystrości Francuzów w wynajdywaniu środków na dochodzenie siedliska i natury choroby. Wyników ich badań nie brał jednak na ślepo, będąc tego zdania, że „lekka ich żywość w praktycznem zastosowaniu najczęściej prowadzi do jednostronnych systematów", nie przejmował się też „żywością urojeń", niemniej jednak uczył się „odkrywać prawdę w ich ciekawych poszukiwaniach i unikać błędów, do jakich ich nieraz jednostronne ze spostrzeżeń wyprowadzane wnioski" powodowały.

Specjalne atoli studja medyczne nie przeszkadzały mu z jednej strony czynić obserwacji nad Francją co do jej stanu ekonomicznego. W drodze z Anglji do Paryża nasuwa mu się porównanie stosunków albiońskich z francuskiemi; znajduje, że zachodzi nawet pewne podobieństwo pomiędzy Francją a Polską: jadąc z Calais spotyka tak samo nędzne chałupy,

jak i po wsiach ojczystego kraju. Z drugiej strony zajmują go tutaj — rzecz naturalna — kwestje polityczne, zwłaszcza zaś życie wychodźców polskich. Spostrzeżeń swoich udziela przyjaciołom, pozostałym na ojczystym zagonie, a z spostrzeżeń tych wieje ten sam duch prawdziwie demokratyczny, który nie spodziewa polepszenia się doli narodów od dyplomatycznych rokowań. „Wszystko — powiada Marcinkowski — w oczekiwaniu jakiegoś rozwiązania kwestyj stanowczych, które dziś jak węzeł gordyjski tylko śmiałem uderzeniem rozwikłane być mogą. Te każda chwila sprowadzić może, której żadna bystrość polityków obrachować nie potrafi, ale wątpię, żeby ją monarchowie przyspieszać zamyślali. *Czują potrzebę zgody w wspólnej sprawie bezpieczeństwa przeciw przewadze ludów*".

Głównem siedliskiem emigracji polskiej był, jak wiadomo, Paryż. Życie wśród wychodźców nadzwyczaj bystrym, niejednokrotnie nawet rozhukanym płynęło potokiem. Nie obywało się bez swarów, bez rzucania na siebie wzajemnych podejrzeń i obelg, bez płonnego wreszcie politykowania, odciągającego ten najinteligentniejszy odłam społeczeństwa naszego od pracy realnej. Nie można się temu dziwić; świeże nieszczęście, jakie w postaci upadku powstania listopadowego spadło na naród polski, rozstrajało wrażliwe, niedolą skołatane umysły, przyśpieszało bicie serca, oddanego, pomimo wszystkich błędów i zboczeń, gorąco sprawie ojczystej. Pod nawałem katastrofy, a wreszcie nędzy osobistej, w jakiej znalazła się na bruku paryskim przeważna część wychodźtwa, nie można było spokojnego nabrać sądu o wypadkach. Emigracja, zwłaszcza w pierwszych chwilach swego istnienia, nie doszła jeszcze do ogólnego zrozumienia, że powstanie zakończyło się smutnie, nie dzięki winom lub słabości jednostek, ale dzięki temu kardynalnemu błędowi, że do udziału w walce

o wolność nic wciągnięto szerokich mas ludowych, że walkę tę prowadziła głównie szlachta, za wątła, ażeby, pomimo całego bohaterstwa i poświęcenia, któremu należy się oddać hołd wszelaki, wydrzeć nieszczęśliwą ojczyznę z drapieżnych łap północnego niedźwiedzia. Marcinkowski, „za stary i za zimny", umiał do pogodniejszego wznieść się sądu, trzymał się też od wszelkich swarów zdaleka, ciesząc się, jeżeli burza zaczęła się uśmierzać. Nie odciągał się atoli od pracy, przeciwnie: sam nawet, pomimo skromności wrodzonej, miał tyle wiary, że na emigracji na coś przydać się może, że może „istotnie stać się użytecznym ojczyźnie". To też gdy, zawiązało się w Paryżu „Towarzystwo literackie", Marcinkowski, na wezwanie wiceprezesa, L. Platera, przystępuje natychmiast do niego, oddając mu całego siebie na usługi: „Sam zanadto czuję nieudolność, abym to szczere mógł pominąć zeznanie, że mi do dokładnego odpowiedzenia wyższym Towarzystwa celom tego właśnie nie dostaje ukończenia, któremu wszystkie chwile pobytu mego dzisiejszego za granicą poświęcić zamierzyłem. Gdyby gorliwe chęci niemożność zastąpić zdołały, śmiałbym sobie pochlebić, że oczekiwaniom Towarzystwa zawodu nie zrobię. Do tego światłego zdania należeć będzie ocenić moje naukowe siły i użyć ich jak najstosowniej".

W „Towarzystwie Literackiem", które pod firmą pracy naukowej zajmowało się wobec stłumionego życia politycznego w Polsce — sprawami publicznemi, które będąc niejako dalszym ciągiem rządu narodowego, protestowało przeciwko gwałtom, spełnianym na ojczyźnie naszej, wołało o sprawiedliwość i szukało pomocy bądź u rządów, bądź u ludów — otóż w Towarzystwie tem *sławny Marcinkowski* — jak go nazywa Maurycy Mochnacki — od razu wybitne zajął stanowisko. Zasięgano jego rady w kwestjach najważniejszych,

ceniąc przedewszystkiem jego chłodną rozwagę, mrówczą pracę i zdolność poświęcenia. Tutaj zetknął on się też z najwybitniejszymi wychodźtwa reprezentantami: z Czartoryskim, Niemcewiczem, Kniaziewiczem i innymi, pracującymi nad skonsolidowaniem emigracji, nad podniesieniem jej członków zarówno pod względem materjalnym jak i moralnym, chcąc z nich wychować — a byli to w znacznej części ludzie młodzi — dzielnych obywateli, którzyby wróciwszy do kraju, o czem nigdy myśleć nie przestali, umieli dbać o jego dobro. W Towarzystwie Literackiem zbudziła się w owym czasie myśl najszlachetniej pojętej pracy organicznej; założono Towarzystwo naukowej pomocy dla młodzieży emigracyjnej (w r. 1832—23. grudnia), które miało posłużyć Marcinkowskiemu za wzór stworzenia jego wiekopomnego dzieła, tak błogie dotychczas w Wielkopolsce niosącego owoce.

W ciągu tego czasu spotkało Marcinkowskiego odznaczenie niezwykłe. Sława jego lekarska, zwłaszcza zaś jako znawcy cholery, dotarła i do paryskiej Akademji nauk. Rząd francuski, postanowiwszy zbadać istotę tej choroby, która zaczęła grasować i we Francji, wysłał delegatów do Warszawy, w Paryżu zaś zasięgał rady pod tym względem od przebywających tamże lekarzy polskich. Wskazówki ich, a zwłaszcza Marcinkowskiego, umiały paryskie sfery naukowe odpowiednio ocenić. Akademja nauk przyznała mu złoty medal zasługi wartości 1000 fr. Nagrody tej nie zużytkował jednak dla siebie, ale złożył do kasy emigracyjnej, przeznaczając całą sumę na kształcenie się w medycynie przebywających w Paryżu młodzieńców polskich. Czyn ten wspaniałomyślny na tem większe zasługuje uznanie, że pochodził ze strony człowieka bądź co bądź biednego. Bo jakiż był stan majątkowy Marcinkowskiego podczas pobytu za granicą? Pieniędzy własnych nie posiadał; miał tylko pożyczkę udzieloną mu

w Kłajpedzie przez Chłapowskiego. Obchodził się z nią nadzwyczaj oszczędnie, nie wydając z początku więcej jak 60 fr., a później 70 fr. na miesiąc. „Nie byłem nigdy dla siebie rozrzutnym — pisał do jenerała — dziś skąpym być nie umiem bez ubliżenia celowi nauki, która mój pobyt za granicą przedłuża". W innem zaś miejscu powiada: „Ograniczając wydatki na osobiste potrzeby, zaciągnionej w Memlu pożyczki nie wyszafowałem. Jeszcze mam 600 franków w gotowiźnie, a stałe moje wydatki nie przenoszą dziś 70 fr. na miesiąc. Dlatego byłoby niesumiennie, gdybym się na sumę u G. Caramana złożoną miał targnąć. Dobroć Twoja nie powinna mnie sprowadzić z drogi oszczędności. Działając wbrew moich principjów, mógłbym tylko na nieukontentowanie Twoje zasłużyć. Tylko na jeden przypadek poważę się wskazany mi fundusz naruszyć, to jest, jeżeli się nadarzy nieuchronna konieczność dopomożenia komu potrzebniejszemu odemnie".

Konieczność ta nastąpiła niebawem. W przykrem położeniu znalazł się zasłużony kapitan Leon Szmitkowski, kolega szkolny i towarzysz broni Marcinkowskiego. Na jego rzecz podjął on z deponowanej u jenerała Caramana, przyjaciela Chłapowskiego, sumy 24 funtów szterlingów — dla siebie nie wziął ani franka.

Śród pracy przemijał Marcinkowskiemu czas w Paryżu bardzo szybko. Przyjaciele jego, pozostali w kraju, obawiali się, ażeby życie emigracyjne nie porwało go do tego stopnia, iżby, zamiast oddawać się studjom, poświęcał czas na mniej lub więcej bezpłodne marzenia. Marcinkowskiemu, który wciąż tylko przemyśliwał nad tem, jakby owoce swych zabiegów obrócić na korzyść społeczeństwa polskiego, nie potrzeba było tego przypominać.

Uspokaja on też Chłapowskiego pod tym względem następującemi słowy: „Nie obawiaj się, żebym uległ losowi Fausta.

Żadne płonne rozmyślanie nie może obałamucić mego umysłu. Rzeczy, z któremi staram się obznajmić, są li tylko praktycznej natury. Anatomja, chirurgja, kliniczne odczyty w szpitalach, są teraz głównemi przedmiotami moich studjów..."

Odznaczenie, jakie go spotkało ze strony francuskiej Akademji nauk, powiększyło jeszcze ufność, jaką w Wielkopolsce miano do jego sztuki lekarskiej. Udawali się też do niego przyjaciele i znajomi listownie o radę w rozmaitych cierpieniach, a Marcinkowski nie omieszkał udzielać ich w najrozleglejszej mierze. Pomimo rozlicznych zajęć w klinikach paryskich, zajęć, przypadających mu nadzwyczaj do serca, nie przestawał Marcinkowski myśleć o powrocie do kraju. Szlachetną jego duszę nęciła przedewszystkiem perspektywa, że zbogacony nowym zasobem wiedzy fachowej, będzie ją mógł na ziemi rodzinnej zużytkować dla ulżenia cierpiącym, zwłaszcza biedakom. „Chwytasz mnie za słabą stronę" — pisze Chłapowskiemu, który go naglił do jak najspieszniejszego powrotu — „chwytasz mnie za słabą stronę, donosząc, że się ubodzy uskarzają na moje oddalenie. Łatwo pojmiesz, ile mnie samemu tęsknota do dawnych zatrudnień dokuczać musi. Nie zmieniłem postanowienia powrotu, choć go tylko dla samej nauki jak mogę, przeciągam".

Tymczasem trzeba było i z innych jeszcze przyczyn pobyt za granicą przedłużyć. W Poznaniu wytoczono śledztwo w sprawach politycznych jednemu z obywateli wielkopolskich, Szumanowi. W proces wmieszano, jakkolwiek niesłusznie, i Marcinkowskiego. Obawiając się, aby po zjawieniu się w kraju, nie zamknęli go Prusacy w fortecy, postanowił przeczekać czas śledztwa, i dopiero po ukończeniu tegoż opuścić Francję. Dlatego też dopiero we wrześniu 1834, uzyskawszy paszport pruski, wyjechał z Paryża, udając się na Kolonję i Magdeburg do domu. W Magdeburgu otrzymał polecenie

Bibl. Wydz. Z W. S. P. w Krakowie

udania się do Berlina i zameldowania się w tamtejszej policji. Obawy jego nie były płonnemi. W stolicy nadsprejskiej przyaresztowano go i osadzono w berlińskiem więzieniu śledczem, w którem przesiedział całe pięć miesięcy, po którym to czasie uwolniono go, nie udowodniwszy mu żadnej zbrodni. „Bolała nad tem dusza jego, spragniona atmosfery ojczystej" — powiada Hipolit Cegielski — „ucierpiało znów mocno jego zdrowie, bo wszystkie dawne słabości reumatyczne i płucowe odezwały się na nowo". Nareszcie w kwietniu r. 1835 stanął w Poznaniu, ażeby po pięciu latach, zapełnionych walką o wolność ojczyzny i tułaczką, która się skończyła kaźnią, rozpocząć na nowo praktykę lekarską i bogatą w skutki pracę nad odrodzeniem społeczeństwa.

III.

Powrót Marcinkowskiego do Poznania wywołał wśród całej ludności wielkopolskiej niezwykłą radość. „Marcinkowski wraca!" wołano po całem Księstwie, a mieszkanie jego zapełniało się niebawem chorymi, ślepo ufającymi znakomitemu lekarzowi. Praktyka jego przybrała też od razu rozmiary olbrzymie. W mieszkaniu jego panował ruch niezwykły: o każdej porze dnia spotykano tłumy pacjentów w pokojach i na schodach; w godzinach poobiednich odbywał się u niego rodzaj polikliniki; cały zastęp młodych lekarzy asystował mu wtedy i pomagał w załatwianiu się z chorymi. Zewsząd zgłaszano się do niego o pomoc, a ponieważ stosunki komunikacyjne były wówczas dość utrudnione, Marcinkowski wyjeżdżał spełniać obowiązki lekarskie na prowincji konno, nie schodząc niejednokrotnie po kilkanaście godzin z siodła. Lubował się też w koniach rasy pięknej, choć wydarzało się że dosiadał, gdy się koń jego zmęczył, koni chłopskich lub

pocztowych. „Wiara uzdrawia", powiedział on sam w jednym ze swoich listów. Twierdzą też współcześni, że Marcinkowski więcej działał urokiem swojej osoby, aniżeli, przepisywanemi środkami. „Oblicze jego przy łóżku chorego, nieprzesadne słowa pociechy, były jak gdyby zażegnaniem choroby, do którego środek lekarski był niejako pobocznym tylko dodatkiem". Wierzył on głęboko w psychiczne wpływy, używał ich też w różnej mierze i w różny sposób. „Powołany raz do łoża śmiertelnie chorej młodej kobiety, przywiózł jej lalkę, pięknie wystrojoną, jak dziecku mówiąc, aby się bawiła... Umiał też trafiać celnie do przekonania tych, których mu wypadło nakłonić do zabiegów terapeutycznych, nieraz nader bolesnych, a w jego przekonaniu koniecznych".

Praktyka lekarska nie przeszkadzała mu brać udziału w życiu publicznem, w którem obecnie był jeszcze więcej potrzebny, aniżeli kiedykolwiek indziej. Upadek powstania odbił się bowiem i na stosunkach Księstwa. Z odłamem pokonanego narodu zaczęto się i ze strony pruskiej obchodzić coraz surowiej. Nasamprzód tedy odwołano z dotychczas zajmowanej posady namiestnika p. Antoniego Radziwiłła, odbierając tem samem Wielkopolsce resztki autonomji, zagwarantowanej traktatami wiedeńskiemi. WKs. Poznańskie, na którego czele stanął odtąd naczelny prezes Flottwell, wyposażony znacznym zasobem władzy dyskrecjonalnej, straciło swą odrębność polityczną. Prądy nabrały charakteru policyjnego; utworzono tak zwanych komisarzy dystryktowych (okręgowych), którzy mieli czuwać nad „porządkiem"; a ministerstwo oświaty wydawało rozporządzenia, ścieśniające coraz bardziej prawa języka polskiego w szkołach i urzędach. Flottwell otrzymał nawet tajne polecenie nabywania na skarb dóbr polskich, zagrożonych subhastą i rozparcelowania ich pomiędzy kolonistów niemieckich. Bismarkowskie

więc dzieło, oparte na stu miljonach marek, uchwalonych przed kilku laty na wydzieranie ziemi polskiej z rąk dotychczasowych, moralnie i materjalnie zbankrutowanych właścicieli, nie było oryginalnem, Książę miał pod tym względem swojego poprzednika w osobie naczelnego prezesa, wspomnianego powyżej Flottwella.

Rozpoczęły się prześladowania tych Wielkopolan, którzy z bronią w ręku pospieszyli pod zabór rosyjski dla wzięcia udziału w powstaniu listopadowem. Posypały się procesy, w które zamięszano wielką ilość obywateli Wielkopolski; na więzienie, kary pieniężne i konfiskatę majątków skazano w owym czasie ogółem 2000 osób. Doszło do tego, że nawet sejm prowincjonalny, złożony w znacznej części z Niemców, domagał się w Berlinie, ażeby z obywatelstwem poznańskiem obchodzono się z mniejszą bezwzględnością. Zdaje się, że to nieco pomogło; ściąganie kar odbywało się dosyć powoli, wreszcie z wstąpieniem na tron Hehenzollerów Fryderyka Wilhelma IV, człowieka sprawiedliwego, nie mającego krwiożerczych instynktów, przyszła amnestja, która zniosła konfiskatę dóbr i umorzyła zaległości. Reakcja, jaka nastąpiła po krwawym wysiłku naturalnym wypadkiem rzeczy, ogarnęła szerokie koła społeczeństwa. Jakiś dziwny lęk owładnął umysłami, które nie mogły sobie narazie wytłumaczyć, dlaczego sprawa polska upadła, pomimo tylu a tylu w czasie kampanji powodzeń orężnych. Powstanie listopadowe było nadludzkiem prawie wysiłkiem — w narodzie, który anemiczną słabość ośmnastego wieku bezpośrednio po przodkach swoich odziedziczył. Nie wiedziano narazie, czego się jąć: haseł szlachetnie, nie po bankiersku lub episjersku zrozumianej, tak zwanej organicznej pracy, która wówczas mogła była wyjść na korzyść zmęczonemu społeczeństwu, nie podnoszono, a wpływ emigracji, żyjącej tradycją spisków, które

zrodziły wybuch nocy belwederskiej, wręcz w przeciwnym działał kierunku. Tworzono na nowo tajne stowarzyszenia, myślano o nowym ruchu, zwłaszcza młodzież zdolniejsza i szlachetniej myśląca zaciągała się w szeregi konspiratorskie, nowe spowodowując ofiary.

Znaleźli się jednak ludzie, którzy skołatane społeczeństwo na nowe zaczęli popychać tory. Zaczęto przychodzić do przekonania, że naród bez oświaty niczem nie jest, że dążenie do niej powinno być pierwszym programem w pracy nad wewnętrznem jego odrodzeniem. Znany historyk Jędrzej Moraczewski organizuje tedy w różnych miejscowościach WKsięstwa kółka towarzyskie, tak zwane kasyna, których celem obok zabawy, było zakładanie bibljotek, zbieranie starożytności polskich i zaznajamianie członków z najnowszemi płodami literatury polskiej. Za jego przykładem poszli i inni, budząc wszędzie zamiłowanie do książki i do wszystkiego, co tylko korzystnie na rozwój umysłu i serca wpłynąć mogło. Tym też zabiegom ma Wielkopolska do zawdzięczenia, że w okresie listopadowym stanęła na czele umysłowego życia narodu. Przyczyniła się do tego w niemałym stopniu przedewszystkiem literatura emigracyjna. Tysiące broszur, pism, książek i książeczek dostają się niespostrzeżonemi przez rząd pruski drogami do Wielkopolski i zalewają domy obywatelstwa poznańskiego. Literatura ta obok rzeczy niejednokrotnie lichych, posiada cały szereg dzieł wspaniałych, które były najświetniejszym wyrazem narodowego ducha, najpiękniejszym pomnikiem jego twórczości. Na emigracji wszakże tworzyli Mickiewicz. Słowacki, Krasiński; na emigracji powstały pełne ognia pisma Maurycego Mochnackiego. WKs. Poznańskie było wówczas najgłówniejszym, rzec można, etapem emigracji. Roiło się po niem od emisarjuszy, bądź co bądź, mniej prześladowanych przez Prusaków,

aniżeli w Galicji np. przez ówczesny rząd austrjacki. W epoce owej działo się przecież w Galicji tak, że za znalezienie zakazanej broszury — a cóż wtenczas nie było zakazanem! — zamykano na kilka lat do celi więziennej. Więzienia w Kufsteinie, Spielbergu i Lwowie niejedną mogłyby pod tym względem opowiedzieć historję. W WKs. Poznańskiem, pomimo sprężystości naczelnego prezesa Flottwella i wrogich jego względem Polaków chęci, patrzano na emisarjuszy nieomal że przez palce. Ruch ten pociągnął za sobą ruch literacki, zaczynający w Wielkopolsce objawiać się nie bezpośrednio po powstaniu, ale dopiero około roku 1834. Hasło ku temu dało czasopiśmiennictwo. Ono to gromadziło na około siebie najinteligentniejsze umysły, ono nawoływało społeczeństwo do solidarnej a wytrwałej pracy. Pierwszem czasopismem, jakie się ukazało w Poznańskiem po powstaniu, był *Przyjaciel Ludu*, wydawany w Lesznie, w gnieździe Leszczyńskich, przez profesorów Jana i Antoniego Poplińskich i znanego historyka Józefa Łukaszewicza. Wszyscy trzej byli nauczycielami języka polskiego, pierwszy w gimnazjum leszczyńskiem, dwaj ostatni zaś, w gimnazjach poznańskich. Łukaszewicz był oprócz tego zawiadowcą słynnej bibljoteki Raczyńskich, oddanej przez zasłużonego obywatela Wielkopolskiego, hr. Edwarda Raczyńskiego, miastu Poznaniowi wraz ze wspaniałym gmachem, w którym się dotychczas księgozbiór ten mieści. *Przyjaciel Ludu*, jakkolwiek w tendencjach swoich konserwatywny, niemałe położył zasługi, przyczyniając się przedewszystkiem do rozwoju języka polskiego, o którego czystość wydawcy skrupulatnie dbali. Mężowie ci nie ogłaszali żadnych programów, działalność ich była jednak nacechowana prawdziwą miłością społeczeństwa i jego przeszłości. Pismo to bowiem umieszczało głównie artykuły historyczne, śród których niejedna rozprawa doniosłą posiadała wartość. Wychodziły one

z pod pióra albo wydawców samych, albo też ruchliwego Jędrzeja Moraczewskiego. Z beletrystów ówczesnych umieszczali w *Przyjacielu Ludu* prace swoje Franciszek Morawski, którego znane legendy i balady jak Brzoza Gryżyńska, Izydor St. Oracz, Germek itd. były prawdziwą ozdobą pisma; dalej Jan Nepomucen Jaśkowski, Konstanty Zakrzewski itd. — *Przyjacielowi Ludu* wyrósł niebawem przeciwnik w *Tygodniku Literackim*, który redagował Antoni Woykowski, człowiek nadzwyczaj oryginalny, zapalony demokrata, całą duszą oddany sprawom publicznym. Zaprzyjaźniony z ówczesną młodzieżą, przedstawiającą element ruchu, do której zaliczyć wypada Kajetana Buchowskiego, później posła do parlamentu niemieckiego, dalej redaktora *Dziennika Domowego* i *Gazety Wks. Poznańskiego*, Napoleona Kamieńskiego, przebywającego wówczas w Poznańskiem w charakterze emisarjusza, ks. Walerego Breańskiego, Jędrzeja Moraczewskiego, Karola Libelta, zaczął Woykowski wydawać w r. 1839 pismo, które, o ile na to pozwalały ówczesne stosunki cenzuralne, było wyrazem dążeń i zapatrywań ówczesnego stronnictwa postępowego. *Tygodnik Literacki* — powiada Kazimierz Jarochowski — „stał się, jeżeli tak wolno powiedzieć, wytyczną wzrostu i kierunku, jaki literatura poznańska wziąść odtąd miała, a niespożytą zasługą redakcji już nie dla Poznańskiego samego tylko, ale dla całej oświaty ówczesnej narodowej pozostanie, że zrozumiawszy chwilowe stanowisko Poznańskiego w składzie innych części dawnej Polski, znaczenie jego i doniosłość, zrozumiała niemniej własne swe stanowisko i własny swój pośród podobnych okoliczności obowiązek". A Poznańskie, pomimo nasyłanych obywatelom komisyj śledczych, pomimo leniwych i zawsze bezskutecznych gonitw policji za emisarjuszami, pomimo zapędów germanizatorskich Flottwella, znajdowało się w stosunku do innych części rozebranej

Rzeczypospolitej naprawdę w odmiennem tj. lepszem położeniu. Pod zaborem rosyjskim moskiewscy siepacze krwawe wyprawiali z polskim narodem orgje. W Galicji, w epoce Kriegów, Langenauów, Enzersdorfów nie o wiele lepiej się działo. W jedynem WKsięstwie, pomimo wszystkiego, pomimo usunięcia namiestnika, pomimo odebrania autonomji itd., względna w każdym razie panowała swoboda. Nie dziw też, że oczy myślących i żywiej czujących w społeczeństwie naszem ludzi zwracały się ku Wielkopolsce, która wraz z emigracją stała się odtąd głównem ogniskiem narodowego życia. *Tygodnik Literacki* umiał pojąć i zużyć te korzyści i odrazu został nie organem prowincjonalnym, ale organem całego polskiego stronnictwa postępowego. W łamach jego znalazły gościnność wszystkie ówczesne literackie siły Polski. Karol Libelt, syn poznańskiego szewca, pisał tu swoje rozprawy krytyczne i filozoficzne; Jędrzej Moraczewski umieszczał artykuły z dziedziny dziejów polskich; Michał Czajkowski i rozpoczynający wówczas zawód literacki Kraszewski drukowali w Tygodniku swe powieści; Goszczyński, Łucjan Siemieński, naówczas postępowym hołdujący zasadom, Edmund Wasilewski, Roman Zmorski, Franciszek Żychliński i Piotr Dahlman raczyli publiczność pięknemi poezjami w tem piśmie.

Obok *Tygodnika Literackiego* powstaje postępowy również organ *Dziennik Domowy*, a konserwatywnemu *Przyjacielowi Ludu* wyrasta sojusznik w *Orędowniku*.

Ze śmiercią Fryderyka Wilhelma III. (w r. 1840) i z równoczesnem wstąpieniem na tron Fryderyka Wilhelma IV. dla Wielkopolski lepsze nastały czasy. Język polski, przez Flottwella wyrugowany ze szkół i urzędów, zaczął na nowo dawniejsze swoje odzyskiwać prawa; a zniesienie konwersji kartelowej, jaka istniała pomiędzy Rosją a Prusami, przyczyniło się w niepomierny sposób do użyźnienia duchowego

gruntu Wielkopolski. Spowodowało ono bowiem napływ emigracji z Królestwa i zachodniej Europy, a że to byli ludzie po większej części inteligentni, nie dziw zatem, że Poznańskie stanęło odrazu na wysokim poziomie duchowym. Wpływ emigracji był na wszystkie warstwy ludności poznańskiej ożywiający i pobudzający. „Zastęp emigracyjny" — powiada cytowany już w książeczce niniejszej znakomity znawca tej epoki, Kazimierz Jarochowski — „składający się z warstw niższych towarzyskich wcielił się odrazu za dotknięciem ziemi poznańskiej w szeregi rzemieślników poznańskich i rozpoczął pomiędzy nimi propagandę oświaty i patrjotyzmu narodowego. Propaganda owa znalazła się praktykowaną tem prędzej i umiejętniej, że wielu emigrantów wyższej już inteligencji, małych urzędników, uczniów szkół, synów obywatelskich, bądź to z poświęcenia, bądź z niemożności poszukania sobie innego zajęcia, oddawało się poprostu rękodzielnictwu i pracowało u różnych „majstrów" polskich miasta Poznania... Miała przecież owa emigracja z Królestwa, oprócz chłopów uciekających przed branką, oprócz owej młodzieży, karmiącej siebie i rzemieślników poznańskich literaturą emigracyjną i konspiracyjną, swoje, jeśli tak wolno powiedzieć, wyższe piętro, oddziaływające sympatycznie a wpływowo na rozwój życia umysłowego i literackiego w Poznańskiem". Do tej kategorji wychodźców należał przedewszystkiem August Cieszkowski, głośny autor filozoficznego dzieła „Ojcze nasz", „Prolegomenów" do filozofji historji, wielu rozpraw ekonomicznej i gospodarczej treści etc., Cieszkowski, którego sławę głosił z katedry College de France Adam Mickiewicz. Przybył wtedy do Poznania znakomity publicysta, Władysław Bentkowski; przybył Władysław Wężyk, autor „Podróży po wschodzie i starożytnym świecie", który w Poznaniu, pomimo niesłychanych trudności, na kilka wprawdzie

miesięcy tylko stałą otworzył scenę. W murach Poznania obracał się Henryk Kamieński, syn jenerała, poległego bohaterską śmiercią pod Ostrołęką, autor dzieła „Prawdy żywotne narodu Polskiego". Z nim razem zjawił się na ziemi Wielkopolskiej młody Roland, syn znanego z wyprawy Chłapowskiego na Litwę jenerała Rolanda. Był i znany poeta, Roman Zmorski, ludoman, zwracający na siebie uwagę długiemi włosami i surdutem z grubego płótna na wzór chłopskiej sukmany zrobionym, z kijem sękatym w ręku. Z Królestwa również na ziemię wielkopolską przybył Kazimierz Radecki, pomagający Wężykowi w otworzeniu sceny; dalej Józef Komierowski, towiańczyk, autor dramatu „August z kości"„ wreszcie jeden z najbardziej interesujących w owym czasie ludzi młody Edward Dembowski, syn kasztelana, demokratycznym hołdujący zasadom. Człowiek ognisty, zbliżył się on, po przybyciu do Poznania, do ludzi postępu, jak Moraczewski i Woykowski, pisywał artykuły do Tygodnika Literackiego i stał się niebawem jedną z najbardziej wpływowych osobistości wśród publicystów i literatów ówczesnych. Edward Dembowski należy do najszlachetniejszych czynników w życiu naszem w epoce porozbiorowej. W r. 1846 brał wybitny udział w organizacji powstania w Krakowie, wydawał płomienne odezwy rewolucyjne, w których choć, sam arystokratycznego był pochodzenia, występował przeciwko szlachcie, nazywając ją eks-szlachtą. Zginął w procesji wyprawionej z Krakowa na Podgórze w r. 1846, zdobywszy przedtem bohaterskim podstępem sam jeden miasto Wieliczkę. W Poznaniu przemieszkiwał w tym czasie Łucjan Siemieński, który nie sprzeniewierzył się był jeszcze wtedy przekonaniom demokratycznym, i tutaj ogłosił drukiem powieści i poezje swoje. Nie brakło i dra Tripplina, owego czasu nadzwyczaj wziętego autora wrażeń z najrozmaitszych podróży po Danji, Szwecji,

Norwegji; po Anglji, Francji, Portugalji, Marokko i kraju Berberów; wrażeń, przepisywanych z dzieł innych prawdziwych podróżników. Tripplin bowiem, w większej części wymienionych co dopiero krajów w życiu swojem nigdy nie był, Gościł także na ziemi Wielkopolskiej zwolennik filozofji Hegla, Trentowski, z pod którego pióra wychodziły wówczas znane w filozoficznej literaturze naszej dzieła jak Chowanna, Cybernetyka, Myślini, Demonomanja i inne, drukujące się prawie wyłącznie w Poznaniu.

Jak już powiedziano wyżej, przebywali na ziemi Wielkopolskiej wysłańcy emigracji, przedstawiciele najrozmaitszych prądów, nurtujących w wychodźtwie. Towarzystwo Demokratyczne reprezentował Mierosławski, Tomasz Malinowski, Henryk Jakubowski, Teofil Wiśniowski, który miał później zginąć na szubienicy we Lwowie, Alcjata i Józef Wysocki. Zjednoczenie miało swych zastępców w Chełmickim, Henryku Nakwaskim i Wincentym Tyszkiewiczu; Czartoryszczyzna czyli 3. Maj w księciu Witołdzie Czartoryskim; stronnictwo katolickie w księdzu Piotrze Semeneńce i poecie Stefanie Witwickim. Nie odbyło się nawet bez osławionego Adama Gurowskiego i kniazia Światopełka-Mirskiego.

Dodawszy do tego spisu tak piękny dźwięk posiadające nazwiska, jak Karola Libelta i Jędrzeja Moraczewskiego, Wielkopolan z rodu, łatwo sobie można wystawić, jakie życie musiało zakwitnąć w tej kolebce narodu naszego. W epoce tej przemawiało też Poznańskie nie w imieniu swojem, ale w imieniu całej Polski; było Polski tej godnym przedstawicielem.

Ruch literacki był nadzwyczaj ożywiony; w celu popularyzacji nauki zaczęto w Poznaniu publiczne urządzać odczyty które w pałacu Działyńskich, na rynku położonym i dobrze znanym mieszkańcom grodu Przemysławowego, miewali

Jędrzej Moraczewski, z dziedziny historji, Libelt z dziedziny literatury i filozofji, dr. Teofil Matecki, przyjaciel Marcinkowskiego, z zakresu nauk przyrodniczych, adwokat Krauthofer z jurystyki etc. Odczyty te sprowadzały niezwykłą ilość słuchaczy; podziw budziły zwłaszcza prelekcje Karola Libelta. Równolegle z rozwojem życia literackiego organizowało się stronnictwo czynu, a przeważne śród niego stanowisko zajmował Marcinkowski.

O rozległej praktyce lekarskiej jużeśmy nadmienili na samym wstępie niniejszego rozdziału. Praktykę tę przerwał r. 1837, w którym Marcinkowski skazany został przez sądy pruskie za przejście granicy w roku 1830 na sześciomiesięczne więzienie w fortecy. Doradzano mu, ażeby wniósł podanie o ułaskawienie; były nawet widoki, że w razie takiego ukorzenia się, kara zostanie zniesioną. Atoli powstaniec-patrjota, jak odmówił przyjęcia nagrody rządowej za starania swoje około dotkniętych cholerą w Kłajpedzie, tak obecnie nie chciał ani jednego zrobić kroku, ażeby sobie u króla pruskiego wyjednywać względy. — Na dniu 25 lipca opuścił skazaniec miasto rodzinne, udając się na Śląsk do Świdnicy, ażeby tam przeznaczoną odsiedzieć karę. Przyznać trzeba, że obchodzono się z nim z wielką łagodnością, dawano mu wygodne i przyjemne pomieszkanie, z którego okien, jak pisze w liście do krewnych, mógł się przypatrywać ruchowi na ulicach, wolno mu też było opuszczać pokój i swobodnej używać po mieście przechadzki. Tylko poza mury forteczne wydalać się nie mógł. W kilka tygodni po wyjeździe z Poznania wybuchła ponownie cholera; Książę Antoni Radziwiłł, dawniejszy namiestnik, pragnął koniecznie Marcinkowskiego mieć przy sobie, robił także zachody, ażeby go wypuszczono z fortecy. Marcinkowski atoli propozycje odrzucił, twierdząc, że miejsce jego w razie uwolnienia byłoby w Poznaniu, to jest tam, gdzie cholera

srożyła się najbardziej. Wszyscy też mieszkańcy Poznania wzdychali za nim, a gdy wskutek nalegań u rządu, ażeby uwolniono człowieka, który najskuteczniejszą mógłby położyć tamę zaraźliwej chorobie, Marcinkowski zawitał w mury stolicy Wielkopolski, powrót jego był znowu triumfalnym niejako pochodem. Po powrocie Marcinkowski oddał się z większym jeszcze zapałem pracy, w dwóch prowadzonej kierunkach: lekarskiej i społecznej — nad odrodzeniem Wielkopolski. Zabiegi te osłabiał tylko od czasu do czasu niepomyślny stan jego zdrowia.

W chwili, gdy Marcinkowski występuje przeważnie jako obywatel, w Wielkopolsce dwa istniały stronnictwa: postępowe i konserwatywne. Marcinkowski podług ówczesnych pojęć należał do obozu zachowawczego. Ta atoli zachowawczość była zupełnie odmienną od dzisiejszego konserwatyzmu. Ówczesny „konserwatysta" Marcinkowski był daleko postępowszy, daleko demokratyczniejszy od przeważnej części dzisiejszych naszych „demokratów" i „postępowców". W konserwatyzmie swoim różnił się o wiele od arystokratycznie usposobionego, a nadzwyczaj zasłużonego współczesnego sobie hr. Edwarda Raczyńskiego. Postępowcy poznańscy owej doby, z Karolem Libeltem i rewolucjonistą-teoretykiem, Jędrzejem Moraczewskim na czele, zasadniczo od Marcinkowskiego w niczem się nie różnili. Pod wpływem literatury emigracyjnej konspirowali oni, chcąc nowe wywołać powstanie. Byli bowiem tego przekonania, że naród, który w ruchu listopadowym udowodnił wielki zasób rycerskości i siły, może klęski otrzymane powetować jedynie zbrojnem powstaniem. Wiedzieli oni jednak aż nazbyt dobrze, że podobny wysiłek może tylko wtenczas skuteczne przynieść owoce, jeżeli do ruchu zbrojnego wciągnie się masy ludowe, a wciągnąć można je tylko wówczas, jeżeli naprawi się wiekowe krzywdy, wy-

rządzane ludowi przez szlachtę, krzywdy, których rok 1830 nie umiał, czy nie chciał wynagrodzić. W działaniu postępowców ówczesnych wiją się niejako dwie nici czerwone: dążność do wywołania ruchu zbrojnego i, ażeby ruch ten nie pozostał bez skutku, emancypacja ludu. Zdania te nie były wprawdzie ze względu na cenzurę poznańską ujmowane w program, publicznie przez organa postępowe głoszony, ten charakter działalności postępowców był jednak wszystkim wiadomy. W pozornem przeciwieństwie do „postępowców", stało ówczesne stronnictwo konserwatywne. Praca tego stronnictwa, jak powiada Jarochowski, nie „brała jednak na siebie systematycznej i zasadniczej obrony zachowawczych pojęć, może kierunku jakichś prac organicznych w przeciwstawieniu z nurtującym z cicha prądem rewolucyjno-powstańczym. Cała jej czynność zasadzała się na wytykaniu błędów stylistycznych i usterek gramatycznych artykułom pism postępowych". Zresztą nie było o co walczyć, ze wszystkich bowiem czynnych konserwatystów tej doby jedynym istotnym konserwatystą i arystokratą zarówno pod względem politycznospołecznym jako też towarzyskim był wspomniany już hr. Edward Raczyński, człowiek zresztą nadzwyczaj zasłużony, który po sobie wiekopomne pozostawił dzieła. Raczyńskiemu zawdzięcza literatura nasza cały szereg wydawnictw, które może długo jeszcze pozostawałyby w ukryciu, gdyby nie wspaniałomyślność tego magnata i chęć jego przysłużenia się społeczeństwu. Szereg tych wydawnictw rozpoczynają „Listy Jana III". Następnie idą niezrównane „Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska", „Pamiętniki Erazma Otwinowskiego", dostarczające najobszerniejszego materjału polskiego do dziejów panowania Augusta II „Pamiętniki księcia Stanisława Albrechta Radziwiłła", obejmujące panowanie Zygmunta III, Władysława IV i początki rządów Jana Kazi-

mierza. Raczyńskiemu zawdzięczają wydanie także i znane powszechnie pamiętniki ks. Kitowicza; dalej materjały do historji Augustów saskich i króla Stanisława Poniatowskiego, obejmujące kilkanaście tomów, a noszące tytuł „Obraz Polaków i Polski w końcu XVII i XVIII wieku"; „Pamiętniki Pstrokońskiego, kanonika katedry gnieźnieńskiej", zawierające materjały do dziejów wieku XVII; „Pamiętniki Jenerała Dąbrowskiego". Edward Raczyński ogłasza dalej dwutomowe „Dzieje panowania Jana Kazimierza", będące właściwie przekładem klimakterów poety siedmnastego wieku, Wespazjana Kochowskiego; on wydaje polski przekład krzyżackiej kroniki Wiganda z Marburga z XIV wieku, później „Dzieła Tadeusza Czackiego", dwa tomy ważnego do dziejów panowania Jana Kazimierza materjału pod tytułem „Portofolio królowej Marji Ludwiki"; w dalszym ciągu „Dokumenta do historji powstania Kościuszki", on pisze i wydaje „Kodeks dyplomatyczny Wks. Litewskiego", „Gabinet medalów polskich", „Wspomnienia Wielkopolski" i tyle a tyle innych. On też założył i pobudował miastu Poznaniu wspaniałą „bibljotekę Raczyńskich", dzisiaj niestety! z powodu jakichś wadliwości testamentu pod wyłącznem Prusaków znajdującej się zarządem.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad Raczyńskim, ponieważ wielki ten pan był, jak już powiedziano, jedynym przedstawicielem właściwego konserwatyzmu arystokratycznego, ale, jak widzimy z bibljograficznego spisu wydanych przezeń dzieł olbrzymich, konserwatyzm jego nie przeszkadzał mu wspaniałe ponosić dla społeczeństwa ofiary. Był to arystokrata, ale Polak i patrjota całą duszą.

Innym zupełnie „konserwatystą" był nasz Marcinkowski. Przekonaniami nie różnił się on w niczem od Libeltów i Moraczewskich, natomiast nieprzebyta przepaść dzieliła go od ary-

stokratycznych pojęć Raczyńskiego. Postępowcy widzieli w ruchu zbrojnym zbawienie Polski, i on od wywołania tego ruchu się nie odżegnywał; postępowcy pragnęli uobywatelenia ludu, i Marcinkowski do tego samego zmierza celu, tworząc choćby takie Towarzystwo naukowej pomocy, które z ludu właśnie miało wydobywać i kształcić pożyteczne dla kraju siły. Nie różnił się Marcinkowski od postępowców i demokratów ani w celu, ani w środkach; różnica zachodziła tylko co do pojęcia czasu, w jakim te środki mogą być dostatecznie wyrobione i wypróbowane, ażeby osiągnąć cel wytknięty. Postępowcom zdawało się, że zbliżyła się już chwila odpowiednia do wywołania ruchu; Marcinkowski zaś był przekonania, że czas ten jeszcze nie nadszedł i że wciąż jeszcze „pracować nad ludem" potrzeba. Była jeszcze jedna różnica. Postępowcy mniej lub więcej odsuwali szlachtę od pracy, nie dowierzając potomkom tych, którzy Polskę na łup oddali; Marcinkowski zaś zwracał się do szlachty i zawierał z nią sojusz, pragnąc stanowisko jej i majątek dla swoich reorganizatorskich wyzyskać dążeń. Wyrażając się technicznie, w Marcinkowskim przeważał pierwiastek *ewolucyjny*, gdy tymczasem w przedstawicielach postępu poznańskiego dominującą odgrywał rolę czynnik *rewolucyjny*. Zresztą Marcinkowski był chrześcijaninem w najprawdziwszem, pierwotnem tego słowa zrozumieniu: postęp ludzkości widział nie w samolubnem zacofaństwie i trzymaniu światła pod korcem, ale w postępie cywilizacyjnym i w miłości bliźniego. Na tych zasadach pragnął on wytworzyć „równość bratnią", w tej wierze działał też nad emancypacją mieszczańskiego zwłaszcza ludu, jako najbliżej mu stojącego, nad wyrobieniem w tym ludzie, jako też i w innych warstwach społeczeństwa „godności człowieka". „Bracia" — wołał on z głębi duszy — „tę godność w sobie wytworzyć, tę godność uszlachetnić, oto jest droga, na której do osiągnięcia

ulepszeń dążyć powinniśmy. Oświata i praca, towarzystwu ludzkiemu użyteczna, oto są środki do utworzenia potrzebnego gościńca. Zachęcajmy siebie wzajemnie, działajmy na drugich, na młodszych, na mniej szczęśliwych od nas braci, ażeby przyszłe pokolenia do szczęśliwszej przyszłości przysposobić, ażeby w nich ugruntować tę godność człowieczeństwa, bez której wszystkie zabiegi zginą jak płonne marzenia".

Nie dziw, że o człowieku tego rodzaju napisał pod wrażeniem jego śmierci Zygmunt Krasiński: „Marcinkowski umarł — demokratą był z serca i rozumu — ale to był święty demokrata, najzacniejszy i najprawszy człowiek i Polak bez skazy. On pojmował demokrację po Chrystusowemu... Niechże nas ratuje Bóg sam, kiedy najdzielniejszych, najcnotliwszych odbiera".

Marcinkowski był przedewszystkiem człowiekiem pracy, którą uważał za jedyną dźwignię skołatanego społeczeństwa. Wiedział on, że narody, nieumiejące pracować, nie mają racji bytu na ziemi, że ostatecznie naturalnym porządkiem rzeczy, zniknąć muszą z jej powierzchni. Brzydził się próżniakami, przypominając społeczeństwu na każdym kroku działalnością swoją wielkie słowa Franklina: „Gdy wam kto powie, że możecie inną drogą jak przez pracę i oszczędność dojść do oświaty, swobód i dobrego bytu, wypędźcie go z pośród was: on zatruje waszą przyszłość. „Oświaty zaś nie uważał za skutek dobrobytu, ale za jej równoległą siłę; dlatego też zalecał równocześnie uprawę obu kierunków". „Gdyby" — mówi — „prawodawcy narodów potrafili wynaleść przepisy, wzbraniające pojedynczym ludziom nie poznać własnej godności, owszem nakazujące dążyć do oświaty, która nas uszlachetnia i zbliża do źródła boskiego; gdyby potrafili nadać prawa, zmuszające każdego do wyćwiczenia się w pracy użytecznej i pracowania z ochotą na zaradzenie wspólnym potrzebom;

jednem słowem, gdyby prawodawcy umieli wynaleść ustawę, niedozwalającą nikomu zostać głupim i próżniakiem: w jednej chwili towarzystwo ludzkie stałoby się rajem na ziemi".

Do stworzenia tego raju zmierzał Marcinkowski, a zmierzał z wyrzeczeniem się wszelkich dla własnej osoby korzyści. Wspaniałym pod tym względem dokumentem jest list, wystosowany przezeń do przyjaciół, kiedy na jego cześć w r. 1842 urządzili ucztę w Poznaniu, na którą jednak Marcinkowski, złożony niemocą u znajomego obywatela Łakomickiego w Dąbrówce pod Poznaniem, przybyć nie mógł. Z dokumentu tego następujące wyjmujemy słowa:

„Boże daj, bym zupełnie potrafił zapomnieć o sobie; bym wyrzeczeniem się samego siebie doszedł do owej doskonałości, jakiej Zbawiciel świata po zwolennikach swojej nauki wymagał.

Boże daj, by mi chęć pełnienia moich powinności nigdy nie zastygła, abym do końca mego życia wytrwał gorliwie w miłości bliźniego; by mi ciągłą podnietą mego działania było to zaspokojenie duszy, żem nie zszedł z toru prawego człowieka.

Boże daj, aby pomiędzy nami na silnej podstawie miłości bliźniego wyrosło w błogie dla ludzkości owoce płodne drzewo równości bratniej. Bóg nas stworzył bez różnicy: jednostajnem wszystkich znamieniem dał piętno obrazu i podobieństwa swego — to jest godność człowieka"!

Konserwatysta, wypowiadający tak prawdziwie demokratyczne i wolnościowe hasła, nie mógł znaleść opozycji w mężach prawdziwie demokratycznych i wolnomyślnych, a nie dających się zbytnio porywać zrozumiałemu zresztą doktrynerstwu. Największy ówczesnego postępu poznańskiego wyobraziciel, Karol Libelt, choć do innego należał stronnictwa, przyklaskiwał działaniu „antagonisty" Marcin-

kowskiego. W czasopiśmie „Rok", które znakomity filozof ten zaczął po upadku „Tygodnika Literackiego" wydawać do spółki z rewolucyjnie usposobionym Jędrzejem Moraczewskim, znajdujemy następujące o najwspanialszym czynie Marcinkowskiego, o „Towarzystwie naukowej pomocy", zdanie: „Podniesienie ludu do siebie przez oświatę i swobody społeczne, oto świetny cel, który zabłysł w duszach szlachetnych. Potęgi nieba błogosławią temu celowi, a potęgi złego ukorzyć się przed nim muszą. Co do nas, są to promienie konstytucji 3 maja, ale już przez przeźroczystszy przechodzące środek; nie łamiące się w grubym materjale przesądu. Chcieli ówcześni prawodawcy podnieść lud do siebie przez przyjmowanie coroczne pewnej liczby osób zasłużonych w poczet szlachty; dzisiejsi kierownicy opinji podnoszą go do siebie przez oświatę z obowiązku ciężącego na każdym, kogo czy los, czy talenta, czy praca wyżej postawiły. Ten święty obowiązek wypełnia Towarzystwo naukowej pomocy, którego pierwszy statut zapowiada wydobywanie z mas ludu zdatnej młodzieży. Obrócić ją na pożytek kraju, dając pomoc i stosowny kierunek jej wykształceniu, jest celem zawiązującego się Towarzystwa. Myśl to wielka, świetna, w błogie owoce płodna, bo przyczynia narodowi wszystkie te bogactwa moralne i umysłowe, które dotąd niszczały bezużytecznie, odepchnięte od serca narodowego, przyciśnione uciskiem, okryte pogardą. Towarzystwo pomienione jest kopalnią tych moralnych kruszców, w łonie ludu ukrytych. Wielkie dzieło rokuje obfitsze plony, niżeli kopalnie w Potozi, ale potrzeba do tego pracy i robotników..." Zresztą, pomimo rzekomego antagonizmu pojęć, nie przeszkadzało nikomu z nich, ani Marcinkowskiemu, ani Libeltowi, ani wreszcie „czerwonemu" Moraczewskiemu zasiadać w najlepszej zgodzie i harmonji razem w wydziale świeżo założonego Towarzystwa. W postępowym

też „Roku“ drukował Marcinkowski swe pierwsze publiczne w stworzonem przez siebie Towarzystwie wystąpienie. Tylko ludzie płytcy z jednej strony mogli występować przeciwko Marcinkowskiemu tak, jak z drugiej strony płytcy dzisiejsi „organicznicy“ mogą go uzurpować dla siebie.

Żaden z dzisiejszych publicznych „działaczy“ poznańskich, apostołujących w imię haseł pracy organicznej najpodlejsze lokajstwo względem pruskich sfer rządowych, żaden z tych działaczy, niemających najmniejszego dla idej postępowych zrozumienia, nie sięga rzekomemu protoplaście pojęć swoich ani do pięty.

Pierwszym realnym wynikiem społecznej pracy Marcinkowskiego było założenie istniejącego dotychczas „Bazaru“ poznańskiego, będącego pierwszym w Wielkopolsce objawem zbiorowej pracy na polu ekonomicznem. Pierwotną spółkę bazarową zawiązał Marcinkowski w r. 1838, zdoławszy zebrać 86.000 talarów kapitału, za który zakupiono grunta pod budowę wspólnego gmachu. — Oprócz podnoszenia zbiorowemi siłami handlu i przemysłu polskiego, miał Bazar za zadanie wpływać także na postęp rolnictwa. Gdy później Bazar zamieniony został na spółkę akcyjną, miał on po dwóch latach istnienia, podług projektu Marcinkowskiego, obowiązek „dla usposobienia dobrych ekonomów, włodarzy i owczarzy, zgoła dla tem skuteczniejszego wpływania na rolnictwo wogóle i polepszenia gospodarstw włościańskich przez wystawę poprawnych narzędzi rolniczych, pouczania itp., założyć szkołę agronomiczną w dobrach, za pieniądze spółki na ten cel kupić się mających. Projekt ten napotkał jednak na silną opozycję, i pomimo zaklinania ze strony Marcinkowskiego, który na jednem ze zgromadzeń w te odezwał się słowa: „Wszakże ja doktór, a jednak widzę, że tylko dla nieznajomości gospodarstwa, dobra z rąk waszych wychodzą; zlitujcie się sami

nad sobą, radźcie, aby utworzyć instytut rolniczy" — otóż pomimo tego racjonalnego odezwania się do nierozumiejących własnego interesu ziemian wielkopolskich szkoła agronomiczna do skutku nie przyszła. Urzeczywistniła się dopiero po śmierci Marcinkowskiego, ale tylko na chwilę, ponieważ pierwotny plan inicjatora, aby fundusze na tę kosztowną instytucję ofiarnie gromadzić, nie był wykonany tak, jak należało. Myśl stworzenia podobnej instytucji przynosi Marcinkowskiemu zaszczyt niemały. Jakkolwiek „doktór", interesował się on sprawami ziemiańskiemi, bo wzrost gospodarstwa wiejskiego wchodził w zakres jego programów społecznych. Nie omieszkiwał on też zapatrywaniami swemi dzielić się z obywatelstwem, a jak żywo obchodził go każdy w dziedzinie interesów ekonomiczno-rolniczych objaw, niech poświadczy o tem list pisany do jednego z ziemian poznańskich, Karola Stablewskiego, w sprawie landszafty: „9. listopada zjedzie się walne zgromadzenie. Sądzę, że już po części znasz przedmioty pod jego obrady idące i dlatego nie będę się nad niemi rozwodził, tyle tylko powiem, że nie było jeszcze walnego zgromadzenia, któreby się ważniejszemi przedmiotami zajmowało. I w rzeczy samej, urządzenie nowej landszafty, ułożenie warunków, pod któremi przejście z starej do nowej odbywać się ma, poprawa regulaminu i zawiązanie towarzystwa od gradobicia i asekuracji ogniowej: są to przedmioty, od których w pewnym względzie powodzenie i pomyślność Księstwa zawisły.

Z drugiej strony wymagają one niemałej znajomości rzeczy i pewnej zdatności, jeżeli należycie rozwiązane być mają. Ażeby więc obrady walnego zebrania skuteczniej się odbywały, należy mem zdaniem wszystkie przedmioty, a przynajmniej ważniejsze naprzód obrobić i że tak powiem gotowe oddać pod obrady. W tym to celu przybędą dnia 8. listopada Maciej

Mielżyński, Gustaw Potworowski, Tytus Breza, Józef Łubieński, Tertuljan Koczorowski i Józef Szułdrzyński, którzy z przybraniem niektórych członków walnego zgromadzenia zajmą się powyższemi przedmiotami. Mam to mocne przekonanie, iż i Ty nie zechcesz się cofnąć od usługi publicznej i przybędziesz na 8-go, ile że wszyscy, których wymieniłem, bardzo sobie tego życzą i z pewnością na to rachują".

Przytoczyliśmy i ten dokument, ażeby wykazać, jak wszechstronnem było u Marcinkowskiego zainteresowanie się sprawami, społeczeństwo obchodzącemi. Dowodem tego jest także działalność jego jako obywatela miasta Poznania. Mając rozległe stosunki z ludnością stolicy Wielkopolskiej, dokładał Marcinkowski wszelkich starań, ażeby powołać ją do wzięcia żywego udziału w kwestjach miasto obchodzących. Dzięki jego agitacjom spolonizowała się w krótkim czasie rada miejska. Rekrutująca się dawniej z elementów niemieckich, była za czasów Marcinkowskiego tak zreorganizowaną, że na 24 rajców zasiadało w niej zaledwie 10 Niemców. Tym też okolicznościom zawdzięczało miasto, że wielki ten patrjota, który i na posiedzeniach nie omieszkał gorzkich wypowiadać słów żywiołom germanizacyjnym, był przez dłuższy czas jej wiceprezesem.

Marcinkowski, lekarz z zawodu, a więc człowiek, który przy nadzwyczaj rozległej praktyce, nie miał czasu zajmować się sztukami pięknemi, nie odciągał się od pracy i na tem polu. Pisaliśmy już, że za sprawą Wężyka zawiązała się w Poznaniu stała scena Polska. Otóż szlachetny ten inicjator doznawał w tym względzie poparcia Marcinkowskiego. Poparcie to tem donioślejsze miało znaczenie, że Marcinkowski, mając wpływ na ludzi zamożniejszych i przez dłuższy czas moralną dzierżący dyktaturę nad społeczeństwem wielkopolskiem, mógł dla sprawy teatru jak największe zainteresować koło. Do „opieki

teatralnej" weszli też oprócz niego i Wężyka, przyjaciele Marcinkowskiego, Józef Szuldrzyński, majętny właściciel Lubasza, hr. Maciej Mielżyński, dalej prof. Jan Rymarkiewicz, zmarły przed kilku laty, zasłużony wielce pedagog poznański; Radecki, o którym była mowa powyżej, i Wilden. Teatr długo się jednak nie utrzymał, ponieważ rząd zbyt wiele w tej kwestji robił trudności.

Na tensam czas przypadają zabiegi Marcinkowskiego około utworzenia bezpłatnej pomocy lekarskiej dla biednych miasta Poznania. Zorganizowano ją w ten sposób, że miasto podzielono na dzielnice, z których każda miała swego bezpłatnego lekarza. Marcinkowski, zawsze pełen poświęcenia, wybrał dla siebie, pomimo coraz to znaczniejszego upadku sił, części najodleglejsze. Pomoc lekarska znalazła sojusznika znakomitego w „Towarzystwie ku wspieraniu ubogich i biednych miasta Poznania", którego założycielem był znowu nie kto inny tylko wielki miłośnik ludzkości, Marcinkowski. Do Towarzystwa tego weszli ludzie wszystkich stanów bez różnicy narodowości i wyznania. Obok arcybiskupa prymasa Przyłuskiego, należał do niego ober-superintendent protestancki i wyższy rabin. Marcinkowskiego, któremu, gdy szło o pomoc dla cierpiących, nie chodziło nigdy, jakeśmy to już widzieli kilkakrotnie, o różnice narodowościowe lub wyznaniowe, było to zasługą, że w Towarzystwie filantropijnem połączyły się wszystkie żywioły; Marcinkowskiego też wybrano na prezesa. Piękne były jego słowa, wypowiedziane na pierwszem zgromadzeniu tej nowej instytucji. Przytaczamy je jako przyczynek do charakterystyki tej ze wszechmiar szlachetnej i rozumnej duszy:

„Przystępujemy" — powiedział Marcinkowski imieniem dyrekcji Towarzystwa — przystępujemy coraz bliżej do rozpoczęcia dzieła, któreśmy sobie zawiązaniem naszego Towa-

rzystwa dokonać zamierzyli. Dzieło to ma obejmować rozpoznanie całego obszaru nędzy i niedoli klas ubogich, upadających codzień pod uciskiem niedostatku, ma dalej zgłębić przyczyny ich nędzy materjalnej, a następnie obmyśleć środki usunięcia już dokuczającej biedy i zaradzenia grożącej. Kto się nad całą objętością tego, co wykonać mamy, chwilę tylko z uwagą zastanowi, przyzna, że to jest dzieło olbrzymie: opasane trudnościami, na które co chwila natrafiać będziemy, a do których przedewszystkiem należą: szczupłość funduszów, trudność wyszukiwania stosownego zatrudnienia z jednej, a wymagalności, opuszczenie się, odwyknienie i niechęć do pracy z drugiej strony. Ale moi, panowie, tem silniej od razu przedsięwziąść sobie powinniśmy dojść do celu naszych życzeń i tem bliżej staniemy u szczytu przedsięwzięcia, im silniej nas wspierać będą niewyczerpane środki nasze: gorliwa chęć służenia bliźniemu i wytrwała cierpliwość w ciągłem opiekowaniu się nędzą i ubóstwem, jakoby młodszem, nieletniem jeszcze rodzeństwem naszem.

Ludzie potrzebujący wsparcia, mający prawo do współudziału dobroczynności swych bliźnich, których los pod względem zamożności lepiej opatrzył, dzielą się na dwa wielkie oddziały, z których pierwszy obejmuje tych wszystkich, co się bez istotnej jałmużny obejść nie zdołają, drugi zaś tych z pomiędzy wszystkich, na pracę rąk swoich w urządzeniu socjalnem skazanych, co przez wpływ rozmaitych okoliczności, pomimo chęci i zdolności nie są w stanie potrzebom swoim zaradzić.

Że do pierwszego oddziału ci się tylko liczyć powinni, których kalectwo, wiek lub choroba obok sierot, do pracy niezdolnych, stawia, równie przyznamy, jako to, że powinnością naszą jest nie uchylać im naszej jałmużny. Ale dalej darowizna i dobroczynny datek rozciągać się nie powinny, jeżeli

nie mają służyć za źródło moralnego opuszczenia i zepsucia się ludzi.

Węgielnym kamieniem, na którym się dobry byt ziemski wszędzie i zawsze wspiera, jest praca. — Skromność i rządność w wydatkach, moralne prowadzenie się i uczciwe pełnienie swych powinności w egzystujących, socjalnych stosunkach, za nią dopiero następują, na niej się, jak na opoce wspierają, całkiem niczem są bez niej. Gdyby ta klasa ubogich, którą drugi obejmuje oddział, w skutek lepszego, jak dotąd odbiera, socjalnego wychowania pokochała pracę i rządność gospodarczą, jako jedyne i najpewniejsze źródło swych skarbów, gdyby w niej chęć do pracy zrosła się z chęcią wygodnego życia na ziemi, która nam wszystkim mniej lub więcej wrodzona — *ale nie dosyć na tem, gdyby urządzenie stosunków socjalnych kiedykolwiek w taki sposób załatwione być mogło, że każdemu i w każdej chwili nietylko dostateczną ilość pracy dostarczy, ale zarazem tak ocenionej, że wymiana zapłaty wystarczy na wygodne utrzymanie pracownika, natenczasby wszelka nędza znikła odrazu z pośród ziemskiego świata. Nie byłoby nędzy na ziemi, a każdy człowiek, poznawszy wartość niezawisłości od zewnętrznych stosunków, jakąby mu na ten czas własna praca zapewniała, doszedłby własną drogą do uczucia własnej godności, tej najwyższej potęgi naszej duszy, której dotychczas ani religja, ani mniemana oświata wywołać nie potrafiły.*

To, co w poprzedzającym okresie, jako treść życzeń przyszłych urządzeń społecznych do uszczęśliwienia rodu ludzkiego jest wyrażone, to, czego niedostatek w obecnej, w której żyjemy, chwili, jako najważniejsze źródło zubożenia klas pracujących uważane być powinno, to właściwie natchnęło nas wszystkich, którzy Towarzystwo dobroczynności składamy: ażeby wiążąc się wspólnie czynnym udziałem urzeczywistnić błogą opiekę, pod której osłoną lud pracujący musi przyjść do przekonania,

że dobry byt na tej ziemi, oparty na pracy i stosownem wynagrodzeniu onejże, tylko samemu sobie zawdzięczyć powinien. Oto ogólna wskazówka jedności naszego postępowania, oto cecha, którą się oddziały towarzystwa odznaczać powinny: w każdym szczególnym przypadku starać się zbadać przyczyny już istniejącej albo zagrażającej nędzy, a zbadawszy i usunąwszy takowe, starać się, aby praca i moralne prowadzenie się zasłaniało od nowego upadku. I pieniężne wsparcie, jeżeli bez użycia onego (czego w początkach naszego działania nie urikniemy) obejść się nie będzie można, tylko w ten sposób szacowanem być winno, aby grosz na nie obrócony w pracy się mnożył i dochody biednych z ich pracy powiększał. Im więcej członków czynnych do Towarzystwa przystąpi, tem praca ogółu więcej ułatwioną zostanie, wiele to bowiem mozołu i zabiegów wymagać będzie zająć się szczegółowo opieką w myśl co dopiero krótkimi wyrazami skreśloną. Ale praca ta tem dokładniej wykonaną zostanie, tem większe dla ogółu przyniesie korzyści, im bardziej pojedyńczy członkowie czynni przejąć się będą starali duchem, który to Towarzystwo utworzył, a który bynajmniej nie chciał zrobić nas jałmużnikami daru publicznego, ale prawdziwymi opiekunami klas pracujących, które pod wpływem nieprzyjaznych okoliczności same sobie rady dać nie są zdolne.

Instrukcja, mająca służyć za wskazówkę postępowania przy wykonaniu myśli dobroczynności, które całe Towarzystwo ożywia, przedewszystkiem do tego ma zmierzać, ażeby czynnościom nadać pewną formę jednostajności, ułatwiającą i wykonanie pracy i przejrzenie jej skutków. Jak w pojedynczym danym przypadku postąpić, to naturalnie rozsądzeniu członków czynnych zostawione być musi. *Chybić naszego powołania nie możemy, jeżeli nam ciągle przewodniczyć będzie pamięć na to, że czynne działanie nasze ma stanowić nieustającą*

opiekę ku polepszeniu losu klas pracujących, opartą na uznaniu prawdziwego szacunku ich pracy.

Jak wszędzie, tak i tutaj najtrudniejszym będzie początek tego dzieła. Doświadczenie z czasem nauczy nas, co stanowić będzie najważniejsze przedmioty, bez których uwzględnienia przedsięwzięcie nasze uskutecznić sie nie da. Niektóre z nich tak przecież są ważne, że zdają się stanowić jądro naszych zabiegów, i dlatego już dzisiaj uwagę naszą zajmować powinny: 1) Przedewszystkiem tu należy mieć wzgląd na domowe i elementarne wychowanie dzieci tych klas, nad którymi opiekę braterską ustanowić zamierzamy. Od niego bowiem zależeć będzie cała przyszłość ich nowej generacji. Co się ma zrobić z całej masy tych dzieci, co obok fizycznego niedostatku, zapatrują się codzień na zły przykład rodziców, zaniedbane moralnie, przywykają do żebrania i nabierają złych nałogów, które z ich wiekiem w przestępstwa i w zbrodnie wzrastają. Tam pierwsze źródło wielkiego nieszczęścia. Zapobiegną mu szkoły, ochrony, — szkoły elementarne przytrzymywaniem dzieci do stosownych zatrudnień, a w swym czasie oddanie na rzemiosło. 2) Usiłowanie do odprowadzania od niewstrzemięźliwości w nadużyciu trunków. 3) Pouczanie gospodarności w wydatkach, z ciągłem zwracaniem uwagi na korzyść odkładania oszczędzonego grosza, na przypadek przyszłego niedoboru, i oddawania go do kasy oszczędności".

Przystępujemy do zaznaczenia najgłówniejszego dzieła Marcinkowskiego, do „Towarzystwa naukowej pomocy", które dotychczas jego nosi nazwisko, a z którem złączony jest los poważnego zastępu inteligencji wielkopolskiej. I to Towarzystwo było, jak i inne szlachetne i doniosłe czyny Marcinkowskiego, wynikiem jego wiecznie pracującego ducha, wynikiem „tego żądła, tej niespokojności — w pełnieniu obowiązku, którą, jak sam o sobie w ostatniej powiedział chwili,

„Pan Bóg wlał w duszę jego", a której „inaczej poskromić nie mógł, jak ciągle zajmując się pracą".

Do wprowadzenia w życie tej niesłychanie pożytecznej instytucji w WKsięstwie Poznańskiem popchnął Marcinkowskiego zapewne przykład istniejącego na emigracji w Paryżu Towarzystwa pomocy naukowej, do którego, jak wiadomo z poprzednich ustępów niniejszej książeczki należał i nasz Wielkopolanin za czasów pobytu za granicą, i na którego cele poświęcił był nagrodę w kwocie 1000 złr., otrzymaną od akademji nauk francuskiej.

Projekt założenia dla Wielkopolski Towarzystwa, mającego na celu niesienie materjalnej pomocy uczącej się młodzieży, nie był zresztą nowym. Już bowiem w r. 1829 zamierzał stworzyć podobną instytucję jeden z obywateli kujawskich, Dr. Antoni Kraszewski, dziedzic Tarkowa pod Inowrocławiem. Zwołał on za poprzedniem porozumieniem się z arcybiskupem Wolickim i namiestnikiem ks. Antonim Radziwiłłem, obywateli wielkopolskich na wspólną w tym celu naradę. Zebranie odbyło się w pałacu arcybiskupim w Poznaniu. Wybrana atoli dla zredagowania statutów komisja projekt pierwotny zmieniła w ten sposób, że rząd odmówił mu zatwierdzenia. Tymczasem nadeszły wypadki listopadowe i wspaniała myśl utonęła w mroku zapomnienia, wydobył ją na jaw dopiero Marcinkowski, znalazłszy poparcie w ludziach dobrze myślących, i stworzył za ich pomocą dzieło, które jest najpiękniejszym pomnikiem uczciwie pojętej i rozumnie prowadzonej „pracy organicznej". Nim atoli myśl ta sformułowaną została w odpowiednich paragrafach statutów i zapisaną w rejestr dobroczynnych o wielkiem społecznem i narodowem znaczeniu instytucyj, Marcinkowski „pomoc naukową" na własną prowadził rękę, wspierając hojnie młodzież, naukom oddaną — zarówno z własnych funduszów jak i ze składek, zarządzanych

przez siebie w gronie przyjaciół i wogóle ludzi, dbałych o dobro społeczeństwa. Marcinkowski wygotowywał w tym celu okólniki, wykładane po istniejących wówczas kasynach towarzyskich i przesyłane obywatelom wielkopolskim. Pomagali mu w tej mierze pomiędzy innymi skorzy zawsze, gdzie szło o spełnienie obywatelskiego czynu, Maciej Mielżyński, Szułdrzyński, dr. Maciej Kapuściński i inni. Doraźne to, nie ujęte w system, ale zależne od chwili, w której wyszukano potrzebujących wsparcia uczni działanie, przybrało w roku 1841 znamiona osobnego ciała. W rok przedtem z myślą założenia tego rodzaju stowarzyszenia wystąpił dr. Karol Libelt, który w tym właśnie czasie wypłynął był na widownię życia wielkopolskiego. Memorjał Libelta był atoli zbyt szeroki, ażeby się był mógł dać w przeciągu krótkiego czasu i bądź co bądź przy stosunkowo małych zasobach, jakimi rozporządzała Wielkopolska, urzeczywistnić. Obejmował on ni mniej ni więcej jak „urządzenie stosunku panów do służby, czeladzi i włościan, urządzenie sądów rozjemczych i polubownych, urządzenie wzajemnej pomocy w wypadkach nieszczęśliwych i urządzenie pomocy naukowej dla ludu — jako cztery spójnie rzeczywistej miłości bliźniego i rzeczywistego braterstwa". Nie ulega wątpliwości, że wobec tych ciągle powtarzanych haseł o „miłości bliźniego i braterstwie", szlachetni projektodawcy reform społecznych znajdowali się pod wpływem prądów, nurtujących na zachodzie. W skutek rozległości swej projekt Libelta nie utrzymał się co do wszystkich punktów, podniesiono z niego tylko sprawę „pomocy naukowej", którą natychmiast zajął się Marcinkowski, ponieważ jego własnym jak najzupełniej odpowiadała intencjom. Co do samej organizacji otrzymał był z końcem roku 1840 inspirowany przez Karola Libelta „Tygodnik Literacki" projekt statutu, którego paragrafy następujące poprzedzały słowa, warte dla prawd

ogólnych, a tak mało przez nas jeszcze rozumianych i stosowanych, aby je na tem to miejscu powtórzyć:

„W masie ludu ukrywa się skarb moralnych i umysłowych sił, które niepostrzeżone i nieprzyjaznemi okolicznościami przyciśnione, pełzną bezkorzystnie, lub też zaniedbane zły biorą kierunek i stają się zarazą towarzystwa; podniecane zaś i wcześnie pielęgnowane wydadzą, czy to w dziedzinie nauk i umiejętności, czy też przemysłu i handlu błogie i obfite owoce.

W dawniejszych czasach pobożne bractwa, wielu tkliwych na dobro powszechne duchownych i majętnych obywateli kraju, poświęcali się podobnej usłudze dla rodzaju ludzkiego, lecz potok czasu zabrał jednych, a drugich środki i chęci osłabił. Należy zatem zastąpić ich w sposób skuteczniejszy i bardziej odpowiadający obecnej potrzebie, słowem trzeba połączonemi siłami coś wielkiego utworzyć. *Boć i czas nowszy nowych, nieznajomych dawniej, chwycił się sprężyn, aby wyższych dopiąć celów.* Rozpowszechnione szkoły elementarne i miejskie, wyzwolenie do udzielności stanu włościańskiego, nowe w każdym stanie i wieku wywołały siły. W tych to wszakże szkołach wcześnie już poznać można w dziecku przyrodzone jego usposobienie i talenta i mieć je na bacznej uwadze, byleby nauczyciele i duchowni dozór szkolny mający, nie ustawali w staraniach odkrywania w dzieciach zdolności i wybieraniu z pośród nich zdatniejszych. Tych to właśnie zdatniejszych, którzyby bez obcej poręki zmarnieć mogli, wywieść na jaw, pozyskać dla nauk, kunsztów i rzemiosł, podnieść przez to oświatę, przemysł i dobre mienie, oto jest szczytny cel, dla którego, rachując na ducha publicznego i szlachetny sposób myślenia współobywateli naszych, zamierzamy zawiązać... towarzystwo wspierania zdolnej i bez sposobu zostającej młodzieży".

Do projektu dołączony był następujący list, który z tych samych, co i powyższy ustęp, przytaczamy powodów. Zresztą

charakteryzują one dosadnie szlachetny sposób myślenia ówczesnych przywódców społeczeństwa wielkopolskiego. List ten brzmi:

„*Nie dla siebie, raczej dla drugich żyć powinniśmy, a znajdziemy w ogólnem szczęściu narodu swoje własne.* O tej prawdzie przekonywają się czasy nowsze i występują z brudnego egoizmu, który kalał całą przeszłość dziejów. Obudza się ta prawda i u nas, i zaczynamy czuć niedostatek siły ogółu, dlatego, że każdy szczegół na swoje się ograniczył i swoje własne tylko podsycał. *Czego jeden nie zrobi, stu zrobi, czego stu nie dokaże, tysiąc dokaże. Tak powstają i tworzą się olbrzymie ludów dzieła, tak z małoznacznych zasiłków potężna urośnie i wzmoże się siła, cały wiek, całą przyszłość potrafi pchnąć w kierunek ten, a nie inny. Nie o tak wiele tu chodzi nam początkującym dopiero* w tym rodzaju prac i zabiegów wspólnych. Chodzi tylko o wzniesienie przemysłu w prowincji naszej, który od lat wielu przyciśniony, mało podsycany, odłogiem leży po wsiach i małych miastach; bogactwo i zamożność nie wyrównywa dlatego sąsiednim na zachód i południe prowincjom. Przeminęły i przepadły w niepamięć gorliwe Surowieckiego uwagi w dziełku „O upadku przemysłu i miast w Polsce", ale nie przeminęła potrzeba, której on prawy obywatel zaradzić usiłował. Ta potrzeba podniesienia przemysłowego stanu między krajowcami więcej niż kiedy czuć się daje, i dlatego sądzimy, iż z przyjemnością ogłosi redakcja i poniżej umieszczony projekt do założenia towarzystwa końcem dźwignienia oświaty i przemysłu krajowego. Jako z jednej strony tu widzimy w obywatelach zaradzenia dającemu się czuć niedostatkowi, tak z drugiej spodziewać się możemy, że ta chęć stanie się powszechną i każdy pospieszy i dołoży grosz oszczędzony na dzieło żywe, w błogie owoce płodne, szczytniejsze nad wszystkie kosztowne pomniki z marmurów i bronzów, któ-

rymi się kraj zamożny i bogaty poszczycić może, ale które kraj ubogi chyba na ironją sobie stawia".

Listy były napisane prawdopodobnie na polecenie Marcinkowskiego przez Aleksandra Mendycha, który dłuższy czas był jego sekretarzem i redagował odezwy, wysyłane przezeń w sprawach publicznych.

W celu urzeczywistnienia wielkiego zamiaru rozwinięto szeroką agitację, w której najczynniejszą rolę odgrywał znowu Marcinkowski. On to jeździł z projektem w ręku po domach obywatelskich Księstwa, nakłaniając kogo tylko było można do przystąpienia do Towarzystwa. Projekt statutów, umieszczony w Tygodniku Literackim, a ostatecznie z pewnemi zmianami zredagowany przez Karola Libelta, przesłano naczelnemu prezesowi do zatwierdzenia. Flottwell, który w ostatnich czasach z Marcinkowskim w dobrych pozostawał stosunkach — zwłaszcza od chwili, gdy Marcinkowski wyleczył mu córkę, o zamiarze założenia Towarzystwa wyraził się bardzo pochlebnie, odpowiadając na pismo inicjatora pomiędzy innemi, że wobec wielkiej doniosłości Towarzystwa dla rozwoju życia publicznego życzy sobie, aby zamiar mógł być jak najprędzej urzeczywistniony. Zażądał atoli niektórych poprawek w statucie; spowodowało to zwłokę, a Flottwella w ciągu tego odwołano z dotychczas zajmowanej posady. Miejsce jego zajął Hr. Arnim, który przedłożony mu statut 21. września 1841 roku zatwierdził. Dyrekcja atoli utworzyła się była jeszcze przedtem, niebawem po odpowiedzi otrzymanej od Flottwella, a w skład jej weszli: Marcinkowski, jako prezes, Potworowski Gustaw, Wojciech Lipski, Karol Stablewski, dr. Antoni Kraszewski, Józef Szułdrzyński, prof. Popliński, kanonik Jabczyński i Jędrzej Moraczewski jako wydziałowi. Sekretarzem wybrano Karola Libelta, podskarbim zaś syndyka Kazimierza Mioduszewskiego. Wskutek nawału

pracy, wzrastającej stosownie do wzmagającego się zakresu działania Towarzystwa, przybrano na drugiego sekretarza ks. kanonika Brzezińskiego, który funkcję tę pełnił przez lat 36, wielkie Towarzystwu oddając usługi. Niebawem zajęto się potworzeniem komitetów prowincjonalnych, a pierwsze walne zgromadzenie mężów zaufania odbyło się 23. października 1841. Prezydował na niem Karol Marcinkowski. Mężom zaufania, z których na 28 proponowanych przez Libelta zjawiło się 17, poruczono organizację komitetów prowincjonalnych, zaopatrując ich równocześnie w odpowiednią instrukcję. Dyrekcja zwróciła się także do duchowieństwa, a skutecznym pośrednikiem był ks. Brzeziński, zażywający u kleru wielkiego poszanowania. Ks. Brzeziński stał się obok Marcinkowskiego duszą prac organizacyjnych. Duchowieństwo z arcybiskupem Marcinem Duninem na czele nie uchyliło się od udziału w nowo założonem Towarzystwie. Arcybiskup Dunin okazał wielką w popieraniu Towarzystwa gorliwość, a za jego przykładem poszły obie kapituły wielkopolskie, gnieźnieńska i poznańska, i wszyscy inni księża. Do 23. listopada tegoż roku zapisało się na skutek odezwy arcybiskupiej do Towarzystwa 366 księży, którzy na przeciąg lat pięciu zobowiązali się do rocznej składki, wynoszącej razem 1425 talarów. Duchowieństwo, oprócz hojnych składek, nie szczędziło, jak powiada dr. Zielewicz, i rad nowo założonemu Towarzystwu, a na szczególniejszą uwagę zasługuje projekt księdza Siwickiego, z miasteczka Sulmierzyc, który polecał Dyrekcji wciągnięcie do Towarzystwa także szerokich mas ludowych. — „Aż dotąd — pisał ks. Siwicki — nic nie czyniono dla ludu szczerze, a pozorne i grzeczne oświadczenia były zapełnione czczością, marzeniami bez skutku. Szanownej dyrekcji pomysł jest wielkim, bo dąży do oświaty i polepszenia materjalnego bytu mas ludu. Ale należałoby i ten lud wciągnąć

do wspólnego działania, bo ten, działając, wspólnie oświeca się..." Niestety, piękne słowa te pozostały bez skutku, dopiero w ostatnim czasie w niektórych parafjach zaczęli księża zbierać składki na cele Towarzystwa, a zmusił ich do tego kroku upadek większej własności szlacheckiej, przechodzącej w ręce komisji kolonizacyjnej.

Z wezwaniem do wzięcia udziału w Towarzystwie zwróciła się Dyrekcja także do osób mieszkających za granicą, a posiadających majątki w WKsięstwie. Odezwa nie pozostała bez skutku. Do Towarzystwa przystąpił pomiędzy innymi król niderlandzki i inne książęce i obywatelskie rodziny zagraniczne, mające dobra w Poznańskiem. Cele Towarzystwa zaczęli popierać i dyrektorowie gimnazjów, zwalniający stypendjantów od opłaty szkolnej.

Ażeby móc skuteczniej działać na młodzież, zajęła się Dyrekcja utworzeniem alumnatów, gdzie stypendjaci otrzymywali całkowite zaopatrzenie: stancję, stół, światło, opał, odzież, a wielka część nawet książki szkolne. Wsparć udzielano już od klas najniższych, a szczególniejszą opieką otaczało Towarzystwo zwłaszcza młodzież, kształcącą się na nauczycieli ludowych, uznając doniosłe ich dla ogólnej oświaty znaczenie. Wspomniany już kilkakrotnie dr. Zielewicz podaje, że do r. 1876 — gdyż do tego czasu sięgały jego informacje — uczyło się kosztem Towarzystwa ośmiuset seminarzystów. W pierwszych zaś trzech latach Towarzystwo wydało na seminarja nauczycielskie i szkoły elementarne 4998 talarów.

Na naukę chcących się poświęcić rzemiosłom, przemysłowi i handlowi, wydało Towarzystwo w pierwszych trzech latach istnienia 4219 talarów. Jest to znakomitym dowodem, że przemysł i handel nie mniejszą od innych czynników życia społecznego mógł się poszczycić ze strony Towarzystwa opieką. Obecnie głównymi stypendjatami są medycy i teolodzy.

wskutek bowiem ucisku żywiołu polskiego przez Prusaków, zawody lekarski i duchowny są najbardziej niezależnemi, księża więc i lekarze mogą najlepiej odpłacić się Towarzystwu, pracując dla dobra powszechnego. Pieniądze, wydawane na nauczycieli ludowych, stających się dzisiaj wskutek nacisku rządowego germanizatorami, byłyby groszem prawie zupełnie wyrzuconym. Po tych kilku latach istnienia mógł Marcinkowski z dumą spojrzeć na swoje dzieło, zadowolenie swoje wyraził on też w przemowie, mianej na walnem zgromadzeniu, odbytem 2 lipca 1844 pod przewodnictwem hr. Macieja Mielżyńskiego. Przemówienie, wydrukowane w *Roku* Libelta, brzmiało:

„Dążymy wszyscy" — powiedział wtedy Marcinkowski, zdaje się publicznie po raz ostatni już w życiu — „dążymy wszyscy — na całym świecie — do lepszej przyszłości! — co się w pojedynczym jako życzenie, jako nadzieja odzywa, to w zbiorowej potędze całości przeistacza się w potrzebę, rośnie w wymaganie. To dążeń ludzkich przez wszystkie czasy wrodzona przyczyna, to wszystkich czynów, które historja w całości obejmuje, najgłębsza podnieta. Drogi są rozmaite, choć cel wiecznie jednostajny. Od morderczych bitew i pożogi, aż do spokojnego poświęcenia życia, do męczeństwa za dobro ogółu, zawsze ród ludzki dążył do ulepszeń. — Pojąć czas, w którym się żyje, wykryć środki najstosowniejsze do zaradzenia potrzebom ogólnym, to każdego pokolenia zadaniem. Zastanówmy się nad niem w krótkości z najogólniejszego stanowiska, dotykając zasady towarzyskich stosunków. Jest to pole, na którem dzisiaj duch ludzkości swej siły doświadcza, na niem chce znaleść drogę, którą najpewniej do ulepszeń trafi.

Z postępem czasu zmieniają się wyobrażenia, bo się zmieniają potrzeby stosunków towarzyskich. Z natury człowiek do społeczeństwa przeznaczony, ma w tym zakresie myśl

swoją, płód umysłu, który go od zwierząt odróżnia, wcielić w organizowane czyny i dowieść twórczem działaniem, na czyj obraz i podobieństwo stworzonym został. Bez społeczeństwa nie masz dla myśli człowieka działalności pola, a więc bez społeczeństwa byłby człowiek istotą bez celu. Towarzyskość społeczna dozoruje i prowadzi przez wszystkie szczeble wykształcenie ludzkie, i na każdym szczeblu kieruje takowe do wspólnego użytku. Wychowanie nasze jest to dług zaciągniony u ogółu, z którego się w swym czasie wypłacać winniśmy. Nosi ono zawsze cechę tej formy tego ducha, które w pewnej obecności znamionują całość. Wypływem istniejących w każdej chwili urządzeń towarzyskich jest i stopień oświaty i cała dążność przyszłego pokolenia w niem, jako ziarno przyszłego bytu społeczeństwa, złożone jest żniwo najbliższej przyszłości i wyrasta w pomysły nowe i świeże, mające wydać dla ogółu korzystniejszy owoc. Tę siłę odradzania się myśli przez całe pokolenie nazywamy duchem czasu. Jest ona z jednej strony wypływem istniejących urządzeń towarzyskich, a z drugiej wszelkich ulepszeń tworzycielką.

I cóż jest społeczeństwa ostatecznem zadaniem, do czegóż duch czasu, jako siła kierująca jego życiem, jego dążnościami, zmierza i zmierzać powinien? Oto do ugrupowania szczęścia wszystkich pojedynczych członków, całość społeczeństwa stanowiących. Bo jakiekolwiek dalsze jest przeznaczenie człowieka, którego myśl czasowa nie zgłębi i którego ziemska pielgrzymka — błogo pomyśleć — ma być tylko przygotowawczą chwilą, jest dobą rozwijania się, porą doskonalenia, — możeż ono dokładnie nastąpić bez wewnętrznej razem i zewnętrznej swobody, które jak światło i ciepło słoneczne pielęgnuje najlepiej wystawiony nań zasiew? *Jak wichry i nawałnice niszczą przyszłe żniwiarza nadzieje, tak przewrotności urządzeń towa-*

rzyskich, niszczące swobody rodu ludzkiego, są przeznaczenia jego wrogami. Wzdryga się natura ludzka na wszystko, co duszę lub ciało krępuje, co jednej lub drugiemu wolnego rozwijania nie dozwala, co w myśli swobodę uśmierca, a ciało niedostatkiem lub katuszą gnębi. Chceszli jednym wyrazem objąć zamierzony cel społeczeństwa względem pojedynczych jego członków, powiedz, że ich ma zrobić wolnymi na duszy razem i ciele. Nie jest wolnym na duszy, komu przesądy ciężarem ołowiu tamują lot myśli, ani też nim być może ten, którego myśl rozbiegania wynosi w obszar urojenia. Ani ten się wolnym uczuje, czyjej duszy namiętności pęta niewoli narzucą, lub w kim myśl skierowana li do poziomej materjalności tłumi szlachetniejsze uczucia, drzemiące w piersi każdego, aż je w najwyższą potęgę duszy wyniesie siła boskich ideałów. Do takiego stopnia wyzwolenia, którego szczytem w duszy naszej jest samodzielne uczucie godności człowieka, społeczeństwo ludzkie tylko równem dla wszystkich rozkrzewianiem prawdziwej oświaty przyłożyć się zdoła. Takie uznanie własnej godności jest przeczuciem Boga, z którego początek swój wzięło, a następnie stanie się źródłem najczystszej jego miłości, stanie się bodźcem do zamiłowania cnoty, do wywołania w sobie najczystszych poświęceń. Bo z drugiej strony kto w sobie samym godność człowieczeństwa raz uczuł, kto poznał bliskość tego Boga, na którego obraz i podobieństwo stworzony, ten i w każdym podobnym sobie, w każdym bliźnim szanować będzie własną swoją godność.

Otóż jest niezachwiane źródło jedynej społecznej cnoty, nad którą nie masz trwalszego ogniwa, bez której nie masz prawdziwego szczęścia, — cnoty, która we wyznaniu chrześcijańskiem świetnością rzeczywistej prawdy zajaśniała: Kochaj bliźniego swego, jak siebie samego.

Wszystkie zabiegi nasze, dążące do ulepszeń socjalnych,

płonną tylko będą igraszką, błędnem wyobraźni światełkiem, jeżeli swej podstawy nie oprą na rzetelnej dążności wykształcenia dusz naszych do samodzielnego siebie samych uczucia. I równość socjalna sama przez się się rodzi, skoro każdego do najwyższego szczebla pojęć umysłowych doprowadzisz: nic jej tak bardzo na przeszkodzie nie stało i przez wszystkie wieki postępów towarzyskich w rozmaitych oddziałach rodu ludzkiego, które dlatego wiecznie na odrętwiałość życia skazane być się zdają, jak zostawienie pewnej części ludzi na rozmaitych nierównych stopniach wykształcenia duchowego.

Kiedym pod względem równości socjalnej wspomniał o potrzebie najwyższego stopnia duchowego wykształcenia pojedynczych towarzystwa członków, winienem tu ostrzec słuchaczy, że to wykształcenie jest wcale jeszcze czem innem, jak nabyciem nauk i wiadomości, jak ukształceniem zdolności umysłowych. To ukształcenie jest wprawdzie jednym z najpewniejszych środków, prowadzących do ukształcenia naszej moralnej duchowej części, a to nie jest tem, co samodzielnością duszy człowieka nazwałem. Uczonym być nie trzeba, aby uczuć, jakie stanowisko człowiek w utworze i porządku tego świata zająć, aby się obeznać z wartością swoją i przekonać o nietykalności praw sobie przyrodzonych i nierozdzielnej od nich świętości obowiązków nabytych, których pierwszych strzeżenie a pełnienie drugich podstawę towarzyskiej wolności stanowi. Uczonym zbiorom wiadomości potrzeba umysłowego że tak powiem bogactwa; — człowiekowi, co się ma uczuć wolnym na duszy, tylko siły samodzielnej własnego myślenia, nabytej rozwijaniem i ciągłem onejże ćwiczeniem. Pierwszy się zbytkiem dostatków umysłowych odznacza, drugi tylko żąda zdrowego dla duszy pokarmu, na prawdziwej oświacie opartego, duchowego wychowania, które go od samej kolebki

aż do wprowadzenia w zakres działań socjalnych ma pielęgnować i karmić.

Czem oświata w ściślejszem oznaczeniu stosunku swego do zakresu socjalnego jest dla ustalenia wolności ducha w człowieku, tem ku oswobodzeniu ciała, tego drugiego źródła szczęścia naszego na ziemi, jest praca. Jak dla duszy owego hartu, owej samodzielności potrzeba, która się nie da podbić fałszom i przesądom, tak dla zabezpieczenia ciała od dręczących je potrzeb, a bardziej jeszcze od zawisłości dla stosunków zewnętrznych nieodbicie potrzebną jest praca. W człowieku, póki w formie czasowej, ziemskiej, zostaje, duch z ciałem tak ściśle połączony, że nie możemy zgwałcić jednego bez nadwerężenia istotnej drugiego siły. *Ogranicz prawem wolne rozwijanie się myśli, a zrobiłeś z ludzi helotów; udręcz ciało głodem i katuszą i pokaż mi wielu, co nie upadną na duszy! Gdzie wychowanie całych narodów, ulegające przepisom nakazanym przez władze, podając duszy tylko mdłe i niedojrzałe pokarmy, tam się siła duchowa do tej potęgi, do której dojść jest zdolna, wznieść nie potrafi; tam całe narody wbrew wrodzonemu uczuciu, jak trzoda owiec ślepo skinieniu pasterza uległa, ulegną posłuszne; — i z drugiej strony, gdzie praca w kluby ujęta, które już wolne obroty tamują, tam bogacz, ów materjalny despota, ciągnie pod swe rozkazy tłumy biednych, z głodu umierających wyrobników. O! ileż to ludzi z tego względu umysłowej i cielesnej doznaje niewoli w krajach na pozór wolnemi instytucjami rządzonych!*

Praca zbiorowa uważana jest, że tak powiem, materjalnym łącznikiem, kojarzącym pojedyncze ogniwa całości społeczeństwa. Oświata ducha tego ciała stanowi. Jak oświata, wywołując w duszy człowieka pojedynczego ową potęgę, którą uczuciem godności nazwałem, daje najpewniejszą podstawę równości socjalnej w obliczu praw przyrodzonych, w stosunku moralnym, tak praca, usamowalniając człowieka

od wpływu zewnętrznego na ciało, nadając człowiekowi źródło do zaspokojenia potrzeb nieodzownych, daje materjalną podstawę równości socjalnej w obliczu praw nabytych w stosunku materjalnym.

Wartość człowieka pod względem moralnym zawisła od uczucia jego godności, które w towarzystwie społecznem ma być jego postępowania skazówką i mistrzem; pod względem materjalnym wartość jego opiera się na pracy, którą ku użytkowi wspólnemu przykładać się będzie. W obliczu tego celu, to jest użyteczności ogólnej, to jest dla dobra publicznego, każda praca zarówno jest policzona. *Stosunek usługi pojedynczego na korzyść całości towarzyskiej równa pierwszego ministra z najniższym urzędnikiem, równa wyrobnika dziennego z zamożnym kupcem i właścicielem.* Porządek towarzyski wymaga podziału pracy i obliczenia wartości tej pracy, chcąc ją na pieniądz zamienić; sama w sobie nie jest żadna ani mniej ani więcej znacząca; sama w sobie nadaje ona równy wszystkim szacunek w obliczu praw socjalnych. Gdyby prawodawcy narodów potrafili wynaleść przepisy, wzbraniające pojedynczym ludziom nie poznać własnej godności, owszem nakazujące dążyć do owej oświaty, która nas uszlachetnia i zbliża do źródła boskiego; gdyby potrafili nadać prawa, zmuszające każdego do wyćwiczenia się w pracy użytecznej i pracowania z ochotą na zaradzenie wspólnym potrzebom; jednem słowem gdyby prawodawcy umieli wynaleść ustawę niedozwalającą nikomu zostać głupim i próżniakiem: w jednej chwili towarzystwo ludzkie stałoby się rajem na ziemi.

Te prawa dadzą się wynaleźć, ale dotąd szczerze o nich nie myślano, bo nie sama myśl zrównoważenia ludzi w obliczu praw przyrodzonych i nabytych kierowała natchnieniem prawa stanowiącem. Tylko przez wychowanie da się cel ostateczny tym sposobem osiągnąć. Powinno ono obejmować

sposoby, prowadzące ród ludzki od samej kolebki i do prawdziwego poznania i silnego wykształcenia owej iskry, którą Bóg tchnął w pierś człowieka, stwarzając go na swój obraz i podobieństwo, i do wyuczenia się i szczerego zamiłowania użytecznej pracy. Mała jest liczba ludzi, którzyby pod tym względem powołanie swoje na tej ziemi zrozumieli, przecież się ich ilość zwiększa prawie codziennie. Pojedynczy podwajają swe zamiary i usiłowania, kiedy się łączą w stowarzyszenia, i miłością świętą powinności wiedzeni, nie szczędzą pracy i ofiar ku podniesieniu tych bliźnich, których los dotąd niesprawiedliwy na niższym od nich stopniu pozostawił. Takie usiłowania nie mogą bez błogich skutków pozostać.

Towarzystwo nasze, Szanowni rodacy, ma właśnie za zadanie rozszerzać oświatę pomiędzy bracią naszymi i dać im sposób wyuczenia się pracy, którą w całości socjalnej jako jednego ciała ogniwa, zlani w jednorodność ogółu, użytecznymi stać się mogą, zabezpieczając zarazem własną duchową i materjalną niezawisłość. Wszakże to jest i szczęście pojedynczych ustalić i nadać całości siłę i znaczenie. Wszakżeż to jest najpewniejszy sposób, aby rozwiązać zadanie społeczeństwa: zrobić ludzi wolnymi na duszy razem i na ciele; to jedynie droga zbliżenia pożądanej dla wszystkich równości socjalnej i wyniesienia człowieka do wyższej potęgi obywatela w narodzie..."

Aż się wierzyć nie chce, ażeby człowiek, do konserwatywnego zaliczający się obozu, podobnie demokratycznie postępowe wypowiadał — zdania. Marcinkowski, ukazując się tu nam w świetle twierdzimy ponownie — zwolennika idej, które stanowią dzisiaj jeszcze pomimo, że żyjemy na schyłku wieku dziewietnastego, rodzaj postrachu na wszystkich „lojalnych".

Na zgromadzeniu, na którem Marcinkowski pozostawił

w przemówieniu swojem jeden z najszczytniejszych „dokumentów ludzkich", jakby powiedział Emil Zola, trzeba było z powodu wzmagającego się zakresu działania Towarzystwa pomnożyć liczbę członków jego dyrekcji. Wybrano do zarządu trzynastu znanych w Wielkopolsce ze zasług, położonych około jej dobra, obywateli, mianowicie: Marcinkowskiego, ks. Brzezińskiego, Potworowskiego, Szułdrzyńskiego, Libelta, ks. Jabczyńskiego, Mioduszewskiego, dra Mateckiego, dra Gąsiorowskiego, Karwowskiego, Białkowskiego, Sadowskiego i Macieja Mielżyńskiego. Marcinkowski atoli nie długo zażywał zadowolenia z swego dzieła; umarł w dwa lata później, a na miejsce po nim wstąpił Potworowski Gustaw śród okoliczności najmniej Towarzystwu sprzyjających. Były to bowiem czasy rozruchów 1846 i 48 roku; społeczeństwo, myślące znowu o zbrojnem odzyskaniu wydartych sobie praw, nie miało czasu zająć się interesami podupadającego Towarzystwa. Energji Potworowskiego zawdzięczać jednak należy, że Tow. naukowej pomocy utrzymało się, a staraniom Macieja Mielżyńskiego, który objął prezesostwo po Potworowskim, że znalazło się na tym samym niemal stopniu rozwoju, na jakim było wtedy, gdy Marcinkowski osobistym swym wpływem licznych a hojnych zjednywał mu zwolenników. Za dyrektorstwa też Mielżyńskiego postawił ks. Brzeziński na walnem zgromadzeniu w r. 1859 wniosek „obmyślenia najstosowniejszego, najgodniejszego i najtrwalszego pomnika dla założyciela Towarzystwa". Ks. Brzeziński, stawiając swój wniosek, nie myślał o żadnych pomnikach z bronzu lub marmuru, ale o wyniesieniu dobroczynnej instytucji, któraby imię wielkiego filantropa i poświęcenia pełnego obywatela przekazywała od pokolenia do pokolenia. Powoływał on się na projektowany w r. 1846 zakład ku uczczeniu Karola Marcinkowskiego, mówiąc: „dziś, kiedy doniosłość czynności i zachodów jego,

położonych na polu krajowej oświaty, tej najsilniejszej podstawy szczęścia narodów, wydając w oczach naszych błogie owoce, przez wszystkich przyjaciół ludzkości uznaną została, dziś nadeszła chwila wywiązania się z odroczonego dotąd obowiązku uczczenia pamięci zgasłego". Wniosek ks. Brzezińskiego nie został na razie zrealizowanym, podjęta jednak na zgromadzeniu tem myśl nie przestała pokutować pomiędzy obywatelstwem, aż wreszcie w dwa lata później stała się faktem dokonanym w tej formie, że na wniosek ks. kanonika Kaliskiego, Towarzystwo nazwano odtąd „Towarzystwem Pomocy naukowej imienia Karola Marcinkowskiego dla młodzieży W. Księstwa Poznańskiego".

„Uchwałą tą — powiada dr. Zielewicz w pięknym życiorysie Marcinkowskiego — „Towarzystwo z jednej strony oddało cześć zasługom i pamięci wielkodusznego założyciela swego, z drugiej strony utwierdziło zasadę, że w duchu jego niezmiennie i wytrwale działać będzie. Pod tą obiecującą wróżbą Towarzystwo, złączywszy z niem imię swego założyciela, we fundamentach tego pomnika złożyło podwalinę własnej swej trwałości i w niezatartych rysach tego imienia zakreśliło niezmienny program swego działania na rzecz oświaty, na rzecz wydobywania z mas ludu talentów i obracania ich na pożytek kraju za pomocą zespolonych sił wszystkich warstw naszego społeczeństwa".

Za dyrekcji Mielżyńskiego Towarzystwo w kwitnącym znajdowało się stanie, ogólny dochód jego wynosił bowiem dziesięć tysięcy talarów, która to kwota w chwili, gdy za inicjatywą zasłużonego wiceprezesa Hipolita Cegielskiego obchodzono w r. 1865 dwudziestopięcioletni jubileusz Towarzystwa, wzmogła się do 15 tysięcy. Był to atoli kulminacyjny punkt rozwoju, odtąd bowiem majątek towarzystwa zaczął się zmniejszać, spadłszy w roku 1870 wskutek niepomyśl-

nych warunków ekonomicznych Wielkopolski do 10 znowu tysięcy.

Po Mielżyńskim, zmarłym około r. 1870, na czele dyrekcji stanął całą duszą sprawom towarzystwa oddany ks. Brzeziński, ale i ten niebawem, bo już w r. 1877 z tym światem się pożegnał, ustąpiwszy miejsca profesorowi Janowi Rymarkiewiczowi. Rymarkiewicz funkcje pełnił aż do śmierci, która nastąpiła w r. 1889: obecnie prezesem jest radca sprawiedliwości Szuman.

W ostatnich czasach szczególniejszą opieką swoją otoczyły Towarzystwo sławetne rządy pruskie, zakazując należeć do niego profesorom gimnazjalnym. Sfery krzyżackie bowiem zaczęły uważać Towarzystwo Marcinkowskiego za czynnik, podtrzymujący w społeczeństwie wielkopolskiem ducha narodowego. Z tego też powodu musiało z Towarzystwa usunąć się wiele najznakomitszych sił, pomiędzy któremi zaznaczyć wypada profesora poznańskiego gimnazjum Świętej Marji Magdaleny, dra Wituskiego. Prof. Wituski, cichy, niestrudzony pracownik, pełnił przez lat szesnaście obowiązki sekretarza Towarzystwa, wielkie na tym polu oddając mu usługi.

Pomimo jednak piętrzącej się masy trudności, pomimo upadku większej własności ziemskiej w Wielkopolsce, Towarzystwu, zdaje się nie grozi żadne niebezpieczeństwo; lud wielkopolski, świadom swoich praw obywatelskich i obywatelskich obowiązków upaść mu nie pozwoli.

Krótki rys dziejów Towarzystwa pomocy naukowej, które uważaliśmy za słuszne przedstawić galicyjskim czytelnikom z tego chociażby powodu, że Towarzystwo to jest dziś jedną z najgłówniejszych instytucyj publicznych nietylko poznańskich, ale wogóle polskich, oderwał nas na chwilę od zaznaczenia dalszych losów życia Marcinkowskiego.

Powiedzieliśmy już, że Marcinkowski nie zbyt długo cieszył

się swem dziełem, śmierć bowiem przerwała pasmo dni jego już w r. 1846 t. j. w pięć lat po ukonstytuowaniu się Towarzystwa.

Słabowity z natury stan zdrowia pogarszał się już w czasie prac przedwstępnych około założenia Towarzystwa. Niestrudzona praca lekarska i obywatelska, brak wypoczynku i systematycznego odżywiania się, nie mogły, rzecz prosta, wpłynąć na jego polepszenie. Oprócz choroby płucnej cierpiał Marcinkowski na nerwowy ból w biodrze, który niebawem na całą rozszerzył się nogę. Na cierpienia te używał Marcinkowski wizykatoryj, nie przeszkadzało mu to jednak z jątrzącą się raną, spowodowaną tym środkiem, dosiadać konia i spieszyć, gdzie go powoływał obowiązek lekarski lub obywatelski. Nie znał on też żadnej stałej godziny obiadowania albo spoczynku, a gdy go przestrzegano że własne zaniedbuje zdrowie, skąpiąc sobie czasu na własne potrzeby, krótkiemi odpowiadał słowy: „czas ubogiego droższy jest niż mój". Przytem oprócz praktyki lekarskiej i zajęć obywatelskich, poświęcał Marcinkowski pewną ilość czasu na studja, których wynikiem były rozprawy „O wartości transfuzji krwi jako środka leczniczego" (po niemiecku) i „Uwagi nad historją i naturą kołtuna ze względu na przyczyny i sposób leczenia tego fenomenu".

Skołatanemu a potrzebującemu niezbędnego już wytchnienia udzielił schroniska przyjaciel jego, Wiktor Łakomicki, właściciel wsi Dąbrówka pod Poznaniem, otaczając go jak najczulszą zawsze opieką. Tutaj bawił też Marcinkowski w chwili gdy obywatelstwo wielkopolskie chcąc dać wyraz swego hołdu dla jego prac nad odrodzeniem społeczeństwa, dało na jego cześć obiad składkowy. Marcinkowski z powodu choroby na ucztę przybyć nie mógł, przesłał tylko list, znany już czytelnikom z poprzednich stronic książeczki niniejszej.

Na obiedzie tym zebrano większą kwotę, przeznaczając ją

stosownie do życzenia Marcinkowskiego na ubogich miasta Poznania. Świadczy o tem następujący list, wysłany do Marcinkowskiego na drugi dzień po uczcie: „Najdroższy bracie! Dany ku czci Twojej obiad wczorajszy ukończył się stosownie do życzeń Twej poczciwej duszy, albowiem zebraną składką na ubogich w ilości 424 talarów przyjść mogliśmy w pomoc cierpiącej ludzkości. Rozdzieliliśmy takową podług Twojej woli, objawionej jednemu z podpisanych, jako też posłuchaliśmy Twego głosu, odczytanego nam po wzniesionem Twem zdrowiu z żywą wdzięcznością i prawdziwem rozczuleniem. Wierzaj nam, drogi ziomku, że o ile Cię wielbimy i kochamy, o ile Twoje wysokie pomysły sięgają naszych uczuć, o tyle będziemy pracować nad sobą, nie aby Ci wyrównać, lecz żeby wskazanym przez Ciebie przykładem dążyć do uszczęśliwienia innych, do utworzenia pomyślniejszych widoków dla przyszłych pokoleń, które z Ciebie mając iskrę życia, wegetować już nie będą. Mając ten jedyny cel tych zabiegów i usiłowań dopięty, nie zamkniesz zapewne serca na głos przyjaciół zaklinających Cię, abyś jakkolwiek znużony światem i ludźmi, a może ustawicznie gnębiony niepojęciem Twej myśli i poświęceń, poprzestał natężeniem i podjętą pracą nad siły trawić się i jakby umyślnie niszczyć. Oto są jedyne życzenia serc wszystkich i oddanych Tobie".

Uczta na cześć Marcinkowskiego miała jeszcze inny cel. W ostatnim czasie zaczęły się w łonie obywatelstwa wielkopolskiego podnosić zarzuty na moralną dyktaturę, jaką Marcinkowski wywierał na otoczenie. Z powodu zdenerwowania był on niejednokrotnie szorstkim w obejściu z członkami „swego sztabu" — bo tak nazywano jego towarzyszy pracujących z nim razem nad rozwojem spraw krajowych — nie znosił zdań przeciwnych, a czasami okazywał znajomym swoim pewien rodzaj dumy, wynikającej jakoby z przeświadczenia

swej nad nimi wyższości. Najlepsze tłumaczenie tego zachowania się znajdujemy w ustępie testamentu, spisanego na krótko przed śmiercią. Ustęp ten przytaczamy i z tego względu ponieważ jest tak samo jak i listy Marcinkowskiego, znakomitym przyczynkiem do jego charakterystyki.

„Dwa pytania będą ludzi po mojej śmierci niepokoić. Co on robił z dochodami, jakie np. w ostatnich latach magistratowi poznańskiemu wykazywał. Wystawcie sobie rozrzutnego człowieka, który skoro rzecz jaką zobaczy, co pasji jego dogodzi, nie pyta, czy rozsądnie, by kupić, ale dogadzając swej chęci, wyrzuca pieniądze. Otóż taką samą chuć wlał Pan Bóg w mą duszę. Kiedym widział, że wydatkiem pieniędzy na pożyteczne, jak mnie się zdawało, cele mogłem dogodzić tej żarliwości mej duszy, z jakąż przyjemnością wydawałem, ciesząc się zawsze, że to moja prawdziwa własność, mój, że tak powiem, utwór, którym dysponuję. Nie pojmowałem nigdy tych ludzi, którzy skwapliwie skarby zbierają, nie zostawiając dzieci dobrze wychowanych, bo się ich wychowaniem nie trudnią, tylko zbieraniem majątku, lub umierając bezdzietnie, nie wiedzą, jaki z ich zbiorów nastąpi użytek. Zwykle to marnie bywa roztrwonione. Mnie było miło dogodzić sobie natychmiast i patrzeć za życia na skutki mych usiłowań. I dobrze mi tak było.

„Drugie pytanie, dlaczego ten człowiek jak zapamiętały pracował do upadłego, uparty, nie zwracający uwagi na żadne udzielane mu rady. To tylko ten zgadnie i zrozumie, kto kiedykolwiek w swej duszy żywo czuł, co to jest pełnić powinność. Tego żądła, tej niespokojności, którą Pan Bóg wlał w duszę moją, (boć ja sobie nic nie dałem. wszystko, co we mnie było, są jego dary przez wychowanie ludzkości na szczegółowy jej pożytek skierowane) inaczej poskromić nie mogłem, jak ciągle zajmując się pracą. Mnie jeść i spać, choćbym był najbardziej

zmęczony, nie prędzej smakowało, ażem całodzienną pracę ukończył. Prawda, że nieraz Bóg wiele po mnie wymagał, nigdym się na to nie oburzał, *zawsze równie ochoczy byłem, gdy chodziło o to, aby drugiemu dopomóc. A sam jednak na pozór odpychający drugiego, to dla wyobrażenia najzupełniejszej niezawisłości. Całe me życie, najwyższe me szczęście zakładałem na zupełnej niezawisłości od świata, wszystkiego sobie odmówić byłem w stanie...*"

Otóż obywatele wielkopolscy chcieli urządzeniem uczty w Bazarze udowodnić, że do niezadowolenia, zaczynającego się tu i ówdzie objawiać, oni się nie przyłączają, że owszem jego tylko przykład mają na oku i że na wzór jego dążyć pragną „do uszczęśliwienia innych, do utworzenia pomyślniejszych widoków dla przyszłych pokoleń"...

W tym samym roku choroba płucowa tak się wzmogła, że Marcinkowski dla poratowania zdrowia udał się do kąpiel w Reinerz, skąd po sześciu tygodniowym pobycie przeniósł się do Warmbrunu, dla wyleczenia bólów nerwowych w nodze. Kąpiele na razie korzystnie wpłynęły: i kaszel złagodniał i ból ustąpił. Bawiąc w miejscach kąpielowch, nie zapomniał Marcinkowski o instytucjach, w Poznaniu przez siebie stworzonych. Zajmował się gorąco zwłaszcza sprawami Towarzystwa Pomocy Naukowej, polecając je w listach opiece niestrudzonego kanonika Brzezińskiego. U wód spotkał się podobno z dawnym przyjacielem z Kłajpedy, Masonem, który na pamiątkę tego spotkania przesłał Marcinkowskiemu do Poznania powóz angielski.

Po kilkutygodniowej przerwie, spowodowanej chorobą, Marcinkowski, wróciwszy do rodzinnej Wielkopolski, zaczął, z tem samem poświęceniem, co dawniej, pracować na nowo. Pracował aż do końca, doznając przy schyłku życia wstrząśnienia, które godzinę śmierci przyspieszyć miało.

Dzięki agitacjom Towarzystwa demokratycznego, działającego w jak najlepszej wierze, przygotowywano się do ponownego powstania zbrojnego, które miało w jednym i tym samym czasie we wszystkich rozebranej Polski wybuchnąć dzielnicach. Marcinkowski w pracach konspiracyjnych udziału nie brał, nie wierząc w ich skutek, nie plwał jednak na inicjatorów ruchu. Opowiadają, że w pamiętnym dniu 14. lutego 1846 przybył do niego jeden ze znajomych, pytając go, co by mu należało uczynić. Marcinkowski odrzekł wtedy: „kiedyś mnie się przedtem nie pytał, co masz robić, to teraz bierz pałasz i stawaj na czele".

Rok 1846 był dla Marcinkowskiego rokiem katastrofy. Choroba przybierała coraz to groźniejsze symptomata, pomimo to szlachetny mąż nie ustawał w pracy. Wsparty na ramionach znajomych wdzierał się na najwyższe piętra, do mieszkań biedaków, niosąc im pomoc, której dla siebie tylko znaleźć nie mógł. Wreszcie, czując się zupełnie już osłabionym, pojechał znowu do Dąbrówki, do Łakomickiego, dla odetchnienia świeżem powietrzem. W Dąbrówce odwiedzali go przyjaciele, zwłaszcza kanonik ks. Brzeziński, z lekarzy zaś przybywał dla pielęgnowania chorego dr. Freudenreich. Końca, który, jak to sam chory widział, był lada chwila nieuniknionym, oczekiwał Marcinkowski ze spokojem prawdziwego mędrca. Czasami tylko niecierpliwił się, ale i wtedy nie opuszczał go humor, jakkolwiek pomieszany ze smutkiem — coś w rodzaju „śmiechu przez łzy". „To najpaskudniejsza rzecz — pisał na łożu śmiertelnem do Mielżyńskiego, który z majątku swego Chobienic czuwał nad złożonym niemocą, dowiadując się pilnie o jego zdrowiu — to najpaskudniejsza rzecz, że to tak długo trwa, bo się to nareszcie każdemu sprzykrzyć musi — a dopiero mnie, co niezawisłość od świata poczytywałem za największe szczęście na ziemi, a to wnet być zredukowanym

do niemożności dziecka. Niech djabli wezmą takie życie, długo dalibóg trwać nie powinno. No, panie Macieju, tylko łeb do góry: przejdziem przez ten świat, jak pielgrzymi przez puszczę, wiatr za nami wszelki ślad stóp naszych zasypie. A smutno wspomnieć, że byłby się człowiek mógł na coś przydać. Był człowiek może potrzebny do skompletowania liczby. I tak dobrze. Nie będę Cię więcej tą gadaniną nudził. Życzę, byś ze wszystkimi Ci miłymi zdrów był, mój kochany bracie".

Nareszcie ostatnia zbliżyła się godzina. Macieja Mielżyńskiego zawezwano do łoża przyjaciela. Przybył co tchu. Na jego też i Wiktora Łakomickiego ręku skończył wieczorem o dziewiątej godzinie 7-go listopada 1846 jeden z najszlachetniejszych mężów nieszczęśliwej Polski.

Na wieść o śmierci Marcinkowskiego cała Wielkopolska okryła się żałobą.

Po obdukcji, dokonanej stosownie do życzenia zmarłego, zwłoki przewieziono do Poznania. Nieprzeliczone tłumy ludzi ze wszystkich warstw społeczeństwa polskiego, a oprócz nich Niemcy i Żydzi, towarzyszyli orszakowi, przeobrażonemu w wspaniałą choć smutną manifestację.

W mury Poznania wnieśli trumnę wieśniacy na barkach swoich, we wszystkich kościołach uderzono w dzwony; pochód żałobny podążył ku przedmieściu świętego Wojciecha, gdzie zwłoki oczekiwał arcybiskup w asyście prałatów kapituły i duchowieństwa miejscowego i okolicznego. Orszak, w którym uczestniczyli najwięksi dostojnicy wojskowi i cywilni, reprezentacja miasta, magistrat, mieszczanie, wieśniacy, młodzież szkolna itd., ruszył głównemi ulicami na cmentarz świętomarciński, położony za miastem, gdzie zwłoki, jak sobie tego życzył zmarły, do prostego złożono grobu, który Maciej Mielżyński kazał wielkim przykryć granitem. Oprócz tablicy na zewnętrznej stronie kościoła świętego Wojciecha, umieszczonej

staraniem dawnych stypendjatów Towarzystwa Pomocy Naukowej, dra Rzepeckiego i Marjana Cybulskiego, i pomnika w Dąbrówce wzniesionego przez Wiktora Łakomickiego, pamięć Marcinkowskiego nie żyje w żadnem monumentalnem dziele z kamienia lub bronzu. Nic to nie szkodzi. Wspanialszy ponad wszystkie monumenta pomnik wzniósł sobie wielki patrjota i filantrop w powołanych przez siebie do życia instytucjach publicznych, zwłaszcza zaś w „Towarzystwie Pomocy Naukowej", które stało się matką duchową całej prawie inteligencji wielkopolskiej.

O CHAŁUBIŃSKIM

Po tem, co z tego miejsca wygłoszono poprzednio, po uroczystych słowach, malujących nam w żywych zarysach tę niezwykłą postać, która przed nami, majsterską wykuta ręką, w spiżowem widnieje popiersiu, trudno mi powiedzieć cośkolwiek, coby nie było powtórzeniem szczegółów już znanych, coby występowało poza linję obrazu, wypełniającego wnętrza nas wszystkich.

Trudno, ponieważ z hołdem stanęli tutaj nietylko naoczni świadkowie, ale i bezpośredni uczestnicy uwielbianej pracy Chałubińskiego.

Jeżeli jednak odważyłem się przemawiać w tej chwili, to tylko dlatego, aby zaznaczyć, że i w nas, pokoleniu nieco młodszem, a może i nieco odmiennem, ta sama niekłamana, ta sama gorąca żyje cześć dla jednego z najwybitniejszych wyrazicieli idealistycznych pierwiastków naszej duszy zbiorowej.

Cześć tem gorętsza, powiedzmy to otwarcie, ponieważ dotyczy człowieka, który, czy to z wyrozumowaną świadomością, wchodzić w to nie potrzebujemy, czy też wiedziony niezamierającym w narodzie, a w jednostkach wybitnych rozkwitającym instynktem, miał idealistyczne pierwiastki te do życiotwórczej podnieść zasady.

I on robocie realnej się oddawał: w zawodzie swoim najsumienniejszym, najgorliwszym był pracownikiem.

Co więcej: wierząc wytrwale, że społeczeństwa dochodzą do zapewnienia sobie najdogodniejszych warunków bytu, w drodze spokojnej ewolucji, mógłby w oczach ludzi przedstawiać się jako zwolennik haseł, które naturalnemu, w takich

wypadkach uległszy zmaterjalizowaniu, zdolne były wprowadzić zamęt w pojęciu jego obywatelskich obowiązków.

Jeżeli jednak różnorodną działalność Chałubińskiego rozpatrzymy nieco bliżej, to łatwo nam będzie przekonać się, że ten człowiek, wstrząśnięty burzą styczniową, idącą w poprzek jego wyobrażeniom o skuteczności dróg dziejowych, za jednym szedł drogowskazem:

Kochać naród i jego przyszłość, choćby naród ten w mniemaniu jego popełnił błąd, czy nawet zbrodnię.

I dalej — łatwo nam będzie przekonać się, że ten mąż nauki, w nauce widzący jedną z potężnych dźwigni społeczeństwa, umiał zrzec się tak wspaniałego środka wysyłania w świat swych idei, jakim jest katedra uniwersytecka, otoczona miłością i uwielbieniem kolegów i uczniów.

Ze zrozumieniem i odczuciem głęboko w duszy narodu uwięzionych, od czasu do czasu z mocą występujących na widownię dziejową pierwiastków idealnych, zespoliło się w Chałubińskim zrozumienie i odczucie ziemi, nietylko jako żywicielki tego narodu, ale jako aureoli Piękna.

Dymiły się przed nim, albo kąpały się w słońcu te majestatyczne wirchy, opasane ciemno-błękitną wstęgą regli, szumiały przed nim te siklawy i potoki aromatem świeżości przepełnione było to powietrze, pod sosrąbami izb góralskich opowiadali sobie napółdzicy potomkowie zbójników o zuchwałych pod Kraków i Budzin wyprawach, o miłości Giewonta i Bystrej, o śpiących pod krzesaną turnią w Kościeliskiej Bolesławowych rycerzach.

Bywali tu przed nim, którzy te wirchy i te regle widzieli, którzy słyszeli te huczne i szumne potoki i siklawy, którym o uszy odbiła się niejedna z tych starodawnych i starosławnych, homerowskich opowieści, a przecież wskroś naszego kraju nie poszedł hyr, któryby nas taką gromadą ściągał w Zakopane.

On, Chałubiński, jeżeli nie pierwszy spostrzegł ten czar przyrody tatrzańskiej; to pierwszy najsilniej i najwidoczniej go odczuł i jak prawdziwy poeta, acz nie mający daru zamykania swych wrażeń w wiązane słowa, czar ten przemocą swego, udzielającego się innym odczucia rozpowszechnił.

Mówią o wielkich twórcach, że w mistyczny, w głębie tajemniczych pierwocin bytu sięgający sposób zlewają się z Przyrodą.

Chałubiński lekarz i przyrodnik, Chałubiński profesor, Chałubiński działacz, kładący podwaliny pod rozwój Zakopanego, jako instytucji społecznej, już nam prawie ginie z oczu, już się w naszej zaciera pamięci:

Ustępuje jakiejś, jakgdyby z odwiecznych prabytowych przypomnień wyrastającej postaci z czasów, kiedy w mózgach stworzeń bożych nie było miejsca na odróżnienie skończonego od nieskończoności, na stawianie granic pomiędzy tem, co jest znikome, a tem co trwa nieustannie, z czasów, kiedy siły ziemi i nieba stapiały z siłami legendowych Waligórów i Wyrwidębów w jeden twórczy, przeogromny żywioł. Utożsamił się z jakąś turnią potężną, czarnemi grozi krzesanicami, o które szalony rozbije się powicher, zieje ku nam przepaścią, szumi dalekim szumem siklawicy, przegląda się w ciężkiem, a bezprzykładnie przejrzystem zwierciadle jeziora, a od czasu do czasu, jak gdyby chciał nam uprzytomnić, że w turniach tych zaklął swą miłość i że przez tę miłość pragnie być bliski sercu naszemu, do ludzkiej, mgławicą blasków owianej wraca postaci: siadł gdzieś na szczycie Rysów czy Łomnicy, zadumanym wzrokiem wodzi po wirchach, słucha cichych gęśliczek wiernego towarzysza Sabały i marzy — zapewne o szabli rycerskiego Janosika, w zielonym zaciętej jaworze.

Tak nagradza Piękno tych, którzy je odczuli i ukochali i taką wyznawców swoich darzy władzą, że nim się spostrzegą, ta miłość i to odczucie rozlewa się wokół, budzi drzemiące

w społeczeństwie pierwiastki twórcze i pierwiastkom tym plastyczny daje wyraz.

O Chałubińskim można powiedzieć bez przesady, że stał się ojcem niedawnych w naszem życiu umysłowem prądów.

Rozważając ostatnie okresy poezji i sztuki naszej, nie będziemy mogli pominąć natchnień, które ucieleśniły się w motywach tatrzańskich. Niewidzialną władzą uczucia przywołani, przyszli tu jedni, którzy, jak Asnyk, wobec ogromów tego świata górskiego odnajdywali w sobie związek z całym ogromem stworzenia, którzy czuli się „jednem ogniwem rozciągniętego przez otchłań łańcucha błękitu", którzy, otwarte mając ucho dla tajemnicy ciszy żlebów i kotlin, dla jednostajnych tętentów, płynących do ciemnych smreczyn, uświadamiali sobie spójność istoty swej z istotą „wieczystego Ducha".

Przyszli tu inni, którzy, jak Nowicki, życiowe tragedje fauny i flory tatrzańskiej na ludzkie przenosiły tereny i wysumowali z nich młodzieńczą werwą kipiące hasła społeczne.

Przyszli tu inni, którzy, jak Tetmajer, umieli w cudowną, nieokreślonej tęsknicy pełną muzykę przemienić tęsknice samotnych limb na urwiskach, fioletowe mgły wieczorne, przewalające się nad stawami i dolinami i wiatr „błądzący poprzez nadwodną, głuchą puszczę". Przyszli inni, którzy, jak Witkiewicz, znalazłszy w chałupach i szałasach baców i juhasów nieprzebrane skarby motywów twórczych, motywy te zużytkowali w malarstwie, snycerstwie, w architekturze i w rozwiniętej, doskonalszej, świetniejszej postaci powracają je znowu duchowi, z którego się narodziły.

Ale to Piękno, które nam w Zakopanem „odkopał" Chałubiński, może najwspanialszy święciło triumf, kiedy cały nasz ogół, kiedy ludzie, którzy Tatr nigdy nie widzieli, uczuli w ostatnim sporze o Morskie Oko, że te z ekonomicznego stanowiska

żadnego waloru nie przestawiające turnie, że te głazy i nieużytki stały się symbolem potrzeby obrony ich.

Takie idealne pojmowanie mają wszystkie narody wielkie i my tego idealizmu wstydzić się nie potrzebujemy, lecz błogosławić przez to, co tworzy granitową podstawę nieśmiertelnej chwały Chałubińskiego — przez nasze myśli, nasze uczucia i nasze czyny.

OJCOM NA CHWAŁĘ

Gdyby jakiś człowiek obcy, nie znający dziejów naszych, nie rozumiejący duszy naszej, a kierujący się tylko bezwzględną ślepą, współczucia pozbawioną racją stanu, otrzymał przypadkowo kilka kartek, wydartych z całokształtu księgi historycznej, a przedstawiających stosunki z czasów przed narodzinami Konstytucji majowej, kilka kartek, wyszłych nie z pod jakiegoś specjalnie wrogiego nam pióra, ale dyktowanych nawet sercem naszych, polskich autorów, to trudno byłoby mu się dziwić, że kartki te odrzuciłby ze wstrętem i przyklasnął argumentacjom, jakiemi postępek swój osłoniły potęgi, które kładły kres politycznej samodzielności Rzeczypospolitej.

Bo wyobraźmy sobie państwo, w którego granice bez poprzedniego wypowiedzenia wojny, wkracza kilkadziesiąt tysięcy cudzego wojska, ażeby, z bronią w ręku, nie dopuścić do szukania środków ratunku, gdyby komu ratować się chciało.

Wyobraźmy sobie państwo, w którem taki Repnin, obskakiwany przez panów i narzucające mu się damy polskie, potrafi wszcząć rokosz szlachty przeciw własnemu jej królowi, mającemu przynajmniej chwilami poczucie odpowiedzialności wobec stanowiska swego, jako monarchy narodu o wspaniałych świetnych dniach minionych.

Wyobraźmy sobie tych prymasów i biskupów, tych wojewodów i hetmanów, tych referendarzy i kanclerzy koronnych, jak bezwstydnie sięgają po żołd z ręki wroga.

Uprzytomnijmy sobie te tłumy szlachty, za jadło i napitek użyczające przepłaconym również wielmożom szabli i krzykliwego gardła dla rozbijania sprawy publicznej, dla przygłusza-

nia ewentualnych głosów, domagających się naprawy, usunięcia bezprzykładnej zgnilizny.

Wyobraźmy sobie wreszcie te bierne, ciemne masy ludu, które znały tylko jedno: niewolę.

Uprzytomnijmy sobie to wszystko, a będziemy mieli obraz w swoim rodzaju niezwykły, o barwach tak ponurych, tak tragicznych, że równy mu chyba trudno znaleźć w dziejach świata.

A przecież — i to jest chwałą ojców naszych — w dniach największego upodlenia znaleźli się ludzie, przez których przemówiło sumienie narodu, znaleźli się ludzie, którzy mieli odwagę powiedzieć wrogom, że „Polakowi można zdjąć żupan i kontusz, ale koszuli zedrzeć ze siebie nie pozwoli", znaleźli się ludzie, którzy wołali, że „i stu tysięcy się nie ulękną, lecz krew przeleją za ojczyznę", i wołanie to poparli czynem. Z tła posępnego malowidła, zapełnionego tłuszczą zaprzedańców i wszelkiego gatunku utytułowanych lichot moralnych, wybiegają świetliste postaci Sołtyków, Załuskich. Krasińskich, Pułaskich, Potockich, Małachowskich i tylu a tylu innych; rozwiązły, niepomiarkowany gwar zdradzieckiego targowiska o rzuconą na łup szatę Polski przerywa rozpaczliwy, a jednak o nieubitej żywotności narodu świadczący krzyk Rejtanów; w sejmowej również sali rozlega się potężne wołanie Wacława Rzewuskiego, przyzywające umarłych przodków na świadki, „na jakie straszne zamachy, na jakie praw rozwaliny zmuszeni są patrzeć ich wnukowie".

W chwilach, w których mniemanoby, że niema żadnego już wyjścia z tych piekieł, ziejących ogniem zagłady dla wszystkich niemal warunków bytu narodu; w chwilach, kiedy mniemanoby, że sumienie narodu pozbyło się całkowicie przymiotu sędziego, który wyrokami swemi daje dla długich pokoleń swiadectwo sprawiedliwości, w chwilach tych sumienie

to przywołuje przed trybunał swój takich Ponińskich czy Massalskich i zasłużoną wymierza im karę.

Wymierza ją dla dobra i na postrach dla tych długich, przyszłych pokoleń, któreby się rumieniły ze wstydu, któreby straciły szacunek dla popiołów ojców swoich, które postradałyby wiarę nietylko w swą nieśmiertelną żywotność, lecz wogóle w wszelką rację, w wszelką potrzebę, w wszelką konieczność bytu swojego, gdyby choć na moment wpadło im do głowy straszne, niesamowite przypuszczenie, że mogło się stać inaczej, że sumienie narodu straciło tak bezwzględnie wrażliwość na to, co jest szlachetne, a co nikczemne, na to, co warunkuje życie tego narodu, a co prędzej, czy później, choćby po wiekach śmierćby mu przynieść musiało.

A nie jest-że to dziwnym na pozór objawem, że ci, którzy nie znaleźli dostatecznej siły w sobie, ażeby oprzeć się zakusom „przyjaciół" czy nieprzyjaciół, że nawet ci, którzy wprost nie umieli sobie wyobrazić, iż kraj znękany sam się urządzić może, co więcej, do zbrodniczej nawet dochodzili rady, zalecającej uległość „zaborczym potencjom", zdobywali się przecież na zrozumienie potrzeby tego kraju w jednym przynajmniej kierunku, w kierunku oświaty i w komisji edukacyjnej, obok obywateli nieskalanych, z pożytkiem pracować zdołali.

Wśród ustawicznych wahań pomiędzy liczeniem na „przyjaciół", którzy w sromotny zawodzili sposób, a między samorzutnymi, z ducha narodu płynącemi zabiegami o ocalenie i utrwalenie bytu tak okrutnie sprawionej Rzeczypospolitej, zrodził się akt Konstytucji, ten najwspanialszy, najpotężniejszy wytwór samorzutności i niezależności duszy narodowej, a zarazem najgłębsze dla nas źródło chwały ojców naszych, najbardziej bijące w oczy świadectwo niezniszczalnej siły społeczeństwa, świadectwo, z którego znakomitą sprawę zdawali sobie współcześni.

„Długo, aż nazbyt długo“ — wołał na sejmie konstytucyjnym poseł Linowski — „długo, aż nazbyt długo i cnotę i światło Polaka tłumił duch obcy i duch wewnętrznego możnowładztwa. Czem był przez dwa wieki Polak? Narzędziem nikczemnem, którego używano pod hasłem niezrozumiałej wolności, na posługę lub dla interesu sąsiada lub przemożnego pana. Zmamiony służył dumie swoich zwodzicieli; spodlony nie czuł prawa obrony, bo nie od niego, ale od możnowładców, nad prawo wyższych, los jego i bezpieczeństwo zawisły.“

Konstytucja majowa była pierwszą, na wielką skalę zakreśloną próbą wewnętrznego zjednoczenia narodu. Była zapoczątkowaniem drogi, którą miał kroczyć ten naród, ażeby dojść do rozkwitu samodzielnej siły, ażeby nie stanąć przerażony przed workiem żebraczym, któryby mu na plecy zarzuciły losy, ażeby nie nachylić się pod jarzmem, w które z cynicznym czy dobrotliwym uśmiechem wprzęgałoby go Przeznaczenie. Niestety! nie oszczędzono mu tej goryczy. Wielkiej inicjatywy wielkiego, zbawczego dzieła nie mógł on urzeczywistnić na obszarach wolnej i niepodległej Polski. Ale chwalebna inicjatywa ojców taki nieprzeparty posiadała w sobie urok, taki potężny mieściła w sobie zadatek wyzwalającej prawdy, skuteczniejszej od miecza i działa, bo bez niej miecz i działo martwem są tylko narzędziem, że naród, na trzy podzielony części, nie poprzestał jednoczyć się wewnętrznie pod jej hasłem. Jakąkolwiek i w jakiejkolwiek dzielnicy rozpoczynał pracę wyzwoleńczą, rozpoczynał ją pod hasłem Konstytucji, pod jej hasłem szedł do zaniedbanej czy pomiatanej podstawy narodu, do ludu, pod jej hasłem powstańcze, biało-czerwone rozwijał sztandary. Zrozumiał, że Konstytucja, wyrosła na tak strasznych zgliszczach i gruzach moralnych i materjalnych, a kładąca podwaliny pod nową, a tak wspaniale zarysowaną budowę, jest najbardziej skupionym symbolem jego żywotności.

Jest coś jakgdyby z tajemniczego, mistycznego, powiedziałbym, cudu, że ta żywotność nasza objawia się najpotężniej w chwilach najtragiczniejszych.

Taką chwilę przeżywamy dzisiaj, chwilę tak tragiczną, że osłupiały umysł ludzki, patrząc na nią dochodzi niemaldo zmartwiałego zobojętnienia, bo nie może pojąć, aby to wszystko, co się dzieje, było prawdą, nagą, rzeczywistą, oczy krwawym blaskiem oślepiającą prawdą.

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Nic naturalniejszego, jak przypuszczenie, że w takich warunkach i najsilniejszy naród mógłby opuścić ręce, mógłby w bezczynną popaść rozpacz, mógłby stracić wiarę w rację swego istnienia, a cóż dopiero naród, pozbawiony tych wszystkich środków, jakich do walki i podźwignięcia się z gruzów i popiołów dostarcza niezawisły byt polityczny.

A przecież my, choć środków tych nie posiadamy, nie poprzestajemy — śród warunków, jakich żaden naród na świecie dotychczas nie przeżywał, bo przykład wspomnieniami dziejowemi związanej z nami Belgji blednie przy naszych nieszczęściach, — a przecież my nie przestajemy dawać dowodów żywotności. Dźwigamy się i na pociechę i otuchę powiedzieć nam wolno, iż dźwigamy się może i potężniej, niż dźwigali się ojcowie nasi w epoce rozbiorowych pogromów. A dźwiganie to będzie niewątpliwie skuteczniejsze, bo niema dziś między nami zaprzedańców i jurgieltników, a i liczba oglądających się na cudzą pomoc z dniem każdym maleje.

Wrodzonym wiedzion instynktem, który niejednokrotnie owocniejszym bywa od rozumu i uczucia, chłop nasz, wypadkami wojny usunięty ze swej chaty, powraca do niej z twórczego nałogu i skrzętnie obsiewa swe pole, nie bacząc, że przy

pracy tej pług czy rydel kula z ręki mu wytrąci i razem z oczami nadzieję żniwa na zawsze mu zgasi.

Tam, za kordonem, w Królestwie, którego dzieje przesiąknięte krwią, wypełnione katorgą, stały się synonimem martyrologji naszej, robota wre w całej pełni. A przy robocie tej święci triumf pamięć wielkiej Konstytucji: nieszczęście narodu zbratało wszystkich. Od księcia do najbiedniejszego stróża — wszyscy w jednym stają szeregu i skuteczne zdobywają środki dla ulżenia nędzy i z myślą o przyszłości, skutecznie znoszą już dzisiaj cegły na odbudowę miast i wsi polskich. Wszyscy, jak jeden mąż, pragną jedynie tego, aby Polska wyszła z tej klęski zasobniejsza i piękniejsza, aby do triumfalnego Te Deum w odświętnej stanęła szacie. A wiarę mają tylko w siebie i w niezniszczalną potęgę duszy polskiej, a postępują z pełną godnością. Bo . . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

A ta kolebka naszego życia, ta na głęboką miłość zasługująca ziemia wielkopolska, która śród zawieruchy wojennej, umiała zaznaczyć z trybuny sejmowej, przez usta posła Trąmpczyńskiego, swe prawo do bytu, czyż w tych ciężkich czasach dzisiejszych zapomniała, że jest przecież cząstką w myśl Konstytucji wewnętrznie zespolonego narodu? Zachowując z tak niezmiernym taktem godność społeczeństwa, świadomego swej przeszłości i przyszłości, odpierając ze spokojem i rozwagą wszystkie ciosy, czyż nie może z dumą powiedzieć o sobie, że zahartowawszy do tego przeboju wszystkie swe warstwy, zrozumiała zamiary Konstytucji, że zamiary te rozwija dalej, że wprowadza je w czyn, który prędzej czy później uwieńczon będzie odżyciem.

W wytrwałych zapasach, odpierając napór ekonomicznej

przewagi obcej, utrwaliła swój byt materjalny, a utrwaliła go nie dla tego, ażeby zamknąć się w ciasnych granicach samolubnych używań, ale — jak właśnie dzisiaj liczne mamy na to dowody — w tem przeświadczeniu, że byt materjalny jest również jednym z najkardynalniejszych warunków narodowej trwałości.

W tem też przeświadczeniu, rozumiejąc zasady Konstytucji, zmierzające do wewnętrznego zespolenia narodu, stając w akcji swej obok na szeroką skalą zakreślonej ratunkowej działalności Sienkiewiczów, Paderewskich, Sapiehów, których świetne, duchem obywatelskim przejęte nazwiska potomność przekazywać będzie potomności, nieskąpemi rzuca rękami grosz, ciężką zdobyty pracą, aby ulżyć niedoli, jaką wojna dzisiejsza, na inne nasze sprowadza dzielnice. A rzucając ten grosz, zamyka się dalej w swych dworach, w swych domach mieszczańskich, w swych chatach chłopskich, ażeby w potomstwo swoje wpajać potrzebę zachowania języka ojczystego, wpajać konieczność zachowania duszy ojczystej, nieskażonej żadnym egoistycznym, pożytkowym kompromisem, ażeby z myślą, iż tylko jedna może matka, uczyć potomstwo swoje niezachwianej niczem potrzeby opierania się na samych sobie.

Postępując w ten sposób, społeczeństwo wielkopolskie wie o tem dobrze, że w katastrofalnych zawikłaniach dziejowych na pierwszem miejscu staje nie hasło honoru śmierci, lecz hasło honoru życia, że w zawikłaniach tych rozstrzyga nic innego jak tylko interes tego życia.

I jeżeli ktoś kiedyś w sposób lekkomyślny miałby niewczesną odwagę stanowisko takie nazwać „tępotą polityczną", temu z całą, z sumienia narodowego płynącą odpowiedzieć można śmiałością, że przy pozorach wiary w przyszłość narodu pozbył się całkowicie wiary w żywotną siłę narodu, że ślepy jest głuchy i tępy na wszystko, co dla innych aż nazbyt widocznem

jest zjawiskiem, zjawiskiem, którego świadkiem był ten z jednej strony tak smutny, a z drugiej tak radosny, bo zadatki nowego życia, mający okres narodzin Konstytucji.

Historja jest mistrzynią życia — znany nam wszystkim frazes, przestaje on jednak być frazesem, jeżeli, po ustaleniu się pewnych wypadków, po uspokojeniu się zamętu bezpośredniości dziejowej, nad wypadkami temi zastanowimy się z perspektywy objektywnego, wrzekomemi danej chwili nie zaćmionego widzenia.

Uczy nas dziejopis, że w epoce, kiedy naród polski, po haniebnych rządach Sasów doszedł do szczytu rozpustnego lekceważenia najwyższych dóbr swoich kiedy, mówiąc słowami Czartoryskiego „rozumiał i chełpił się, że jest wolny, a jęczał pod jarzmem niewoli, kiedy leciał w przepaść, kiedy Królestwo Polskie było jako dom przechodni, jak gmach, wiatrami skołatany, jak machina, do gruntu zbutwiała i zawaliną grożąca" — otóż uczy nas dziejopis, że w chwili tej społeczeństwo nasze, przeczuwając katastrofę, zaczęło szukać pomocy u sąsiadów. I zdawałoby się, iż szukanie to było uprawnione, bo oparte na deklaracji Rosji i Prus, zapewniających uroczyście, że „nie myślą wcale o oderwaniu jakiejkolwiek ziemi od Rzeczypospolitej, a do elekcji (z której wyszedł Stanisław August) mieszają sie jedynie po to, by uszczęśliwić naród polski wyborem rodaka, znającego prawa i obyczaje i również zamiłowanego w swobodach ojczystych."

Uczy nas dziejopis dalej, że . . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Przypomina dziejopis dalej, że złudnym nadziejom patrjotów polskich, kołatających o łaskawość, dopominających się

dobroci ze strony sąsiadów, powinien był położyć kres ów pod wezwaniem Trójcy świętej ratyfikowany akt historycznej niesprawiedliwości, jaką w dniu 5 sierpnia 1772 r. spełniono na Polsce.

Nastąpił drugi i trzeci rozbiór; Polska wymazaną została urzędowo i obrzędowo z mapy Europy, ale do tej pory . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

w nas żyje całą pełnią odradzającego się coraz to bardziej życia i są niekłamne dzisiaj oznaki, iż żyć będzie dalej na wieki.

Świat niech pamięta, że jesteśmy Polakami i niczem więcej, jak tylko Polakami i że chcemy pozostać nimi na zawsze. Wierzymy, że tak się stanie, bo tak stać się musi. Wierzymy też wiarą najgłębszą i najszczytniejszą, że prędzej czy później zdobędziemy sobie warunki rozwoju, związane z politycznem zmartwychwstaniem. A gdy nastąpi ta chwila, radosny już, żadną troską, żadną trwogą nie zamącony hołd złożymy ojcom naszym za to, że śród największego rozgromu umieli zbudzić w duszy swej nieprzepartą żądzę trwałości narodowego życia, żądzę, która z nich przeszła na pokolenia i na pokolenia przechodzić będzie. I za to im chwała największa.

W 126 ROCZNICĘ KONSTYTUCJI 3 MAJA

Dla nas wszystkich, ale nie tylko dla nas, lecz dla ojców i praojców naszych nie było chwili, w którejby rocznicę Konstytucji obchodzić było można z tak wyjątkowem uczuciem bezwzględnej niemal radości, jak dzisiaj.

Prawda, i za lat dotychczasowych nastręczało nam rozpamiętywanie tego wielkiego wydarzenia dziejowego dużo powodów do wesela:

Mając przed oczami ów przełom, w którym Rzeczpospolita zmieniała płaszcz królewski na przepasany konopnym sznurem zgrzebny wór niewolnika, złociste berło monarsze na kij żebraczy, niezależną dumę pańskiego bytu na uległość i pokorę nie wiedzącego, czem się nie narazić, a czem się przypodchlebić poddańczucha, doznawaliśmy przecież jak gdyby ulgi na myśl, że nie wszyscy, dźwigający na barkach odpowiedzialność za przyszłość pokoleń, haniebne przemiany te z lekkiem przyjmowali sercem, że nie wszyscy naturę ludzką nikczemnemi piętnowali postępkami, że nie wszystkim zbrakło odwagi do zadania kłamu tym tak, na pierwszy rzut oka, powszechnym wówczas, a tak smutnym objawom, jakoby natura ta nie posiadała w sobie nic więcej, prócz pierwiastków służalczych, pierwiastków spodlonych, czelnych jurgieltników, a w najlepszym razie słabych, jeżeli nie tchórzliwych rezygnantów.

Mimo dziesiątek lat, postępujących za sobą bez słońca, w głuchych, nieprzebytych snać ciemnościach, których pustkę i ciszę przerywały od czasu do czasu głośne łomoty do bram więziennych, krwawiące próby wyłamania krat żelaznych, rozpaczliwe apele do sprawiedliwości powszechnej — mimo tych

strasznych lat dziesiątek, które dla narodów nawet najsilniejszych mogłyby się były stać pieczęcią, uprawomacniającą zapadłe śmiertelne wyroki, myśmy z uroczystych obchodów Konstytucji wracali do domów pokrzepieni, pełni nadziei i wiary.

Rozumowaliśmy bowiem słusznie — razem ze Staszicem, że „paść może naród wielki, zginąć tylko nikczemny", że przy całem rozprzężeniu moralnem, towarzyszącem przedostatnim i ostatnim godzinom wolnej Rzeczypospolitej, wielkość, szlachetność w duszy polskiej nietylko nie zamarła z kretesem, ale w wspaniałym wyłoniła się blasku.

Wyłoniła się w najbardziej zasadniczym, a równocześnie najbardziej twórczym nakazie moralności społecznej, w żądzy życia, w żądzy trwania, w żądzy, która z natury rzeczy musiała rodzić potrzebę tworzenia dróg i środków, coby trwaniu temu nienaruszalną zbudowały podstawę.

W epoce, kiedy się rodził akt Konstytucji, nowy już duch, płodziciel utrwalających się coraz to bardziej, z wymaganiami ogólnoludzkiej, na miłości i sprawiedliwości opartej etyki zgodniejszych porządków nowożytnych, zaczął przenikać Europę.

Zaczął przenikać ją z siłą, która w momencie żywiołowego rozpędu, syconego świeżą jeszcze pamięcią krzywd, zadawanych nietylko ciału, fizycznym wymaganiom człowieka, ale przedewszystkiem jego duszy, jej godności, jej przyrodzonemu prawu do swobody, do zbliżania się coraz to bardziej ku świadomemu czy nieświadomemu ideałowi swemu, ku bóstwu, wiodła krzywdzicieli na szafot, kalała sobie ręce krwią nietylko tych, co zbrodnię przeciwko temu prawu spełniali rozmyślnie, ale i tych, którzy jak zarazą, owiani tchnieniem wszechmocnego zła, stawali się zarazy tej ofiarą, niweczącą życie swych bliźnich.

Przecisnął się duch ten i do nas, choć nad łanami sromotnie rozszarpywanej Polski nie rozwinął sztandarów, przesiąkłych krwią: szubienice stawiano tylko zaprzedańcom, politycznym zdrajcom narodu. Tragedja, zawisła nad samoistnem życiem Rzeczypospolitej, jako całości, w takiej stanowczej wystąpiła potędze, że lud warszawski nie czynił rozstrzygających obrachunków z przedstawicielami krzywdy społecznej, stanowej, jeno wziął się do wypędzania wrogów zewnętrznych. Czy dobrze uczynił, czy źle, o tem nam dzisiaj nie myśleć; czy przewrót, dokonany środkami według wzoru Rewolucji francuskiej, mógł był stać się zbawieniem, to usuwa się dzisiaj z pod naszych sądów. Jednego tylko uczy nas doświadczenie, zaczerpnięte z chwili obecnej, że najbardziej zasadnicze przewroty mogą odbyć się niemal zupełnie bez krwi rozlewu, jeżeli kierującym ich motorem stanie się ogólny interes narodu, a dalej, że poczucie tego ogólnego interesu narodowego drzemie tam, gdzieby go się najmniej spodziewano, w masach wrzekomo najciemniejszych, w masach, których samo istnienie zdawało się być zaprzeczeniem tego poczucia.

To, co się przed nami spełnia na świecie, jest niesamowitym niemal, a przestrzegawczym dowodem, że pewne objawy życia nie zawsze bywają wynikiem sił, przystępnych dla kalkulacji ludzkiego rozumu, ale że źródłem ich są jakieś potęgi, rzekłbym, metafizyczne, których działalność skacze do oczu obliczającego człowieka dopiero w swych tak nieoczekiwanych, a przecież tak widocznych już skutkach.

To są tajemnicze rządy Opatrzności.

Tylko dogmatowiec i teoretyk, usiłujący życie zamykać w gotowe, z książek zapożyczone formułki, a nie mający oka dla utajonych drgań na dnie zbiorowego duszy ludzkiej, która niejednokrotnie w sposób prawie całkiem niezrozumiały niepewne drgania te zamienia w szum i huk szeroko rozlewa-

jącej się fali, może jakieś według jego mniemań niezwalczone ferować wyroki.

Dogmatowiec też i teoretyk jedynie — a takich jest niebrak jeszcze pomiędzy nami — może z lekceważeniem przechodzić nad ustawami Konstytucji majowej, ponieważ ustawy te, w stosunku do wymagań dzisiejszych, żadnej praktycznej nie posiadają wartości, ponieważ stosowanie ich dzisiaj byłoby nie zbawczym postępem, lecz zabójczą, korzenie bytu narodowego podgryzającą reakcją.

To też my wszyscy, zbierający się już od pokoleń w zaciszu domowem, w sali publicznej czy kościele, aby w skupieniu rozpamiętywać ów akt, tak słusznie przez nas wiekopomnym zwany, znajdywaliśmy w jego istnieniu źródło tłumionej łzkami radości i otuchy bynajmniej nie dlatego, iżbyśmy w artykułach Konstytucji posiadali wyszczególnione wskazówki, jak mamy postępować sobie w urządzeniu dzisiejszych warunków publicznego żywota.

Zdajemy sobie dokładnie sprawę, że nie malejąca nigdy doniosłość tego aktu polega na czemś zupełnie innem — przedewszystkiem na tem, że sama możliwość pojawienia się jego w takiej snać beznadziejnej chwili, jak ówczesna, jest niewątpliwym dowodem, że naród nasz miał w sobie pierwiastki żywotne i że z najzupełniejszą świadomością, ocknąwszy się, dążył przez swoich najlepszych przedstawicieli do takiego rozwinięcia tych pierwiastków, ażeby dzięki nim dalsze zabezpieczyć sobie trwanie.

Że trwania tego zabezpieczyć już nie mógł, to znowu nie jest bynajmniej świadectwem, tak chętnie głoszonem przez naszych wrogów, jakoby do cna przeżarty był zgnilizną, albo jakoby przestał już być gruntem, podatnym pod zasiew owocny. I najzdrowsze ziarno, rzucone w zagon, choćby najlepiej uprawny, nie zakiełkuje, jeżeli bezpośrednio po zasiewie bę-

dzie zagon ten niemiłosiernie, a rozmyślnie stratowan przez jakieś potęgi zawistne, nie mogące znieść, ażeby ktoś, którego zniszczyć się pragnie, miał żniwem bogatem wzmóc się na siłach i niszczycielskim oprzeć się zabiegom.

A jeżeli siewca, udawszy się w pole, ujrzał jednego dnia radosny skutek swej pracy, zieleniejącą się oziminę, a w dniu następnym zastał już tylko zaledwie nikłe jej ślady, to nie zawsze będzie to dowodem, że ziarno nie było dostosowane do pory i gruntu, albo że marcowych nie wytrzymało przymrozków, jeno będzie faktem swego zniszczenia krzyczało mu w oczy iż nocą zakradł się zły sąsiad i łan mu wypasł albo nieprzyjazną wyciął kosą.

Zwalać za niepowodzenia swoje winę na innych może być częstokroć niesumiennością i niesprawiedliwością albo dziecinną chęcią dokuczenia tym innym, zwalanie winy na siebie samych, wbrew najoczywistszym dowodom, że tak nie jest, bywa wynikiem upadlającej pokory i pospolitego tchórzostwa.

Zwłaszcza my, do starszego już należący pokolenia, chowaliśmy się w atmosferze pseudo-postępowych, na wrzekomo sprawiedliwem ocenianiu rzeczy opartych haseł, albo głośno wrzeszczących, albo chytrze i ośliźle podszeptujących, iż wszystko zło, które z biegiem dziejów na nasze spadło barki i już nie pozwoliło im się wyprężyć, miało źródło w nas samych. I oto my, wyszedłszy poza duszne, zatęchłe ściany tej szkoły i po szerokim, słonecznym, przewiewnym popatrzywszy świecie, nabraliśmy, z oddechem tego świata, przekonań wręcz przeciwnych. Trzeba mieć odwagę krzyczeć głośno i wobec wszystkich, że tak nie jest, że przyczyny upadku były nie tylko na wewnątrz, ale i na zewnątrz i to w wysokiej mierze.

Ale nie tylko to.

Trzeba mieć odwagę krzyczeć głośno i wobec wszystkich, iż sama już możność, że istniały przyczyny zgruchotania

zewnętrzne, jest dowodem wkroczenia aktów niesprawiedliwych, które każdy uczciwy człowiek potępić musi i które potępia dzisiaj to najkrwawsze, najgroźniejsze, najtragiczniejsze od początku dziejów zjawisko, ta wojna obecna, mówiąca, iż tamę zniszczeniu położy pokój, który wymierzyć ma sprawiedliwość wszystkim niesprawiedliwie skrzywdzonym.

A jeżeli ktoś sam zawinił, to jakaż stała mu się krzywda? A jeśli nie stała mu się krzywda, to jakież ma prawo cisnąć się do szeregu tych, którym nierychliwą, ale sprawiedliwą ręką Opatrzności kierowane, przez wszystkie strony wojujące wobec całego świata z takim naciskiem manifestowane cele straszliwych przebojów dzisiejszych mają stać się sprawiedliwem zadośćuczynieniem?

Trzeba mieć odwagę krzyczeć głośno i wobec wszystkich, że to samo prawo, do którego odwołują się dzisiaj najlepsze żywioły zmagających się narodów, iż wyłącznie one same powołane są do urządzenia się u siebie do przeprowadzenia takiej czy owakiej reorganizacji swych stosunków wewnętrznych i że wszelką obcą odrzucają interwencję, choćby interwencja ta wychodziła od kół najżyczliwszych, temi samemi szlachetnemi, w wprowadzeniu powszechnej sprawiedliwości kulminującemi przejętych zasadami — że to samo prawo mieliśmy i my w dobie Konstytucji.

A jeżeli tego prawa odmówiono nam wówczas, to tem bardziej było to niegodnem, ponieważ próby wewnętrznej reorganizacji naszej oparły się w zawiązku na tych zasadach, które mniej lub więcej powoli kiełkując w reszcie już nietylko Europy, ale w całym niemal świecie, dochodzą dzisiaj do tak potężnego, wspaniałego rozkwitu.

Gruntu, na którym ongi zasady te posiano w wyczekiwaniu, że jeśli nie dziś, to jutro zielenią swą najodleglejsze, najbardziej zaniedbane— pokryją ugory, nie zdeptał, nie stratował ten

potwornie ciężki, snać wytchnienia i kresu nie znający, opancerzony pochód wojny. Przeciwnie, krew, która tak straszliwie obficie lała się i leje, zamiast stłumić ten zasiew, ten znak błogosławieństwa bożego, dodaje mu sił, użyźnia jeszcze bardziej ten grunt, w który go ongi wrzucono.

Jesteśmy świadkami niesłychanego zjawiska, wprost przerażającego swą tajemniczością: oto wojna poczęta dla celów, tak haniebnie rozbieżnych z pojęciem powszechnego braterstwa i miłości ludów, pojęciem, tak wyszydzonem przez rozmaitych statystów i polityków, przez ludzi przeważnie godnych pogardy, ale za którymi, zdawało się, że stają tłumy, olśnione błyskotliwością tak zwanego realnego patrzenia na świat, załamał się w swoich celach.

Oto wrzekomy realizm, to znaczy patrzenie na życie narodów jedynie pod kątem handlu bawełną czy konopiami, pod kątem hodowli bydła czy zdolności dostarczania takiej lub owakiej masy surowców, traci swą wartość obiegową, albo raczej staje się wekslem, który kiedyś na imię Prawdy sfałszował jakiś oszukańczy wróg ludzkości i z cynicznym bezwstydem umiał ludzkość tę złowić, iżby go żyrowała — na własną swą szkodę.

I nadszedł dzień spłaty i ludzkość, jak gdyby cudem jakimś nagle przejrzawszy, zobaczyła, że ją okłamano. I niszczy weksel i fałszerza pociąga do odpowiedzialności przez swój własny majestat.

A za tym majestatem Ludzkości stoi Majestat Boga.

Bo kto ma uszy ku słyszeniu, a oczy ku widzeniu, ten czuje, jak w zmysły jego z piorunującą uderza potęgą fakt, o którym do niedawna jeszcze zdawało się niemal wszystkim, iż możliwość jego leży całkiem poza zmysłami, iż istnienie jego nie godzi się absolutnie z prawdą, której nas fałszywi uczyli nauczyciele, tak zwaną prawdą ludzką, to znaczy ograni-

czoną do przystępnych lada komu najbliższych zjawisk zewnętrznych.

Jeżeli jakiś śmiałek odważył się nadmienić w sposób choćby najskromniejszy, że jest w dziejach coś, co nie da się pokryć jedynie kwestją bawełny i surowca, ale że to coś pokrywa się przedewszystkiem jakimś nieugiętym czynnikiem moralnym, który mimo swej pozornej abstrakcyjności, przybiera w pewnych chwilach kształty zjawiska rzeczywistego, to bywał wyszydzany przez statystów i dyplomatów lub przez tych, co wobec swych sąsiadów za takich dyplomatycznym rozumem odbarzonych mędrków uchodzić pragną.

A przecież co powiedzieć na to, iż właśnie dzisiaj jesteśmy wszyscy naocznymi świadkami, że i ta bawełna i ten surowiec stają się czynnikiem moralnym, stają się środkiem, którym nierychliwa znowu, ale sprawiedliwa, mnogością niezbadanych dróg chodząca Opatrzność zaczyna posługiwać się nie dla utrwalenia pierwotnych zamiarów tej okrutnej, a tak błogosławionej wojny, jeno do ich wywrócenia, do zbudowania na ich miejscu porządków moralnych.

Jesteśmy świadkami, jak stworzone przez statystów i dyplomatów nienaruszalne, zdawałoby się, hasło „Interes" zmieniło całkowicie swój charakter, jak wbrew swemu dotychczasowemu, materjalnemu znaczeniu stało się czemś, co do niedawna jeszcze nazywanoby abstrakcją, a co dziś w realne już, najtępszym krótkowidzom dostępne przekształca się zjawisko.

Jeżeli wczoraj jeszcze głoszono i głos ten pieczętowano krwią, że istota „interesu" mego leży w tem ażebym zdobył dla siebie tereny, gdzie jest najwięcej potrzebnej mi bawełny i potrzebnych surowców, ażebym, chcąc się swobodnie rozeprzeć, odebrał swobodę innym, to dzisiaj kierownicza poczyna zwyciężać zasada, w moralnem zamknięta haśle: „Sam chcę żyć, więc muszę dać żyć i drugim, chcę sam się rozwijać, więc muszę

bez zastrzeżeń zgodzić się na to, iż to samo prawo rozwoju mają i drudzy, muszę zgodzić się na to pod świadomą mi już grozą, że w razie oporu, w razie chęci dalszego zakłócania tych jedynie moralnych porządków dosięgnie mnie karząca, nierychliwa, ale sprawiedliwa Opatrzność dziejowa".

Jeszcze jedno: najrozmaitsze krótkowzroczne epitjerstwo, częstokroć, niestety, i towarzyszące tak zwanej wiedzy fachowej, jeżeli nie oburzało się, to podśmiechiwało się dwuznacznie, chcąc w ten sposób zaznaczyć wrzekomą przewagę swego rozumu, stanąwszy wobec faktu, że wielka twórczość naszych wieszczów ośmieliła się wnikać w tajne głębie duszy świata i z tego, bożą intuicją kierowanego nurkowania twórczy wyniosła pewnik o wspaniałem, zbawczem dla wszystkich posłannictwie Polski.

Tylko człowiek z piętnem służalca na czole, tylko człowiek pozbawiony dumy narodowej, tylko człowiek przeżarty wpajaną mu od półtora wieku demoralizującą maksymą, że losy jego utraconej ojczyzny sprzęgły się już na zawsze z losami rydwanu, w który je kiedyś wprzągnięto, tylko taki człowiek, tchórz albo lizuń, z cichem czy głośnem uznaniem rozważający dobrodziejstwa, jakiemi starano się niby osłodzić przykrość tego wprzągnięcia, tylko taki człowiek, a obok niego człowiek, całkowicie z wszelkiej wyzuty wiary, może wobec tego, co dzieje się obecnie, podśmiechiwać się dalej.

Dziwne to, ale prawdziwe: Polska stała się dzisiaj ośrodkiem — interesów. I ci, co ją gnębili, i ci, co byli dla niej obojętni, albo, jak Piłat, umywali ręce przy jej krzyżowaniu, znagleni są zwracać ku niej swe oczy i krzyczeć: „Jesteś nam potrzebna, żyć musisz, a iżbyś żyć mogła na nasz pożytek, musisz być swobodna, jak my!"

I w tym napozór tak egoistycznym okrzyku mieści się zwycięski altruizm.

Była im Polska potrzebna dotychczas, jak niewolnik potrzebny jest plantatorowi — ale ta potrzeba ostać się nie mogła, bo świat nagle przewidział i przekonał się, że niewolnictwo jest nietylko pohańbieniem jego godności, ale i jego nieszczęściem, klęską, źródłem najokrutniejszego rozlewu krwi, jaki kiedykolwiek widziany był w świecie, źródłem niedoli powszechnej, tak powszechnej, że aż uwierzyć trudno.

Polska, wyswobodzona, zjednoczona Polska staje się rękojmią, iż ten rozlew krwi i ta niedola już się nie powtórzą — widzi to świat i Polskę stawia na piedestał jako widomy symbol swych nowych, z plantatorstwem nic wspólnego niemających dążeń. I to było jej posłannictwem.

I oto dlaczego powiedziałem na wstępie, iż od pokoleń nie mieliśmy chwili, w której pamięć Konstytucji majowej, zawierającej w sobie zawiązki zwycięskich ideałów dzisiejszych, można było z taką obchodzić radością, jak dzisiaj.

Cóż, że radość tę zakłóca nam widok spustoszonego kraju? Cóż, że spalono nam wsie, rozwalono zamki i kościoły? Cóż, że matki stare pozostały bez synów, że dzieci sieroce darmo czekają na ojców? Cóż, że troskę naszą o całość miesza troska o szczegół, o zdobycie łyżki mleka, czy kęsa chleba?

Szybkim krokiem poprzez gruzy i zgliszcza do biesiadnego zmierzały stołu, przy którym siędziemy wszyscy, bez wyjątku. Bo czyż ta radość, którą nam gotuje dzisiaj Opatrzność dziejowa, nie zmieszałaby się ze łzami i wyrzutem, gdybyśmy byli zmuszeni patrzeć na to, że któryś z braci naszych stoi poza progiem i z bolem i smutkiem rozważa, dlaczego na hańbę ludzkości został wykluczon z tej przez tyle męczeńskich lat dziesiątki oczekiwanej, z takim uporem i wysiłkiem wywalczonej uczty?

Czy wymiar sprawiedliwości byłby naówczas pełny?

Czyż świat, zamykający gigantyczne zapasy swe, nie odcho-

dziłby na odpoczynek z rumieńcem wstydu, że nic zupełnie załatwił się z teorją — pognoju, z teorją, w imię której rozpoczęte boje dziś całkiem inny przybrały obrót? A na cóż innego przy takiem niedomówieniu rzeczy pozostawion byłby nasz brat, jeśli nie na pognój?

Lecz to się nie stanie i stać się nie może, bo chwilowe zwycięstwo fałszu byłoby zarzewiem do podjęcia nowej walki o zwycięstwo Prawdy, a świat tę walkę podjąćby musiał, gdyż pcha go do niej elementarna konieczność, mająca wiekuiste źródło swe w tem, że w duszy tego świata więcej jest pierwiastków dobra, niż zła, a jest ich więcej dlatego, ponieważ dusza ta, i według dogmatu stworzona na podobieństwo boże, jest wypływem duszy bożej. Oddala się ona od swego źródła, ale z mistyczną potęgą i tęsknicą wraca do niej właśnie w chwili, kiedy się od ożywczego źródła tego najbardziej oddaliła.

Dlatego też, już nie powiem, nieuczciwością, ale głupotą, niezrozumieniem biegu rzeczy jest zjawisko, jeżeli przyzwyczajeni do małych, mizernych targów w dawnym świecie rozmaici pseudostatyści i ich sługusy metody swoje wnoszą w progi nowego świata i z lekkiem sumieniem a z pozorami wytrawności życiowej — rezygnują. Zda im się ciągle, że świat jest niczem więcej, jak tylko giełdą, na której plugawi lichwiarze grywają na zwyżkę i zniżkę — krwi ludzkiej

I przyglądając się temu jarmarkowi, pozorowanemu troską o dobro ogólne, miewam zawsze wrażenie, że marną rolę lichwiarzów, spekulujących na zwyżce i zniżce krwi ludzkiej, grają przedewszystkiem ci, którzy w gruncie rzeczy nie mogą doszukać w sobie wiary w siłę i prawem bożem utrwaloną niezniszczalność narodu, albo ci, którzy są przekonani o ogromie winy narodu, iż niezdolni są przypuścić, aby dotychczasowe nadludzkie zaiste! męczeństwa wystarczyły do zmazania tej winy, albo ci, co przyzwyczajeni do lokajskiego czap-

kowania, nie umieją z natury swej żądać prawa, lecz żebrzą — o łaskę. A każda łaska ma to w swojej istocie, że z góry domaga się — wyrzeczeń i z tem ci się liczą.

Lecz my się z tem nie liczymy, my wiemy, że przeprowadzane przez tę wojnę przeobrażenie świata nie byłoby całkowitem; nie byłoby zamknięciem upadlającej, a nie mającej już wrócić epoki, gdybyśmy i my nie wyszli z tego zamętu narodem wolnym, niepodległym i jednym.

W SETNĄ ROCZNICĘ SKONU KOŚCIUSZKI

Dostojne Zgromadzenie!

Nie znajduję wyrazów dostatecznie godnych i podniosłych, ażeby mogły w tej uroczystej chwili dzisiejszej złożyć się na uprzytomnienie oczom naszym postaci tak nad wszelki wyraz godnej i tak podniosłej, jaką był, jest i będzie na wieki Tadeusz Kościuszko.

Nie o samo też uprzytomnienie idzie, albowiem niema dzisiaj w Polsce jako tako uświadomionego człowieka, który nie byłby świadom tych, nie wyolbrzymiałych z szeregiem pokoleń, w oświetleniu czasów, idących po sobie, ale od samego początku olbrzymich kształtów ducha, zamkniętych w wątłe i niepozorne kształty cielesne.

Jest to rękami przewidującego, a dobroczynnego losu nakreśloną cechą natur, którym ludzkość, cicho czy głośno, bez zawiści czy z zawiścią nadaje przydomek potężnych, iż potęga ich zaczyna ukazywać swe ślady w samem niemal zaraniu ich życia, że ujawnia je w skłonnościach i upodobaniach utrwalanych z wzrostem lat w niewzruszony ideał czynu, że ślady te wysuwa na czoło w umiłowaniu wzoru, przykładem cnót i poświęceń porywającego serce młodzieńcze.

Któż z nas nie słyszał o korynckim Timoleonie? Któż, czytając u Plutarcha czy Korneliusza Neposa dzieje tego wroga tyranów, a wyznawcy swobody, nie współczułby doli nieszczęśliwej matki, przeklinającej rodzonego syna, że mord na rodzonym popełnił bracie, albo przynajmniej do mordu tego dopuścił?

Któż, powierzchownie sądząc, nie dziwiłby się kilkunasto-

letniemu uczniowi jezuickiej szkoły brzeskiej, że w wyobraźni jego wrył się na długo bezwzględny ten bratobójca, że o greckim wodzu tym z uwielbieniem w dojrzałych wspominał latach?

Ale mord, którego nikt nie pochwali, był dla Kościuszki niczem innem, jak tylko symbolem nieliczenia się z żadnemi względami choćby najdroższej i najbliższej krwi, jeżeli krew ta rozpaliła się na szkodę niemniej drogiego i niemniej bliskiego społeczeństwa.

Społeczeństwo to, jak każde szanujące się społeczeństwo, upatrywało warunki szczęśliwego życia nie w zależności od samolubnych despotów, dbałych przedewszystkiem o blask swój własny i blask swego domu, szafujących hojnie posoką ludzką dla zachowania i pomnożenia tego blasku, opierających się niejednokrotnie o cudze, uciskanemu przez nich, narodowi wrogie podpory w postaci takich samych, jak oni tyranów, jeno szczęście to widziało w prawie samodzielnego rozrządzania sobą, w prawie jedynie obowiązkiem powszechnym, społecznym ograniczanej swobody.

Na prawo to ośmielił się targnąć Timoleona brat, Timofanes, i za ten, w oczach miłującego wolność obywatela, haniebny postępek spotkała go kara, według dzisiejszej etyki naszej surowa i nieludzka, która, zdawało się, złamie na zawsze samego jej wykonawcę.

Poniechał urzędy publiczne, usunął się w zacisze domowe, ale chęć służby w sprawie wolności tak nieprzeparcie owładnęła mu duszą, iż na czele zbrojnych popłynął do Syrakuz, oswobodził miasto od przywłaszczycieli, którymi byli ongi Dionizjusz i Leontyńczyk Hiketas, rzeczpospolitą na nowo wspaniale urządził i czyhających na nią wrogów ościennych, żądnych bogatego łupu Kartagińczyków, w chwalebnej pokonał walce i do pokoju przynaglił.

Czyż w umyśle młodocianego Kościuszki zrodziło się już wówczas pragnienie, ażeby tak samo obywatelską ukochać swobodę, ażeby dla obrony jej takim samym stać się kiedyś żołnierzem i wodzem, ażeby zagrożonej już wówczas, do straszliwego upadku chylącej się Rzeczypospolitej polskiej poświęcić wszystkie swe siły, odeprzeć jej najeźdźców, przyczynić się do przebudowy jej ustroju, nietylko odzyskać dawną jej świetność, ale postawić ją w rzędzie państw i społeczeństw, odczuwających konieczność nowych porąk trwałości narodowego bytu, przeczuwających potrzebę takich urządzeń, któreby wszystkim bez wyjątku umożliwiły uważanie się za jednakich, a wolnych synów Ojczyzny?

Chyba niewątpliwie. Bo nie wraca się do wspomnień i wrażeń młodzieńczych, jeśli wspomnienia i wrażenia te nie zapadły się głęboko w wnętrze, jeśli na mniej lub więcej gładkiej jeszcze płycie duszy nie porysowały się znakami tak wyraźnemi, że mimo licznych znaków późniejszych, kreślonych rylcem silniejszego już życia, wyrazistość ich nie została zamazana, jeśli głośne hasło „obrzydzenia do wszelkiej tyranji“ stało się na zawsze tym kitem, który zespolił Kościuszkę z innymi, tak samo myślącymi, jak on, jeśli było dla niego warunkiem istotnej, nierozerwalnej z innymi przyjaźni.

Atoli w żywocie helleńskiego bohatera znalazł przyszły bohater polski jeszcze jeden szczegół znamienny, który, odpowiadając widocznie jego naturze, naturę tę poprowadził w kierunku, nieprzystępnym dla ludzi poziomych, choć ambitnych, dla ludzi rwących się do służby publicznej nie z obowiązku, dyktowanego wielką miłością względem Rzeczypospolitej, lecz traktujących służbę tę jako jedno z najwydatniejszych źródeł dla własnego wyniesienia się, dla brylowania wobec innych, dla zaspokojenia swej mizernej żądzy, iżby widomym być panem współobywateli, pokazywać im parwenjuszowską swą

przewagę, oślepiać ich tym czy owym błyskotliwym tytułem, lub też — bo i na takich nie zbywało i nie zbywa na świecie — ażeby łatwiejszy mieć przystęp do publicznego grosza i groszem tym swoją prywatną wypchać kieszeń.

Powodując się wdzięcznością, tym przyrodzonym popędem ludzi czy narodów, wyswobodzonych a szlachetnych, pragnęli Syrakuzanie uczcić oswobodziciela. Przecież nietylko wdzięczność była tu bodźcem dla nich; wiedzieli, że mąż, który jedynie z żywiołowego uczucia wstrętu do despotyzmu puścił się przez morze do ich dziedziny i wraz z wiernymi towarzyszami dobył miecza, aby pociąć jarzmo niewoli, dostojeństw tych nie dla własnej użyje korzyści, tylko dla dobra ogółu. Wiedzieli, że ten, który z całkowitem pominięciem celów osobistych poświęcił hart swój i męstwo wyzwalaniu innych, odbudowie gmachu swobód republikańskich, najlepszych może być swobód tych zachowawcą, kierownikiem i szafarzem.

Boć istotna sztuka kierowania sprawami powszechnemi, nazywana dziś przez nas dyplomacją, będzie tylko wówczas czynnikiem zbawczym, tylko wówczas nie stanie w sprzeczności z celami człowieczeństwa, jeśli na tej jedynej zasadniczej oprze się podstawie, że oswobodzenie ciemiężonych i utrzymanie tej swobody na zawsze jest warunkiem bytu, godnego dzieci, powołanych do życia wolą Stwórcy, stworzonych, jak wspaniałe, odwieczne, nietylko z powstaniem Adama związane, ale i w prometejskich mitach zawarte głoszą religje, na obraz i podobieństwo Boga.

Istotnym, nietylko dzisiejszemu, nowożytnemu duchowi czasu odpowiadającym dyplomatą był zawsze i będzie bezinteresowny oswobodziciel. Tylko jego z ukochania sprawy powszechnej wyrosły czyn staje się dla wszystkich, sprawę powszechną równie miłujących, choć nie takim obdarzonych geniuszem, rękojmią, że dzieło raz dokonane i w takiej właśnie

myśli poczęte, myśli, uznającej wiekuistą prawdę, iż swoboda i niezawisłość i skupienie w całość, ręką despotów rozmyślnie rozdzieraną, zmieni się na zawsze w ostoję szczęścia dla wszystkich, w najwalniejszą obronę tkwiących w duszy człeczej pierwiastków bożych, dzięki którym, prędzej czy później, odczuwa ludzkość gnębiona hańbę swego położenia, a bez których byłaby zbiorowiskiem podłych służalców, Stwórcy swego niegodnem, przez sprytnych, dyplomatycznych, bezsumiennych oszustów i złodziei wyzyskiwanem chamstwem.

Wódz grecki ofiarowanych dostojeństw nie przyjął — pragnął życie zakończyć skromnie i cicho, bo wiedział, że największem dostojeństwem i największym honorem człowieka jest świadomość, że święty, społeczny spełnił obowiązek, że będąc synem ludzkości, pragnącej być wolną, synostwa tego nie splamił lenistwem, obojętnem na jej krzywdy i prawa, i że niema na świecie zaszczytu, któryby mógł w jakikolwiek bądź sposób zastąpić zaszczyt, dekorujący pierś ludzką tą siłą moralną, która największemu chociażby mężowi pozwala zrównywać się bez zastrzeżeń z towarzysko najniższym, ale prawym, cnotliwym, szlachetnym współbratem.

Takie pojęcie obywatelskiego stanowiska i takie pojęcie honoru, polegającego nietylko na tem, ażeby nie wchodzić w zatarg z kodeksem obyczajowym, ale ażeby żadnym czynem nieetycznym nie uczynić ujmy wskazaniom etyki ogólnej domagającej się przedewszystkiem zrozumienia, że jest się obywatelem i że jako taki ma się obowiązek pracować dla dobra zrzeszenia, do którego się należy, wyniósł Kościuszko nietylko z przykładu wielkich Helleńczyków i Rzymian: znalazł je w równych Helleńczykom i Rzymianom postaciach polskich, u Janów Tarnowskich i Zamojskich, u Chodkiewiczów i Czarnieckich, znalazł je wreszcie w prawidłach i wskazówkach, poczynających regulować program nauki w szkole ojczystej.

Podnoszono niejednokrotnie w opisie dziejów ostatnich lat Rzeczypospolitej, że przy całym upadku, przy całem zaprzaństwie, przy całym bezwstydzie, jakiego dopuszczali się samolubni przedstawiciele warstw tak zwanych najgórniejszych, jurgieltnicy i sprzedawczycy sumienia, nie brakło przecież w tej, zdawało się, beznadziejnie zdemoralizowanej epoce błysków jaśniejszych, poczynań prawdziwie obywatelskich porywów wprost bohaterskich, będących dla nas dowodem, że my, urodzeni w niewoli, nie mamy absolutnie potrzeby godzenia się z losem okrutnym, że nietylko ze względów ogólnej sprawiedliwości, ale także z odwołaniem się do owych świadectw dziejowych mamy prawo domagać się, aby nas nie traktowano jako zasłużenie zdeptanych i ujarzmionych, ale ażeby zwrócono nam skarb, ohydną wydarty przemocą, ażeby w prawach zrównano nas z innymi, swobodnie oddychającemi, swobodnie ruszającemi się narodami.

Jednym z takich właśnie dowodów, jednem z takich świadectw żywotności społeczeństwa, brutalną, zawistną siłą zaskoczonego w próbach odrodzenia, była między innemi głośna Szkoła Rycerska, w której przyszły Naczelnik i najprzedniejszy, zaiste, obywatel pragnącego podźwignąć się kraju, utrwalał w dalszym ciągu drogie już sobie, jak najszersze bo od dobra ziomków nieodłączne pojęcie honoru, związane z potrzebą zachowania osobistej skromności, dalekiej przecież od fałszywej pokory, graniczącej z służalstwem, bojaźnią i tchórzostwem.

Kazano wychowankom tej szkoły za rodzonych uważać się braci, kazano przyjmowanym do niej uściskać się z kolegami, dawano broń im do ręki z uwagą, że broni tej używać będą li na obronę Ojczyzny i własnej swej czci, odbierano od nich przyrzeczenie, iż żadnym złym postępkiem nikomu z towarzyszy wstydu nie przyniosą, mówiono im w myśl przepisów wspa-

niałego księcia Adama, że „kogo los urodzenia i fortuny wytknął do czynnych obywatelstwa obowiązków, ten starać się powinien o wydoskonalenie się w wiadomościach, które światła dodadzą mu w czasie, kiedy przyjdzie albo błędne poprawiać ustawy lub nowe wyroczyć", by dzięki tym wiadomościom, tym maksymom „zdolni byli Ojczyznę, w najgorszym znajdującą się stanie, zaludnić obywatelami, gorliwymi o jej sławę, o uwiększenie jej mocy wewnętrznej i poważania postronnego, o poprawę rządów jej, w gatunku swym najgorszych".

A „rządy te najgorsze" miał odczuć Kościuszko przedewszystkiem w zestawieniu ich z nowoczesnemi dążnościami społeczeństwa francuskiego, których naocznym był świadkiem, bawiąc dla dalszego kształcenia się w Paryżu. Powrócił do kraju w chwili niesłychanej sromoty, widział ludzi możnych, historyczne noszących nazwiska, jak, suto płaceni przez wroga, z lekkiem sercem godzili się na rozbiory, jak potomkowie hetmanów i wojewodów pługawem płaszczeniem się zabiegali u wrogów o wzgardzone przez wielkiego wodza helleńskiego dostojeństwa i urzędy, widział pyszałkowatość i wszelkiego rodzaju szujostwo, u ludzi, którzy służalcami będąc wobec cudzoziemskich rozdawców orderów i zaszczytów, złota i synekur, wrzekomo niższych od siebie traktowali jak pachołków.

Pyszałkostwa tego na własnej zaznał skórze: parwenjuszowski jurgieltnik, pospolity szlachetka, który haniebnemi, z godnością narodową sprzecznemi drogami wyniósł się na poniżające w danym wypadku wyżyny, odmówił Kościuszce ręki zakochanej w nim córki, bo tylko osobisty interes mając na oku, chciał, ufny w potęgę służalstwem zdobytego grosza, skoligacić się z książętami.

Tak upokorzony Kościuszko opuścił rodzimą wioszczynę, wzorem Timoleona popłynął za morze, do dalekiej Ameryki, gdzie bohaterski wysiłek pospolitego ludu zaczął kłaść podwa-

liny pod nowe, na wolności oparte ustroje. Na wolności i na braterstwie, na hasłach, które niezawisłość państwową jednemu wówczas wywalczyły narodowi, a które dzisiaj, po tylu lat dziesiątkach z pierwotną odżywają potęgą i przenoszą się do niepewnej siebie, w rozterce będącej Europy, taką, napełniają otuchą serca innych, tak haniebnie pognębionych narodów. Czyż orędzie dzisiejsze, od spełnienia którego zawisł tak upragniony przez wszystkich pokój wieczysty, różni się w zasadniczem brzmieniu swem w czemkolwiek od wiekopomnych tych haseł, którym lud amerykański zawdzięcza swą wolność dzisiejszą, swą niezależność, swój dobrobyt, swą potęgę, narzucającą się na sprawiedliwego sędzię w tym wielkim, krwawym sporze dwóch światów moralnych?

„Uważamy za niezbite i oczywiste następujące prawdy" — wołali przed półtora blisko wiekiem owi prości, a tak wspaniali szermierze swobody — „prawdy, że wszyscy ludzie stworzeni zostali równymi sobie; że Stwórca udzielił im pierwszych praw niezbywalnych, w których rzędzie na pierwszem miejscu postawić należy prawo do życia, do wolności i do poszukiwania szczęścia; że w celu zapewnienia sobie tych praw ludzie ustanowili między sobą rządy, których władza wypływa z woli rządzonych; że ilekroć jakakolwiek forma rządu sprzeciwia się celowi, w jakim była ustanowioną, naród ma prawo zmienić ją zupełnie i ustanowić rząd nowy. Dzieje teraźniejszego panowania Wielkiej Brytanji są jednym ciągiem niesprawiedliwości i przywłaszczeń, dążących jawnie do rozciągania nad temi osadami nieograniczonej tyranji".

„Wskutek tego my, przedstawiciele Stanów Zjednoczonych Ameryki, zgromadzeni na ogólny kongres, biorąc na świadka Najwyższego Sędziego, któremu znana jest prawość naszych zamiarów, ogłaszamy uroczyście w imieniu zbożnego ludu tych osad: że te zjednoczone osady są i mają prawo być państwami

wolnemi i niepodległemi; że wyzwolone są z pod posłuszeństwa wszelkiego królowi Wielkiej Brytanji; że wszelki węzeł zależności politycznej pomiędzy niemi i państwem Wielkiej Brytanji jest i powinien być ostatecznie zerwany i że jako państwa wolne i niepodległe, mają one pełne prawo prowadzić wojnę, zawierać pokój i przymierza, ustalać handel oraz przedsiębrać to wszystko, co leży w granicach możności państw niezależnych. Pełni zaś ufności w Opiekę Opatrzności Boskiej, zobowiązujemy się do poparcia niniejszego oświadczenia życiem naszem, mieniem i honorem".

Taki był akt, jeden z najpotężniejszych i najcudowniejszych, jaki kiedykolwiek Ludzkość z duszy i głowy swojej wyłoniła, akt wielkiego uczucia i wielkiego rozumu, akt, który do dziś dnia służy za niewzruszalny drogowskaz dla ludów, dążących do swobody, dla ludów, świadomych swego prawa do życia niezależnego, a nieskażonych służalstwem, tchórzostwem i małostkowem liczeniem się z tak zwanemi możliwościami.

Czyż można się dziwić, że prawdy tego rodzaju do głębi przejęły męża, który pojęcia o poświęceniu się dla dobra ogółu, o stawianiu na ołtarzu najtkliwszej i najsilniejszej zarazem miłości przedewszystkiem Ojczyzny, pojęcia o braterstwie i honorze, czerpał już przedtem nietylko w chwalebnym przykładzie greckiego wodza, ale i wielkich mężów polskich, przyświecających zadaniom Szkoły Rycerskiej?

Czyż można się dziwić, że uzasadniwszy czynami swymi ów sąd Franklina, iż „panowie Polacy, którzy mają w świecie sławę dzielnych wojowników, będą wielką pomocą dla jego Ojczyzny", zapragnął wspaniałe, wiecznie żywe hasła owe przeszczepić na grunt nieszczęśliwej ziemi rodzinnej i z ich pomocą wydobyć ją z mroków, w które coraz to bardziej popadała?

Czyż można się dziwić, że na drugiej półkuli, dawszy do-

wody nietylko bohaterstwa, niezwykłej tężyzny i bystrości umysłu, ale także, jak mówił, czy pisał amerykański jenerał Green, „bezprzykładnej skromności i zupełnej nieświadomości tego, że dokonał czegoś niezwykłego", skromności, która, zdaniem tego samego jenerała, „nie pozwalała mu nigdy objawiać żądań albo pretensyj dla siebie samego, a natomiast nie pomijać sposobności odznaczenia i zalecania cudzych zasług", — czyż można się dziwić, że z odznaką Cyncynata, tego Rzymianina, co „omnia reliquit servare Rempublicam", wróciwszy do Polski z wiarą, na przykładzie ludu amerykańskiego zdobytą, z wielkim przystąpił zapałem do dzieła, ażeby lud polski uobywatelić, zrównać i zbratać go z innymi i w ten sposób rozbudzić w nim świadomość, że jest synem wspólnej wszystkim Ojczyzny, i uczynić go zdolnym do walki o pohańbione i zdeptane prawa Rzeczypospolitej?

Głosząc, iż słowo „poddany" przeklęte powinno być w oświeconych narodach, choć zasadę tę „najtrudniej przeprowadzić u nas, gdzie ludzie oddychają niemal z woli swych panów i nie mają żadnego po sobie prawa — nawet odmienić miejsca, uchylić się od okrucieństwa i uciemiężenia — pomijam: od niesprawiedliwości, bo tej zawsze doznają", — otóż głosząc tego rodzaju zasady, pierwsze próby uwłaszczenia w rodzinnych uczynił Siechnowicach, a potem już po przysiędze na rynku krakowskim, po akcie powstania, po Racławicach, w słynnym uniwersale połanieckim przykaz zrównania ludu z resztą społeczeństwa rozszerzył na ogół tego ludu.

Wiedział i z żalem to zaznaczał, na własne widząc oczy i od żołnierzy gorzkie otrzymując skargi na los pozostawionych w domu żon i dzieci, nie mogących doprosić się polepszenia smutnej doli od twardych, niesumiennych, kastowem sobkostwem kierujących się szlachciców, że tego rodzaju postępki dają powody wrogowi do spotwarzania całego narodu, wie-

dział, że lud, świeżo przyzwyczajony do uczuwania się Polakiem, gnębicielstwo to zdolne jest odwieść od celów ojczystych, zdolne stłumić w nim świeży zapał do obrony Ojczyzny. „Ale ludzkość", mówił, „sprawiedliwość i dobro Ojczyzny wskazuje nam łatwe i pewne środki. przez które podstępom złości domowej lub zagranicznej intrygi zapobiedz możemy. Rzeknijmy, że lud nie dopiero zostaje pod opieką rządu, że uciśniony człowiek ma gotową ucieczkę do komisji Porządkowej swego województwa, że ciemiężyciel, prześladowca obrońców kraju jako nieprzyjaciel i zdrajca Ojczyzny karany będzie".

Najgorętsza miłość tej Ojczyzny takiego z Kościuszki uczyniła imponującego, duchem nowożytnym przejętego prawowodawcę. A prawodawca, który nie wahał się surowemi grozić karami i traktować jako zdrajców kraju wszystkich gnębicieli chłopa, musiał granitową mieć wiarę w tego chłopa, bez współudziału którego nie może być zbawienia.

I ta, choćby pod wpływem długowiekowych ciemiężeń czasem nawet i z rozpaczą graniczącą wiara, nie zawiodła go. Nie zawiodła go pod Racławicami, gdzie chłop polski, uczuwszy się synem Ojczyzny, kosę sztorcem oprawiwszy, moskiewskie zdobywał armaty, nie zawiodła go wówczas, a nie zawodzi go przedewszystkiem dzisiaj, gdy nieśmiertelny duch jego, unoszący się nad Polską, tą widownią najkrwawszych zapasów, które długie pokolenia wspominać będą ze zgrozą, a i z błogosławieństwem, iż zapasy te przeobraziły świat i uciemiężonym dały swobodę, patrzy z zadowoleniem, jak przedmiot jego wiary ten lud siermiężny, tak głęboko miłujący swój zagon, stawia na czele swych dążeń przywrócenie Rzeczypospolitej jak, mimo poniżającego, chwała Bogu, że przemijającego, oporu tych, którzy będąc potomkami uprzywilejowanych rycerzy, nigdy opierać się, nigdy przykładu bojaźni, dyplomatycznemi upozorować względami, dawać nie powinni — jak

lud ten w brzemiennych w błogie skutki uchwałach majowych stał się wzorem istotnego, polskiego naprawdę obywatela, stał się rękojmią szczęśliwej przyszłości...

Objawy zaprzaństwa, objawy tchórzliwych mędrkowań, że dla uratowania choć części poświęcić należy niedającą się uratować całość, czarnemi, przeraźliwemi zapisały się głoskami w ostatnich latach Rzeczypospolitej. Atoli w czasach, kiedy dla wrzekomej „obrony zagrożonych swobód stanu szlacheckiego", dla tak zwanego „zbawienia wolności kraju" wkraczały armie osławionej carycy, kiedy targowicka konfederacja znikczemniałych magnatów pracowała usłużnie nie dla wolności tego kraju, lecz dla tem szybszego, tem łatwiejszego ujarzmienia go, nie brakło przecież przedstawicieli szlachty, którzy nie dla swego stanu pragnęli wolności, tylko wolności i szczęścia dla ogółu, dla całej Rzeczypospolitej. Byli Puławscy, Kołłątaje i Potoccy, byli Czartoryscy i Małachowscy, byli Poniatowscy, Madalińscy i Kniaziewicze, Lubomirscy i Sapiehowie i tylu a tylu innych, był przedewszystkiem Kościuszko.

Nie zraził go rozpaczliwy stan kraju, nie uląkł się przewagi wroga, nie mędrkował wzorem wrzekomych dyplomatów, będących niczem innem, jak tylko powolnemi narzędziami zaborców, lubiącemi odwoływać się „do realnego", niewiarę i tchórzostwo, albo i jawne lub ukryte zaprzaństwo pokrywawającego patrzenia na rzeczy, tylko wbrew wszelkim kruczym krakaniom utrzymał się na wyżynach wyznawcy wolności, na wyżynach nieustraszonego, o wolność tę walczącego rycerza.

Ten umysł tak trzeźwy, ten matematyk, ten budowniczy mostów i fortów, ten inżynier, realnych pełen wiadomości, stał się wyobrazicielem pojęć, tak trudnych do pojęcia dla rozmaitych pseudo-realistów, nie mogących przekonać się, że

pomyślność walki o wolność zasadza się — między innemi — najwięcej na „upowszechnieniu zapału".

Prawdziwy realizm, to owe najwspanialsze, najpotężniejsze, najetyczniejsze hasła Kościuszki, że „w pogardzie śmierci jedynie jest nadzieja polepszenia losu naszego i przyszłych pokoleń", że „pierwszy krok do zrzucenia niewoli jest odważyć się być wolnym". że „pierwszy krok do zwycięstwa jest poznać się na własnej sile".

Kto się takiemi przejmie zasadami, temu łatwo będzie przyjść do przekonania, że niegodnem jest człowieka jako tworu bożego, odgrywać rolę cudzego pachołka i służalcy, choćby służalstwo to nagradzane bywało taką ponętą, jak najbardziej upragniony cel tylu a tylu lichych w gruncie ludzi, władza.

Pogardził Timoleon władzą, związaną z dostojeństwami, gardził nią i Kościuszko, a powierzoną sobie, jako najodpowiedniejszemu obrońcy wolności władzę Naczelnika, poprzysiągł dzierżyć tylko dopóty, dopóki nią kraju nie uszczęśliwi.

„Niech nikt, kto cnotliwy, nie pragnie władzy" — tak pisał ten pierwszy, najszlachetniejszy z dyktatorów. Złożono ją w moim ręku na ten moment krytyczny. Nie wiem, czy na tę ufność zasłużyłem, ale to wiem, iż ta władza jest dla mnie jedynie narzędziem do skutecznej obrony Ojczyzny mojej i wyznaję, iż jej końca tak szczerze pragnę, jak samego zbawienia narodu".

Za samą szlachtę bić się nie chciał, za wolność całego narodu i dla niego tylko życie wystawiał. Dubienka, Racławice, a potem nieszczęśliwy, tragiczny bój szczekociński i maciejowicki oto najgłówniejsze etapy rycerskiego zmagania się, tego wystawiania życia za cały naród. Potem więzienie, potem triumfalna podróż przez Szwecję i Anglję, potem znowu Ameryka, a w końcu grób na gościnnej ziemi szwajcarskiej, na

cichym cmentarzu w Solurze, potem złożenie zwłok na królewskim Wawelu, potem wielka, rękami wdzięcznego narodu usypana mogiła, zeszpecona fortem wojskowym, a dzisiaj, w setną rocznicę śmierci Naczelnika, hołd składamy mu po wszystkich ziemiach rozdartej, a tak jednolitej Polski.

Zasłużył na hołd nietylko nasz, ale hołd całego wolność i niezawisłość kochającego a o wolność tę walczącego świata ten „ze wszech miar wielki człowiek i wielki wódz" — jak go nazwał jeden z oficerów pruskich, biorący ongi udział w oblężeniu Warszawy: — albowiem „twórcza jego siła godna podziwu, sam bowiem, tworząc wojsko, wśród tworzenia walczył niem z dwoma najlepszemi wojskami Europy, nie mając ani ich zasobów, ani karności. Czegóżby nie był dokazał na czele dobrego wojska, kiedy tyle uczynił z chłopami, co nic nie umieli? Równie wielki z charakteru, z poświęcenia, z miłości Ojczyzny — żył wyłącznie dla jej wolności i niepodległości".

Czyż może być wspanialsze świadectwo, jak to, które wystawił mu wróg?

Zasłużył na hołd ten — Tadeusz Kościuszko, bohater i obywatel prawdziwie nowożytny, ale chyba wszyscy jesteśmy przekonani, że te uroczyste nabożeństwa i pochody, że uroczyste mowy, poświęcanie tablic i wznoszenie pomników spiżowych mogą być zaledwie drobną oznaką czci, jaką winniśmy Jego nieśmiertelnej pamięci.

Najgodniejszych i najtrwalszych hołdów damy dowody jeżeli pójdziemy w Jego ślady, jeżeli nie zrzeczemy się ni cząstki naszego dobytku, jeżeli, gdziekolwiek od wieków lud polski mieszka, który taką wiarą i taką otuchą napełniał jego serce i takim był dla Niego symbolem szczęśliwej przyszłości uważać będziemy, że mieszka słusznie i że należy mu się wyzwolenie

jeżeli postępkom naszym jeden przyświecać będzie

ideał, wieczyste dobro Rzeczypospolitej, bronionej do ostatniego tchu, choćby ta obrona kosztować miała utratę przemijających dóbr osobistych.

Twardym był Kościuszko w swojem umiłowaniu swobody, twardym w walce o jej odzyskanie, twardym wobec tych, którzy odzyskaniu temu obojętnością czy zaprzaństwem przeszkadzali. „Grzeszyliśmy" — wołał — „aż nadto pobłażaniem i dla tego ginie Polska. Nigdy w niej prawie zbrodnia publiczna ukaraną nie została. Bierzemy — teraz inny sposób postępowania: cnotę i obywatelstwo nagradzać, a ścigać zdrajców i karać zbrodnie".

Nagradzajmy cnotę i obywatelstwo, a co do dalszego to chyba maksyma ostatnia obowiązywać nas nie potrzebuje, boć mamy nadzieję, że mogą być między nami ludzie mylący się ale zdrajców i zbrodniarzy, da Bóg, nigdy nie będzie.

O MIŁOŚCI OJCZYZNY

Zapewne niejeden z zebranych w tej sali dziwi się, że znalazł się człowiek, który ma odwagę mówić na temat tak spowszedniały, jak rzecz o „miłości Ojczyzny".

Jeżeli zaś tego rodzaju słuchacz ze zdziwieniem swojem nie pozostał w domu, jeno pojawił się tutaj, to chyba z tej jedynie przyczyny, ażeby przekonać się, iż miał słuszność, i aby wobec siebie tem silniej uzasadnić sąd swój, że nie tylko samo przedstawienie rzeczy może być ułomne i nudne, ale że i wybór, żadną nie połyskujący nowością, zapowiadający raczej jakiś muzealny arsenał starego żelaziwa, z góry już skazuje przemawiających czy piszących na mniej lub więcej zręczną parafrazę myśli i uwag dawno już wypowiedzianych.

I niewątpliwie sądowi temu trudno będzie usunąć podstawy z pod nóg, trudno będzie taki zadać mu cios, aby się zachwiał, skurczył i zczezł, jeśli się zważy, jaki ogrom miłości Ojczyzny staje w czasach dzisiejszych przed naszemi oczyma, jakie miłości tej towarzyszy poświęcenie, jak wielki związany jest z nią ból, który mimo wszystko w wielką acz cichą przemienia się radość z tą chwilą, gdy albo intuicyjna błyśnie nam myśl: albo spokojne, pod naporem tego bolu wyrozumowane nawiedzi nas przekonanie, że znosimy go dla najprzedniejszego dobra — *pro salute clarissimae ac gloriosissimae Reipublicae.*

A pozatem czyż nie wiadomo z nas każdemu, że ptak powraca do swego gniazda, że zwierz leśny idzie umierać do ostępu, z którego wyszedł, że chłop nasz nadewszystko ojcowską umiłował schedę, że niemogąc z tego czy owego powodu utrzymać się na niej, zapewnić bytu sobie, żonie i dzieciom i będąc zmu-

szony nad cudzemi rzekami szukać zarobku, za dalekie, cudze udawać się morza, ostatecznie rzeki te cudze rzuca, morza cudze żegna i do swoich rodzinnych wraca strumieni, do swych ojczystych pędzi jezior, grosz uciułany wkłada w ziemię, która mu była kolebką i będzie mu grobem, tak jak była kolebką i grobem dla jego ojców i praojców?

Nie jest-że też dowodem świadomej, wrodzonej miłości Ojczyzny, że ten sam brat nasz, nie mogąc z tych czy owych powodów marzenia swego spełnić i do swej małopolskiej czy wielkopolskiej ściągnąć zagrody, nie zapomina o niej nietylko jako o cząstce, mieszczącej w swoim opłociu najbliższą jego rodzinę, ale nie przestaje mieć jej na myśli jako całość i tej myśli swojej a raczej temu uczuciu swemu tak czynny daje wyraz, że, w istocie, wspaniały ten jego przykład zawstydza obojętnych, jeżeli jeszcze tacy są między nami, i do równie czynnych objawów pobudza tych, którzy, dzięki naturze swojej, bez tym podobnych bodźców działać nie umieją?

Syt jest Polak amerykański — mówię to dla przykładu — mógłby w własnym opływać tłuszczu, mógłby tłumaczyć sobie wzorem owych kupców i bankierów Krasińskiego, że tam jego ojczyzna, gdzie jest mu dobrze, a natomiast najmniejszego nie ma obowiązku oglądać się jeszcze za Ojczyzną, z której głód go wypędził, a przecież ileż to, w ostatnich zwłaszcza czasach, mieliśmy dowodów, że i o tej biednej nie przepomniał Macierzy, że radując się na widok powstawania jej z grobu, chciałby i on przyczynić się do utrwalenia żywotnego jej bytu i zaoszczędzony grosz swój na jej składa ołtarzu.

Spokój ma ten Polak, może bez obawy, że mu go zamącą, wygodnie w swojej zamorskiej krzątać się fermie, może spełniwszy swój rentowny, kilkugodzinny obowiązek w kopalni czy fabryce, domowym oddawać się rozkoszom, kulturalnych używać zdobyczy, a przecież nie jeden z tych zamorskich braci

naszych albo sam poszedł na trudy i znoje wojennego życia w kraju spustoszonym i wygłodzonym, albo też syna swego wysyła, nie znaglon przez nikogo, prócz przez dalekie wspomnienie „starego kraju", którego dotychczas może nawet na własne nie widział oczy, a którego obraz oczom jego przedstawia uświadamiająca się w pewnych chwilach, gdzieś w ostatnich głębiach drzemiąca tęsknota — wysyła tego syna, iżby ta tęsknota stała się ciałem.

I nic jednego i drugiego nie obchodzi, iż ciało to skrwawić się może, iż może w szeregu tylu a tylu innych ciał paść już na zawsze i zadać kłam nadziei uczestniczenia w ostatecznym triumfie, kosztowania razem z innymi żywymi owoców bohaterskiego wysiłku: wystarczy im samo odczucie czy przeczucie, że tęsknota ich była nieodłączną cząstką ich duszy, że dusza ta ma prawo być nasycona i napojona tak samo, jak ciało, i że chlebem i winem dla duszy, chlebem najpożywniejszym i winem najmocniejszem, jest danie folgi tęsknocie tej, w danym wypadku będące złożeniem hołdu miłości, ogarniającej uściskiem swym wielkie, święte imię Ojczyzny.

Nie wielkie i nie święte, jeno największe i najświętsze.

Nie od dzisiaj, nie od wczoraj ani od przedwczoraj, ale od zamierzchłych dni pojawiali się ludzie — mówię znowu rzeczy znane, — którzy zaprzątnięty mając umysł zbawianiem świata, albo potrzebą uszlachetniania ducha i serca ludzkiego, tworzyli systemy filozoficzne, religijne czy też społeczno-ekonomiczne, systemy, przeciwstawiające imieniowi Ojczyzny imię Ludzkości.

I rozpoczęło się współzawodnictwo pojęć, które rozmaitemi chodząc drogami, ale nigdy do ostatecznego nie doprowadziwszy rozstrzygnięcia, trwa dotychczas i, niewątpliwie, w tej czy innej formie trwać będzie dalej, aż te napozór tak sprzeczne pomiędzy sobą ideje sprzeczności tę ostatecznie utracą i ową

cudowną platońską stworzą harmonję, ową wymarzoną przez wielkich twórców Rzeczpospolitą narodów, w której narody te nie będą gryzły się wzajem na wzór rozmaitych, wrogich sobie stad dzikiego zwierza, do jednej olbrzymiej wpuszczonego klatki, ale, zachowując plemienne właściwości swe, pracować będą nad tem, iżby nie rozluźniały się bratnie ich węzły, iżby przy zaniku krwiożerczych podszczuwań, wychodzących na szkodę jednego i drugiego, a na korzyść trzeciego, można było stwarzać te dla wszystkich niezbędne czynniki życia, te potężne dzieła przemysłu i sztuki, te pola rozległe, w których napięcie umysłu ludzkiego znajduje swój upust — z korzyścią nie tylko dla tego czy owego narodu, ale wogóle z korzyścią dla świata.

To zrozumienie, że dobro jednego narodu rozwijać i ostać się może na zawsze jedynie równolegle z dobrem drugiego, sprowadzi zakończenie walki, pojednanie się tak dzisiaj wrogich sobie haseł „hie Guelf hie Ghibellin", — haseł, których pośrednim czy może i bezpośredniem wynikiem są dzisiejsze tak krwawe, tak wszelkiej ludzkości urągające przewroty.

Niema pomiędzy nami chyba nikogo, któremu najwewnętrzniejsza jego natura nie kazałaby pragnąć zakończenia tego w skutkach swoich tak straszliwego sporu, ale niema też pomiędzy nami nikogo, który, wniknąwszy głębiej w ten okrutny, rozbójniczy bieg wypadków dzisiejszych, mógłby sumiennie powiedzieć, że drogi, któremi wypadki te kroczą, prowadzą do Raju, że ludzkość w tym krwawym, nienaturalnym pochodzie swoim dociera do granic ziemi obiecanej.

A już zbrodniarzem, ba, zdrajcą, swoich najbliższych byłby ten, ktoby tę smutną miał odwagę, ażeby narodowi swemu doradzał poddanie się temu pochodowi, zdrajcą i szkodnikiem, najcięższej godnym kary, nawet wówczas, gdyby doradzanie to nie z poziomych, ale z najszlachetniejszych płynęło pobu-

dek, gdyby dyktowała je myśl o lepszej dla wszystkich przyszłości.

Nasuwa się, oczywiście pytanie: dlaczego? Dlaczego naród polski niema się przyczynić do stworzenia takich warunków ogólnego bytu, gdzieby ludzkość mogła odetchnąć na zawsze, gdzieby, on sam, jako cząstka tej ludzkości, również błogie znalazł odetchnienie?

Dlaczego niema zaprzeczyć konieczności istnienia państwowego, dlaczego państwowe istnienie to ma w ściśle określonych zamykać granicach, jeżeli od wyrzeczeń tych, zgodnych z ideałem ludzkości, zależy wspaniała ludzkości tej przyszłość, o którą on w imię jej dobra i złączonego z niem dobra własnego przedewszystkiem dbać powinien?

Dlaczego tak konkretnemi, a tak, zdaniem tych wrzekomo „nowych" ludzi, antyludzkiemi, na zawadzie ostatecznemu pokojowi stojącemi szermuje hasłami, jak potrzeba utrzymania Warszawy czy Lwowa, Łomży czy Białegostoku, Tczewa czy Poznania lub Wilna, jak potrzeba odzyskania polskiego od wieków Górnego Śląska, opanowania brzegów polskiej Wisły i polskiego od wieków Bałtyku z odwiecznie polskim, acz przez czerwie germanizacji przegryzionym Gdańskiem?

Dlaczego ogół polski ma chodzić po świecie z haniebnem piętnem szkodliwego wstecznika, który właśnie za to wstecznictwo wart jest, iżby go na zawsze wykluczono z braterstwa narodów?

Dlaczego ogół ten nie może absolutnie zdobyć się na zrozumienie tej wrzekomo jedynie prawdziwej prawdy, że krwawa jego walka z „ludźmi nowymi", jest walką zacofanej, wszelkim nowym myślom wrogiej „burżuazji"? Tej „burżuazji", która odrywając parobka od pługa, rzemieślnika od warsztatu i na niechybną wysyłając go śmierć albo, co gorsza, na ciężkie narażając kalectwo, ma na myśli siebie i swój wyłączny, z inte-

resem ludzkości sprzeczny dobrobyt, dobrobyt będący najplugawszą podstawą szkodliwego, ogólne szczęście ludzkie hamującego samolubstwa?

Dlaczego młodzież polska daje się porywać przestarzałym pojęciom „romantycznym"? Dlaczego do dziś dnia chwyta żarliwie i wchłania w siebie pokutujące widma pogłosów jakoby wielkiej poezji, która rozkrzyczawszy się na dobre, ażeby tylko przygłuszyć dowodzenie zdrowego rozumu, pustym szermowała i szermuje wyrazem „Ojczyzna", nie wiedząc, albo kłamliwie udając niewiadomość, że poza tą monodją kryje się dla uszu nowożytnego człowieka tysiączna dysharmonja fałszu, głupoty, najbrutalniejszego wyzysku, że taki śpiewak staje się spólnikiem najnikczemniejszych „dobrze urodzonych" okpigroszów i utytułowanych rzezimieszków? A obojętna, czy wspólnictwo to z nieświadomych czy świadomych płynie źródeł: w jednym i drugim wypadku młodzież powinna otrząsnąć pleśń tę ze siebie i bohatersko wyrzekłszy się dotychczasowych, z przewrotnej szkoły i z zacofanego domu wyniesionych zacofanych ideałów, z bronią, którą niebacznie uchwyciła przeciwko burzycielom starych porządków i budowniczym nowych, żadną zbrodnią, żadnym społecznym egoizmem nieskażonych światów, rzucić się na zaciętych przeciwników tych światów, choćby inni byli ich rodzeni ojcowie, rodzeni ich bracia, rzucić się z bronią tą na ułudne około własnego, nietylko zasłużonego, ale z naturalnej konieczności powstałego grobu błąkające się widmo, na tę upiorną postać — o szumnej nazwie „Ojczyzna".

Dlaczego to się nie dzieje, a jeśli się dzieje — na hańbę kuszących i skuszonych — to, dziękujmy losom naszym — dzieje się, jak dotychczas, dość sporadycznie: odpowiedź na to chyba niezbyt jest trudna.

Kto ma oczy ku widzeniu a uszy ku słyszeniu, ten wie, że

wszystkie te wzniosłe wskazania, już nie przenikające, ale przelewające się od wschodu i od zachodu przez otwarte na oścież bramy naszej dobrotliwości, naszej słabizny, która enfonicznie wyrozumiałością nazywać się lubi, a która niejednokrotnie styka się nawet z tchórzostwem — każdy wie, że hasła te w sposób aż nadto bezczelny przeczą wszelkim objawom, rzeczywistym, każdy wie, że z jednej i drugiej polaci otaczają nas nie jacyś choćby obłąkani przyjaciele, pragnący iluzorycznemi metodami swemi naprawić podstawy naszego bytu, a jeno konsekwentni, uporczywi, śmiertelni wrogowie.

Każdy z nas wie, że wrogowie ci chcą zniszczyć nie tę czy ową klasę społeczną, jako zaporę ich światozbawczych zamierzeń, lecz zgnieść i zdeptać nas wszystkich, z korzeniami z własnej, rdzennej naszej wyrwać nas ziemi dlatego tylko, że zespalamy się w naród, że pragniem w własnym zamieszkać i gospodarzyć domu, jakim jest państwo.

I oto my nie mamy najmniejszej chęci służyć temu wrogowi nie za podłoże społecznych jego eksperymentów, bo o tych on, w stosunku do nas, wcale nie myśli, albo jeśli myśli, to jedynie jako o środku dla tem łatwiejszego ujarzmienia nas, ale za podłoże, za pognojowisko, na którem jeszcze bardziej rozpierać by się mogła zaborcza jego potęga na którem jeszcze w większą porastać mogłyby siłę oba potwory, swemi rozmiarami, swoją nienasyconą chciwością całemu zagrażające światu.

My wiemy, że jeżeli jeden i drugi, tak serdecznym złączeni z sobą sojuszem, pienią się na nas od gniewu, że upieramy się przy swoich prawach, że zdobywamy się na energję, ażeby dla praw tych skuteczną stworzyć obronę, to rozbójnicze zapuszczają przeciwko nam zastępy dla jednego tylko celu — dla zbrodniczego zagarnięcia praw tych dla siebie.

Nie potrzeba zbytniej wnikliwości, ażeby przejrzeć chciwość,

czyhającą na nasze dobro, chytrość, ukrywającą ohydną twarz swą pod piękną maską uwzględniania dobra ogólnego.

Nakładanie tej maski bywa niejednokrotnie, z powodu zdarzającego się w tych razach zaślepienia, tak niezręczne, że i człowiek najnaiwniejszy, najmniej obeznany z machinacjami fałszu i obłudy, spostrzeże od razu, jeżeli tylko trochę dobrej posiada woli, jak dalece słowo rozmija się z czynem, jak dalece walkę, wytoczoną imieniowi Ojczyzny, prowadzi się jedynie poto, iżby wyrwawszy pojęcie Ojczyzny z naszego serca, własną utrwalić Ojczyznę i żelazną ręką tej niemieckiej czy moskiewskiej Ojczyzny jeszcze w straszliwsze zakuwać nas kajdany, jeszcze w uleglejsze zamieniać nas sługi i pachołki, mozolące się, głodzące i biczowane na grabieżami powiększonym obszarze już cudzej, w obrębie niezmiernego, wszechwładnego państwa zamkniętej Ojczyzny.

Jak najszybsze uświadomienie sobie takiego stanu rzeczy będzie jednym z objawów prawdziwej miłości, jaką każdy z nas żywić powinien dla Polski, utożsamiającej się z pojęciem państwa, w swoich przyrodzonych zamkniętego rubieżach, państwa naprawdę swobodnego, naprawdę niezależnego, rządzącego się według niesfałszowanej woli swoich naprawdę swobodnych, naprawdę niezależnych mieszkańców.

A na miano prawdziwej zasłużyła miłość, ponieważ podtrzymywać będzie w nas czujność i baczność, iżby podstawami państwa naszego nie zachwiał nieprzyjaciel, iżby nie miał dostępu do nas czy to zwierz dziki, otwarcie rzucający się na nasze stado, czy wilk, w owczej skórze skradający się w nasze obejście, ażeby niespotrzeżenie wydusić nasz polski dobytek — w nocy, kiedy my, spokojni pasterze, oddawać się będziemy marzeniom o powszechnej, na dobroci sąsiedzkiej natury ludzkiej opartej sprawiedliwości.

Prawdziwą będzie ta nasza miłość naszej Ojczyzny, po-

nieważ pchać nas będzie do czynu, który, jak dzisiaj, ześrodkowuje się w chęci zszeregowania się w zastęp zbrojny, w nieugiętej woli podtrzymania tego zastępu dopóty, dopóki od strony prawnych granic naszych nie będzie wyszczerzać ku nam swych kłów, snu i spokoju nie lubiąca, a tak chętnie sen i spokój udająca — Groźba.

Przyjdzie może czas, że ideałem człowieka nie będzie bohaterstwo, pędzące z wyciągniętym naprzód bagnetem; przyjdzie może czas, że miłość Ojczyzny nie będzie wymagała ofiarnego przelewu krwi, który dzisiaj stał się nieuniknionym, a który w upływie swoim zatapia pola innej, dla życia tej Ojczyzny niezbędnej pracy; przyjdzie może czas, kiedy najszczytniejszem hasłem ludzkiem stanie się spokój, warunek wszelkiego rozwoju, spokój, urodzony z braterstwa narodów — czas ten oby przyszedł jak najprędzej! — ale wiara, że czas ten nadszedł już dzisiaj, że już dzisiaj, w tej chwili, rozpoczyna błogosławione panowanie swoje — wiara taka byłaby dzisiaj, w tej chwili, jeżeli nie zaprzeczeniem, zabiciem, to co najmniej nieszczęsnem dla nas osłabieniem miłości Ojczyzny.

Mimo dziejami dni dawnych i dziejami dnia dzisiejszego stwierdzonej bohaterskości naszego człowieka, tacy jesteśmy już z przyrodzenia, że na zew, ubrany pozorami prawdy, pierwsi byśmy rzucili i pierwsi wyciągnęlibyśmy ręce do ogólnej wszechludzkiej ugody. I takie poddanie się woli spokoju byłoby dowodem najsilniejszej miłości Ojczyzny.

Atoli dowodu tego dać nie możemy, bo nie słabszy, dbający o byt swój, zapoczątkowuje pojednanie i z pojednaniem tem złączone nadejście nowej ery, jeno silniejszy, a ten silniejszy tylko czyha na to, ażeby, omotawszy nas jedwabną przędzą złudy, przędzę tę odrazu w ciężkie zamienić łańcuchy, złudę tę odrazu w twardą, wszelkim szlachetnym hasłom wrogą rzeczywistość.

I to jest tragedją chwili dzisiejszej, tragedją nietylko naszą ale tragedją i narodów innych, niedawno zwycięskich, a które, mimo zwycięstwa i mimo chęci przekształcenia ogólnych warunków bytu, zmuszone są stać i czekać z karabinem u nogi, zmuszone są może i spełniać czyny, sprzeczne z istotnemi ich zasadami, zmuszone są nie chwycić się pracy, któraby światu istotnie już jakieś lepsze ostateczne zgotowała jutro, jeno liczyć się i liczyć z koszmarną obawą o to jutro.

I nam z koszmarną obawą tą liczyć się trzeba, bo nie liczenie się stwarzałoby, niewiedzieć jak zabójczą dysharmonję pomiędzy każdym z nas jako Polakiem, a miłością, którąśmy naszej szczerej winni polskości, naszej polskiej Ojczyźnie.

Być może, że są i między wrogami naszymi jednostki, które w dobrej wierze, hołdując mgławicznym ideałom ogólno-ludzkim, mającym się spełnić w drodze „a outrance" rewolucyjnej, jednostki, które — może i w szlachetnem szaleństwie swojem dochodząc do uwielbiania rewolucji już nie jako środka, ale jako rzeczy samej w sobie czy samej dla siebie, chciałyby nas wytępić jak najprędzej, ponieważ niemożność naszą odrzucenia oręża i dania tem samem zbawczego przykładu innym — acz same broni tej nie rzucają — nie jest w ich oczach wynikiem liczenia się z trwogą o przyszłość, albo wynikiem na właściwościach natury ludzkiej, słusznie czy niesłusznie, ugruntowanej niewiary w możność przeprowadzenia ideałów ich, a tylko wypływem tradycyjnego, specyficznie polskiego, to znaczy, w ich zrozumieniu, „szlacheckiego" sposobu myślenia.

A tradycyjny „szlachecki" ten sposób myślenia utożsamia się w oczach tych jednostek z wstrętem do wszystkiego, co jakimkolwiekbądź zatrąca postępem, co z wiekową zrywa zaśniedziałością.

Jest to jeden z tych fałszów, któremu znowu przeczy rzeczywistość. Bo jakiekolwiek błędy posiadała przeszłość nasza,

jedno na chwałę ojców naszych powiedzieć trzeba, że, choćby nawet i zapóźno, to przecież w stanowczej chwili ocknąć się umieli i przywary swe, jakkolwiek Ojczyzny uratować już nie mogli od korzystającej z nich przemocy wroga, starali się okupić czynami istotnie wielkiemi, jak czyn Konstytucji Majowej, lub zbrojne ruchy nasze, z bohaterską podejmywane gotowością nietylko dla naszego wyłącznie dobra.

I tradycja ta trwa, mimo wszystko do dzisiaj, nie tylko trwa, ale wrasta, w przyszłość wspaniałą, w przyszłość, która odpowiadać będzie najśmielszym marzeniom nietylko szlachetnym ale rozumnych przeobrazicieli świata.

W sejmie oddajemy przewagę głosu polskiemu włościaninowi i polskiemu robotnikowi, na czele rządu stawiamy chłopa, uważając, że jedna tylko może być granica pamiędzy ludźmi — stopień ich rozumu, ich serca, ich poczucia obywatelskiego z jednej, a z drugiej głupota, sobkostwo, wyzysk, zaprzaństwo, wstręt do spełniania obowiązków, jakie na człowieka nakłada Ojczyzna.

Stworzyliśmy i stwarzamy sobie ustrój demokratyczny, nie ustępujący w niczem ustrojom społeczeństw najbardziej postępowych — i to jest naszą chlubą i źródłem naszego umiłowania Ojczyzny, która mimo tylu a tylu znać niepokonalnych trudności stara się w zrozumieniu ducha czasu, iść naprzód i naprzód pójdzie, rozwijając i do tego ducha czasu przystosowując swe urządzenia, swe cele, nie pod naciskiem żywiołów postronnych, pragnących brutalną siłą narzucić się nam na gospodarza w naszym domu, na kierownika i regulatora naszych interesów, a tylko własną rządząc się wolą, własnem poczuciem swego dziejowego powołania.

Straż i pieczа nad temi rozwijającemi się urządzeniami naszemi jest też najprzedniejszym naszym obowiązkiem, a ktoby obowiązku tego nie spełniał, ten sprzeniewierza się

miłości Ojczyzny, tak jak sprzeniewierzyłby się jej ten, ktoby na urządzenia te targnąć się ośmielił, jak sprzeniewierzyłby się i ten, kto, rozmyślając nad podstawami nowożytnych już istniejących, albo powstać mających ustrojów społecznych odpowiednio do wymagań epoki, mającej być synonimem swobody, sprawiedliwości, równości i braterstwa, zapomniałby choć na chwilę, że gwarancją tej właśnie swobody, tej sprawiedliwości, tej równości i tego braterstwa są instytucje, które sobie stwarza wola świadomego siebie narodu, a nie ta czy owa jednostka, którą sobie naród wybrał nie na pana swego i władcę, jeno na swego przedstawiciela, na strażnika tych urządzeń, na prawomyślnego wykonawcę woli zbiorowej.

Poruszyłem zaledwie kilka najgłówniejszych momentów, związanych z sprawą miłości Ojczyzny, momentów, stawianych nam przed oczy przez wielką, przełomową, w zapowiedzi nowych porządków owocną dobę dzisiejszą. Pominąłem szereg tych drobnych, że tak powiem, codziennych, powszednich obowiązków, bez których spełnienia psowałaby się maszyna Rzeczypospolitej, a które są tak samo, jak tamte wskazane, organicznie związane z poczuciem i potrzebą ujawnienia obywatelskości a tem samem nie uchylania się od wymagań, jakie nam stawia dzisiaj i zawsze stawiać nam będzie ta każdemu prawemu członkowi społeczeństwa niezmierną rozkosz sprawiająca miłość Ojczyzny.

Najpotężniejszy objaw tej miłości mamy dzisiaj, mimo wszystkich z organiczną niedoskonałością natury ludzkiej związanych przywar, w niebywałem bohaterstwie naszego żołnierza; równie potężny zobaczymy — daj Boże — niebawem w szeregu pracowników czasu Pokoju: Gmach, świeżo powstający dzięki jednym, utrwali mrówcza, wytężona praca drugich, jednym i drugim błogosławić też będzie umiłowana przez nich Ojczyzna.

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE P. T. N.

Jako prezesowi Związku stowarzyszeń nauczycieli polskich powierzono mi powitać ten wspaniały, tak liczny zjazd wychowawców narodu naszego. Jesteśmy wszyscy szczęśliwi, że zjazd ten odbywa się w chwili, kiedy Polska może o sobie niemal z całą już pewnością powiedzieć, że będzie tak wielką, tak wspaniałą, że każdy jej członek będzie mógł swobodnie w niej oddychać, że sama jego całość będzie między narodami świata jednym z najpierwszych, najpotężniejszych, najkulturalniejszych narodów. Rozglądając się pomiędzy ludźmi, mam sposobność niejednokrotnie obserwować dziwny napozór fakt, że ta wielka chwila historyczna przechodzi na oko jak gdyby bez wrażenia. Tłomaczyć to sobie można przedewszystkiem tem, że ogrom tej chwili jest tak wielki, tak oszałamiający, tak, powiedziałbym, niespodziewany, że poprostu duszę ludzką przygniata. Ale z drugiej strony jest to rzecz naturalna zupełnie, że w chwili, kiedy ta Polska jeszcze mimo wszystko nie ma całkiem namacalnego wyraźnego kształtu, że ta Polska, która musi walczyć o każdy kęs granicznej swojej ziemi, że ta Polska, której życie zależne jest po części od wypadków, spełniających się na Zachodzie dzisiaj, że te wszystkie czynniki składają się na to, że dusza nasza, dusza polska nie zawsze całkowitej oddaje się radości.

Kiedy powstała myśl urządzenia pierwszego Zjazdu nauczycieli polskich, tego Sejmu, można powiedzieć, walnego, walnego dlatego, że albo ma zakładać nowe, albo przebudować stare istniejące już podwaliny szkolnictwa narodowego, zdawało się nam, że do Warszawy, do tej stolicy Państwa Pol-

skiego już istniejącego zjadą się reprezentanci ze wszystkich ziem naszych. Na zjeździe w Piotrkowie, który był niejako przygotowawczym zjazdem do dzisiejszego zebrania, miałem sposobność wyrazić żal, że pomiędzy nami nie było Poznańczyków.

Dzisiaj ci nasi bracia z nad Warty i Gopła, z tej ziemi, która była kolebką naszego bytu państwowego, w licznem stawili się gronie (brawa). Stawili się względnie swobodnie, ale tej swobody nie mają jeszcze Prusy Zachodnie z Gdańskiem, bez którego Polska, jako Państwo, istnieć nie może. Tej swobody zupełnej nie mają Prusy Książęce, nie ma Śląsk Górny, którego lud polski, — zniemczony, wynaradawiany, nie od dzisiaj, nie od wczoraj, ale od wieków, — zachował, mimo strasznego ucisku, swą duszę polską i w szczęśliwszych warunkach, tę duszę do wspaniałego doprowadzi rozkwitu. Są pomiędzy nami i przedstawiciele Śląska Cieszyńskiego (brawo), którego losy są niepewne. Z całą swobodą przyjechali przedstawiciele innych prowincyj naszych, mianowicie Galicji, ale niestety z wielkim bólem, z wielkim bólem zaznaczyć to trzeba, z Galicji nie całej. Brak pomiędzy nami naszych kolegów z okolic zagrożonych, trzymanych ręką nieprzyjaciela, kolegów, których los istotnie nie jest pozazdroszczenia godzien. Pomijam to, że nie mogą absolutnie pracować w swoim zawodzie, że nie mogą wychowywać najmłodszych członków społeczeństwa, tę jego chwałę, ale jeszcze znajdują się w stanie tak opłakanym, że nawet wyobrazić sobie tego przeciętny umysł ludzki nie jest w stanie. Są więzieni, internowani, głodni, umierają z tyfusu. To nie są frazesy, tylko niestety naga, faktami stwierdzona prawda. Mamy przecie nadzieję, że stosunki te się skończą i nasi bracia odetchną. My ze Lwowa przyjechaliśmy tutaj, ale przyjechaliśmy naprawdę z ciężkiem sercem, bo pozostawiliśmy tam w niepewności nietylko ro-

dziny nasze, ale i wychowańców naszych, uczniów naszych, których szeregi tak się już przerzedziły. Bo przecie niema dnia, niema godziny, ażeby szrapnele nieprzyjacielskie nie robiły bolesnej wyrwy właśnie w tych naszych rodzinach, właśnie w tych szeregach naszych wychowańców. (Głos na sali: Niech żyje bohaterski Lwów!). (Długotrwałe oklaski).

Serdecznie dziękuję za ten objaw. Spodziewałem go się, bo wiem, że byłoby to istotnie zaprzeczeniem, brakiem zrozumienia potrzeb istotnych polskich, byłoby również negacją wszelkich uczuć ludzkich, uczuć, któremi się przedewszystkiem ci odznaczać powinni, którzy wychowują pokolenia. Nie będę poruszał zadań, które nas czekają w trakcie obrad, ponieważ wszyscy jesteśmy ich świadomi. Zaznaczam tylko jedno, że przedewszystkiem będzie nam chodziło o ideowy pierwiastek pracy, ale nie pominiemy również i kwestji bytu materjalnego, bytu, który niewątpliwie w Polsce silnej będzie należycie traktowany. W Polsce silnej będzie dana sposobność nauczycielstwu, ażeby swobodnie, bez troski o chleb codzienny pracować mogło nad podwalinami, nad przyszłością Polski (Oklaski). Praca ta będzie naprawdę przyjemna, bo nietylko w naszych dziejach przedrozbiorowych, ale i w ciągu naszego męczeństwa mieliśmy dowody, że przedewszystkiem lud polski tej oświaty zawsze pragnął. Lud polski pragnie jej i dziś, z wielką radością stwierdzić to trzeba, bo kilka dni temu jeden z posłów ludowych powiedział wielkie, ważkie, rzekłbym, wiekopomne słowa: Cóż nam znaczy przydzielenie ziemi, jeśli młodzież będzie chować się w ciemnocie, jeśli oświaty nie będziemy mieli. (Cześć!... Oklaski). To jest właśnie otuchą dla nas, że nasza praca w społeczeństwie polskiem na marne nie pójdzie. Nie wątpię, że państwo, które jest świadome swoich zadań naprawdę wyjątkowych, że państwo nasze usiłowania poprze.

Dlatego też serdecznie dziękuję, że zaszczycił nasz zjazd pan Minister oświaty. Serdecznie dalej dziękuję, że reprezentowana tu jest komisja szkolna sejmowa, że wreszcie miasto, ta stolica wielkiej Polski, Polski Zjednoczonej, że Warszawa współczuje z nami, że Warszawa przysłała swoich reprezentantów. Cześć i podzięka. (Oklaski).

Nie będę nudził szanownych słuchaczy; zamknę te kilka słów życzeniem, ażeby nasze obrady odbyły się w harmonji, by niemi kierowała jedna wielka myśl, która kierować powinna czynami wszystkich obywateli w myślach, obradach i pracach dla Polski, dla jej teraźniejszości, dla jej przyszłości.

PRZEMÓWIENIE REKTORSKIE

Dostojne zgromadzenie!

Akt dzisiejszy, który, Panie i Panowie, zaszczycacie swą obecnością, jest tylko uroczystem wypełnieniem uchwał przez poszczególne Rady wydziałowe naszej Wszechnicy Jana Kaźmierzowskiej powziętych jeszcze przed miesiącami.

Nie mamy większych godności dla odznaczenia czy uczczenia mężów zasłużonych, jak powołanie ich w poczet naszych doktorów, jak udzielenie im dyplomów, na przyjęcie których zgodzić się raczyli, a które im za chwilę do rąk ich zastępców podamy.

Nieobecny jest między nami dostojnik kościoła, prymas zaprzyjaźnionej z nami Belgji, ks. kardynał Dezydery Mercier, ale niema tutaj chyba nikogo, któryby oczami ducha nie widział w tej chwili tego nietylko znakomitego męża nauki, ale — i to może najsilniej podkreślić trzeba, tego księdza-bohatera, tego nieustraszonego obrońcy, tak okrutnie, niedawno temu, nawiedzonej belgijskiej jego ojczyzny.

Pierwszorzędny przedstawiciel wiedzy teologiczno-filozoficznej, znany jest dobrze w kołach, poświęcających się tego rodzaju badaniom, znany i uwielbiany przez swoich uczniów, i po naszej rozsianych Polsce.

Ale znany i uwielbiany przez świat cały jest On przedewszystkiem właśnie jako ten, który do powszechnego należąc Kościoła w charakterze bezpośredniego sługi, umiał obowiązki syna tej szerszej dla niego ojczyzny, w cudowny połączyć sposób z obowiązkiem wobec najbliższego mu narodu, wobec

ziemi rodzinnej, wobec tej zawsze najlepszej, najdroższej Rodzicielki i Żywicielki; a mówię „cudowny", ponieważ jego poświęcenie dla męczonej przez wrogów ojczystej Belgji z jego własnem graniczyło męczeństwem. I za to niecofanie się przed groźbą, za ten brak trwogi przed tem męczeństwem podziwia go świat, a my z tym podziwem łączymy jeszcze najgorętszą miłość, albowiem wiernego mieliśmy i mamy w nim przyjaciela.

Walcząc o swobodę i niezależność własnego narodu, pragnął swobody i niezależności naszej. I w tem pragnieniu streszcza się to, co najprawdziwszą, najwierniejszą zowiemy przyjaźnią. Siał nam w najcięższych dla nas godzinach potężne, do nieugiętej walki zachęcające wyrazy otuchy i nadziei i te mistyczną swoją mocą ku niechybnemu prowadziły nas zwycięstwu. Oto zaledwie wzmiankowane przezemnie tytuły, dla których uniwersytet nasz pozwolił sobie zaliczyć go do swoich doktorów.

Obyczajem, praktykowanym od stuleci, który w porządku występów publicznych pierwsze po teologji wyznacza miejsce Radzie Wydziału prawniczego, przechodzę do dwóch historycznych postaci, których imiona zapisane będą na wieki wieków w księdze dziejów, albowiem oni to umieli w niezapomnianym krwawym boju prawa z bezprawiem wywalczyć triumf temu, co uszlachetnia, podnosi, buduje i utrwala, nad tem, co plugawi, upokarza, depce i niweczy. Czyż jest ktokolwiek z uznających potrzebę swobody, jako kardynalnego warunku, iżby ludzkość życiem mogła żyć ludzkiem, któryby nie pochylił czoła z podziwu i wdzięczności, usłyszawszy dwa hasłowe nazwiska: Foch i Raimond Poincaré?

Czyż jest ktokolwiek z zdających sobie sprawę z innego obrotu rzeczy, aniżeli ten, który stał się lub jeszcze staje się następstwem tej tak okrutnej wojny — czyż jest ktokolwiek

z obdarzonych wyobraźnią, któryby nie uczuł ulgi w swej duszy ludzkiej, że owym, zdawało się, bliskim skutkom hańbiącym i zabijającym zapobiegły na długie czasy wojenny genjusz marszałka Francji, Focha, i nieprześcigniony rozum polityczny ówczesnego prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej, a dziś prezydenta jej ministrów, Poincare'go.

Byli i w naszej Polsce ludzie krótkowzroczni, którzy niewątpliwie w dobrej wierze doszukiwali się zwycięstwa dla nas w zwycięstwie odwiecznych nieprzyjaciół, ogół jednak odczuwał i rozumiał, świadomie czy instynktownie, to rzecz obojętna, że nie ten, który dzieciom naszym wyrywał język, który je niemiłosiernym katował harapem, który braci naszych z polskiej wyganiał dzierżawy, który bezprawnemi, wszelkie prawidła ludzkie depcącemi ustawami wyrzucał nas z naszych obejść, spędzał nas z naszych zagonów, — że nie ten, jak mówią, wróg dziedziczny, odbuduje i odda nam to, co sam zburzył i ukradł, jeno że z chwałą, odrodzeni i wolni, pojawimy się na arenie świata dzięki triumfom tej tak nam bliskiej, a tak zawsze wiernej Francji, dzięki zwycięstwom dzielnego jej miecza i jej przewidującej mądrości.

Foch, nietylko wojownik i wódz, ale i głośny pisarz w rzeczach strategicznych i administracyjno-wojskowych; Poincaré, znakomity polityk i autor prac jurydycznych, publicysta, który do ostatniej chwili głębokiemi artykułami uzasadnia światu swój tak przyjazny dla nas stosunek — obaj, rozumiejący, że wielkość Francji złączona jest ściśle z wielkością Polski, bo dla jednej i drugiej wspólny zażarty jest wróg, czyhający na ich upadek z niesłychaną czujnością, nie przytłumioną nawet klęską wojenną — obaj, Poincaré i Foch stają się z dniem dzisiejszym chlubą naszego uniwersytetu — dwaj nieustraszeni, mądrzy, namiętni wyznawcy prawa i prawnych porządków obrońcy.

A Rada wydziału medycznego, o której teraz kolejno wspomnieć mi należy, obdarza godnością doktora swej dyscypliny p. Herberta Hoovera, ministra handlu St. Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Jakież prawo ma do tego człowiek, który nigdy nie wykonywał praktyki lekarskiej w znaczeniu powszechnie przyjętem?

Ma on do tego prawo najbardziej uzasadnione, albowiem jego miłość do ludzi i z tą miłością związane, z miłości tej wypływające miłosierdzie najlepsze, najskuteczniejsze przyniosło lekarstwo głodującym dzieciom naszym, kromkę chleba i kubek mleka, które w tych tak niedawnych, a tak ciężkich czasach ratowały je od śmierci.

Nie będę tutaj uciekał się do sofizmatu o szerzeniu i utrwalaniu przezeń, wymogów hygjenicznych, wystarczy powiedzieć, że wydatna opieka jego przysporzyła nam przyszłych obywateli, którzy we wdzięcznej mając pamięci swego dobroczyńcę w czasach ich dziecięctwa, będą, dorósłszy, w razie potrzeby, a potrzeba ta niestety chyba nigdy ziemi nie opuści, szerzyć dalej jego ideały.

Wdzięczny mu jest nasz uniwersytet i czci go swym doktoratem: wdzięczny jest mu cały naród i stawia mu pomnik w stołecznej Warszawie, iżby świadczył po wieki, iż naród ten umie dać wyraz hołdu swemu prawdziwemu przyjacielowi.

Prawdziwym przyjacielem naszym okazał się inny Amerykanin głośny historyk, profesor uniwesrytetu w Cambridze w stanie Massachusets, Robert Hovard Lord. Nie dopiero wojna i nie złączone z tą wojną poczucie sprawiedliwości wobec ludów ciemiężonych popchnęło go do zajmowania się naszemi losami. Stało się to jeszcze dawniej, a stało się z ogromnym dla nas pożytkiem, albowiem w słynnej księdze swojej o zaborze Polski umiał wobec narodów zachodnich, do nie-

dawna tak mało nas znających, w przenikliwy udowodnić sposób, że wymazanie Ojczyzny naszej z politycznej mapy Europy najpospolitszą było zbrodnią.

Umiał wykazać, że przeszłość nasza nikogo do zbrodni tej nie upoważniała, umiał głosić wbrew pojęciom niektórych szkół historycznych, że był czas, kiedy Polska do najwspanialszych należała narodów. Jeszcze w ostatniej swojej rozprawie dotyczącej Polski, a umieszczonej w dziele o niektórych problematach pokojowych, mógł dumnym z swego poczucia swobody anglosasom powiedzieć, że takie poczucie miała Polska już w wieku szesnastym, że konstytucje jej w onym czasie nie miały sobie równych na świecie. On też jako doradca Wilsona bronił na paryskiej konferencji pokojowej praw naszych terytorjalnych. Praw, dotyczących także i wschodniej Małopolski, tej dzielnicy, której życie umysłowe, tak nierozerwalnie spojone z naszem życiem społecznem, ześrodkowuje się w murach tej naszej polskiej wszechnicy.

Gościł go niedawno temu Lwów, gościł go w dniach, kiedy się wyswobadzał od najeźdźców, a dzisiaj pamięć niepospolitego uczonego, wielkiego obrońcy praw naszych, wznawia oto przed wami, wraz pamięcią innych naszych znamienitych druhów uroczystym aktem dzisiejszym nasz uniwersytet. Źle mówię „wznawia", bo dusze i czyny ich tak są wspaniałe, iż żyją w naszych duszach mocą nieuszczuploną, iż wieść o nich przekazywać będą wdzięczne, radujące się niemi najdalsze pokolenia.

PRZEMÓWIENIE NA AKADEMJI KU CZCI MARCINKOWSKIEGO

Dostojne zgromadzenie!

Rzecz prosta, że zaszczycony wezwaniem — za co serdeczne dzięki składam prezydentowi miasta — abym w ten dzisiejszy wieczór uroczysty z tego właśnie przemawiał miejsca, nie będę przytaczał szczegółów biograficznych wielkiego męża, boć przecie niema dzisiaj pomiędzy zebranymi tutaj chyba nikogo, któryby ich nie znał. Chwalebny obowiązek przypomnienia ich spełniły wydane codopiero broszury, spełniły go w sposób wyczerpujący czasopisma i dzienniki, a że w tej starej ziemi piastowskiej nie wie się, chwała Bogu, o tem, co znaczą analfabeci, więc też byłoby to przynoszeniem sów do Aten, byłoby przesiewaniem ziarna, tak doskonale już przesianego.

Zdawałoby się, na pierwszy rzut oka, że święto dzisiejsze jest świętem dzielnicowem, że Karol Marcinkowski sadząc drzewo swoje na niwie poznańskiej, sadził je wyłącznie z myślą o Wielkopolsce. Zdawałoby się dlatego, że skutkiem wyjątkowych stosunków, wynikających z trójrozbioru, drzewo jego w tej właśnie dzielnicy najcudowniej się rozrosło i najcudowniejsze wydało owoce.

Nie potrzebuję dzisiaj zaręczać, że — jeżeli nawet idzie o stronę formalną — nie brak dzisiaj w najodleglejszych województwach ludzi, którzyby nie zdawali sobie z tego sprawy, że ideje, głoszone ongi i wprowadzane w czyn w niezupełnie może znanym dla nich czasie i przez męża o niecałkowicie dostępnem dla nich imieniu i nazwisku stały się dzisiaj zasa-

dniczemi, wskazaniami związanemi z ustaleniem naszego bytu narodowego; stały się niedającym się zaprzeczyć, a więc kategorycznym, absolutnym warunkiem, bez którego nie można sobie wyobrazić Polski, jako samodzielnego, potężnego mocarstwa.

I otóż to nie kto inny, tylko Karol Marcinkowski zrozumiał w swej epoce najlepiej ze wszystkich, że bądź co bądź słabe przebłyski Konstytucji Majowej trzeba w ogromne rozniecić światło, że życia narodu nie można utożsamić z życiem tego czy owego stanu, tej czy owej kasty, jeżeli wolno mi użyć określenia, które albo już przebrzmiało, albo przebrzmiewa, do rychłego zbliża się końca, ale iż prawdziwy, celów swoich świadomy byt narodu jest niczem innem, jak tylko harmonijnym zespołem wszystkich sił ogółu i że ten ogół będzie bezkształtną, pierwiastków twórczych pozbawioną, niespołeczną, czy przeciwspołeczną masą — rudis indigestaque moles — jeżeli nie nauczy się, mówiąc krótko, czytać i pisać.

Wiedział, że umiejętność czytania i pisania zmienia pastucha w obywatela. I myśl ta zmieniła się w pierwszy wielki czyn człowieka, którego prochy śmiertelne z skromnej wykopano mogiły i w kamiennem złożono mauzoleum. A złożono je dlatego, ażeby nietylko w duszy i w umyśle narodu tkwiąca wieczysta świadomość nieśmiertelnego dzieła, ale iżby i te zewnętrzne kształty monumentalnego grobowca głosiły do końca, a bez końca, czyje w sobie ukrywają prochy.

Podkreśliwszy ten dla nas najprymitywniejszy dzisiaj wskaźnik, że oświata jest zasadniczą podstawą narodowego bytu, stworzywszy Towarzystwo Pomocy Naukowej, które wychowało niemal całą tak zwaną inteligencję wielkopolską i które do dziś dnia wybitnem jest źródłem wychowania, Marcinkowski umiał pojęcie oświaty rozszerzyć i pogłębić.

Jako istotny człowiek nowożytny, człowiek dzisiejszy,

wiedział, że ze szkoły powinni wychodzić nietylko przyszli uczeni, apostołowie nauk abstrakcyjnych, oderwanych, ale że nic obniża się, nie obraża majestatu Wiedzy, jeżeli się ją zaprzęga w Rydwan postulatów realnych, związanych z najpospolitszemi, praktycznemi, codziennemi wymaganiami życia.

Wiedział dalej, że bez ogólnego dobrobytu naród zostanie zbiorowiskiem nędzarzy, że naród z takiego składający się zbiorowiska nigdy nie będzie miał świadomości swych celów, pozostanie ślepym na swą odrębność, że pozbawiony środków, ażeby do tej ślepoty nie dopuścić, nie oprze się naporowi tych na byt jego wiecznie czyhających wrogich żywiołów, które dawno przed nim bielmo to z oczu swych zdjęły i wszelkiemi dążą siłami, ażeby z takiego, odrębności swej nieświadomego zbiorowiska, z takiej pospolitej, chamskiej czeredy uczynić swego uległego pachołka, pokornego służalca.

Głosząc potrzebę wydoskonalenia się w rolnictwie, kupiectwie czy przemyśle, wiedząc, że niezbędny jest inżynier, lekarz, adwokat, doskonały w swym rzemiośle szewc czy stolarz, nie myślał on, jak się powszechnie mówi o podniesieniu czy stworzeniu stanu trzeciego, bo takie pojęcie jest obraźliwe, bo takie pojęcie może znowu wskrzesić ograniczone, sobkowskie, upokarzające się zacieśnienie stanowe, a jeno pragnął otworzyć świeże widnokręgi pracy społecznej, pragnął wychować świeżych obywateli, może i lepszych od tych, którzy, historycznie wziąwszy, aż po czas upadku rządzonej przez nich Rzeczypospolitej i w dalsze jeszcze lata po tym upadku stanem swoim się chełpili i niejednokrotnie, podkreślając rzekomą wyższość tego tak zwanego stanu, grozę upadku tego jeszcze potęgowali.

Łatwo państwo zrozumiecie, że w ten sposób patrząc na nieunikniony rozwój historycznego życia, że świadom nie-

uniknionej ewolucji stał się Karol Marcinkowski wyobrażeniem tej demokracji, którą dzisiaj Polska wciela w życie prawdziwej demokracji. A demokratą w nowożytnem, dzisiejszem pojęciu stał się nietylko dla tego, że — fizycznie — pod skromnym podmiejskim urodził się dachem, nie dlatego, że patrzał na ciężką pracę ukochanej matki, nie dlatego, że sam w trudnych bardzo warunkach zdobywał sobie ogromne zasoby wiedzy, którą obracał na ocieranie łez cierpiącej braci, ale stał się nim z powodu, że z pod tego przedmiejskiego dachu wyniósł prawdziwie chrześcijańskie pojęcie, iż ludzie, jako synowie boży, są sobie równi, a jeżeli z czasem, dzięki tym czy owym warunkom, zatracili poczucie synowstwa bożego, to trzeba im to przypomnieć i w nich to rozwinąć.

Demokratą stał się dalej z tej przyczyny, ponieważ już w skromnej izbie rodzicielskiej nauczył się, mając przykład w Ojcu-legjoniście, rozumieć potrzebę wskrzeszenia Polski — dla wszystkich jej synów.

Zresztą jako syn takiego bohaterskiego ojca i syn takiej szlachetnej matki przyszedł już na świat prawem dziedzictwa, z warunkami takiego zrozumienia. Zaś warunki te, warunki takiego powstania Polski rozszerzył, patrząc na to, co od wielkiej rewolucji francuskiej działo się naokoło niego.

Gdyby nic więcej, jak tylko sam realny dach podmiejski stał się rodzicem jego wyobrażeń społecznych, kto wie czy nie wyrósłby on nie na apostoła demokracji, a jeno na popieracza ochlokracji — bo przykładów tego skrzywienia pojęć nie brakło i za jego dni nietylko poza granicami Rzeczypospolitej, ale i w znanych mu kołach emigracyjnych polskich.

Uniknął przecież tego skrzywienia w sposób, w skutkach dla nas owocny. Zrozumiał i zrozumienie to przekazał pokoleniom, że mówiąc drastycznie nie parobek czy zamiatacz ulic ma dzierżyć władzę dlatego jedynie, że jest parobkiem lub

zamiataczem ulic, ale dlatego, że drzemią w nim takie siły moralne i umysłowe, że ma tak jasne spojrzenie na świat i jego sprawy, iż te właśnie nie stanowe, lecz ogólnoludzkie kwalifikacje uprawniają go do kierowania tą czy inną nawą polityczną czy społeczną.

A już nikt nie tylko nie wykluczy ich syna od stołu wspólnej biesiady narodowej ale pierwsze przy stole tym wyznaczy mu miejsce, jeżeli ten syn tak zwanego dziś modnie proletarjusza rozumem i sercem, zdolnościami i prawością przewyższy innych.

Ale od tego stołu nie wykluczał Karol Marcinkowski i sfer, które uważały się par excellence za pierwszych — nietylko pod względem towarzyskim, ale i pod względem społecznym w narodzie. Nie wykluczał ich, jeżeli widział, że przedstawiciele tych sfer umieli pozbyć się uprzedzeń stanowych, jeżeli apel do ich umysłu i serca odpowiedni znalazł w nich oddźwięk. Świadczą o tem nazwiska Maciejów Mielżyńskich, Karolów Stablewskich, Dezyderych Chłapowskich, Potworowskich i innych, którzy mieli ten zaszczyt współpracowania z Marcinkowskim, którzy mieli ten honor nazywania się przyjaciółmi człowieka, urodzonego w niezamożnym domu podmiejskim.

Pokutuje do dziś dnia tu i ówdzie nazywanie działalności Marcinkowskiego pracą organiczną. Najwyższy czas, ażeby zerwano z tem określeniem nie tylko arcyfilisterskiem, ale i szkodliwem, ponieważ nomenklatury tej używa się jako taranu przeciw naszym ruchom powstańczym. A przecież ruchy powstańcze były naturalnym wypływem duszy polskiej, duszy bohaterskiej, wiedzącej bardzo dobrze, że bez miecza, jak to okazała Wielka Wojna, nie odzyskalibyśmy niepodległości, nie odzyskalibyśmy swobody, że to, co stworzyła i stwarza ta tak zwana praca organiczna nie wystarcza jeszcze, aby utrwalić byt narodu.

Czuł to dobrze i Marcinkowski, i dlatego sam, jako jeden z pierwszych pospieszył w szeregi listopadowe.

Kończę, bo dawno przekroczyłem przyjemny zresztą nakaz ograniczenia się do pięciu minut, a pozwoliłem sobie przekroczyć ograniczenie to, korzystając z prawa gościnności, jakiej mi dzisiaj użyczono.

Kończę jeszcze jednem, już naprawdę ostatniem słowem: Jeżeli mówi się o „zwłokach", to samo przez się nasuwa się cmentarny, pogrzebowy wyraz „żałoba". A przecież wyraz ten zmienia się dzisiaj w radość i wesele: w radość i wesele dla tego, że żyje w nas świadomość wielkości nieśmiertelnego mieszkańca nowego mauzoleum, że żyje w nas potrzeba otaczania wdzięcznością pamięci nie tylko wspaniałego Poznańczyka, ale pamięci wspaniałego Polaka.

KORESPONDENCJE
Z CZASÓW STUDENCKICH

I.

Wrocław, 29. grudnia 1885.

Pseudocywilizacja i powaga w zapasach z żywiołem polskim. Stronnictwo ultramontańskie. Zjazd śląskich katolików w Glinicach. Wrocławski komitet wyborczy. Towarzystwo górnośląskie. Życie i towarzystwa młodzieży akademickiej.

Zanim przejdę do zanotowania specjalnych objawów życia na Śląsku, niech mi wolno będzie rozpocząć niniejszą korespondencję kilkoma uwagami obszerniejszej treści.

Prowincja nasza będąca od kilku wieków bojowiskiem dwóch obcych sobie żywiołów, niezbyt wesoły przedstawia widok. Z jednej strony nieodrodni potomkowie żelaznych krzyżowców, podszywający się pod skórę cywilizacji; z drugiej zaś strony spokojne, dobroduszne plemię słowiańskie, zginające się pod ciężkiem jarzmem, nakładanem nań przez cywilizatorów.

Walka bezwarunkowo nierówna; gdy bowiem obóz napastowanych składa się tylko z masy poczciwej ale ciemnej i bez odpowiednich środków materjalnych, do tego od wieków prowadzonej na sznurku bezwzględnej uległości przed tem, co się nazywa powagą, w jakiejkolwiekbądź formie takowa się objawia, czy to pod mundurem nadętego junkra, czy też płaszczem jezuity, — łączy w sobie falanga napastujących siły, uzbrojone dostatnio, posiadające nietylko taką broń, jak kapitał, który w dzisiejszych czasach najlepszym jest obuchem,

ale i to, co imponuje deptanym masom: świetne pozory cywilizacji i powagę. Cywilizacja, a przedewszystkiem powaga, mają tutaj swych najgłówniejszych wyobrazicieli w „panach“ i księżach; nie dziw więc, że to „być albo nie być“ ludu polskiego od tych właśnie sfer zależy, jako bezpośredni mających z nim związek. Naturalną jest rzeczą, że dwa te żywioły wspólnym związane interesem, idą ręka w rękę, a rekrutując się w przeważnej części albo z dawno osiadłych „urgermanów“ żywiących wrodzoną nienawiść do wszystkiego, co słowiańskie lub też ze słowian, zniemczonych od kilku pokoleń, stawiają się wrogo przeciw każdemu objawowi życia polskiego. Rząd, uciekający się, w celu przeprowadzenia swej *ultimae rationis* do takich nawet środków, jak ostatnie tłumne wydalania, znajduje w tych sferach wiernych i niebezpiecznych dla nas sojuszników, tem niebezpieczniejszych, bo udających, jeżeli tego potrzeba, naszych przyjaciół. Dzieje choćby ostatnich tygodni dostarczają nam tyle materjału na dowód tych twierdzeń, że trudno by nam było przedmiot dostatecznie wyczerpać. Wspomnijmy też tylko o kilku faktach, świadczących aż nadto o „sympatjach“, żywionych ku nam przez tutejszych ultramontańskich możnowładców i księży, o sympatjach, które tyle razy poręcza nam „Schl. Volkszeitung“, organ znanego wam z pewnością polakożercy Franza, a nad któremi niejednokrotnie rozczulały się „poważne“ pisma poznańskie, jak „Dziennik“ i „Kurjer“.

Rozpocznę od drobnego na pozór faktu, ale charakteryzującego dosadnie dążności partji ultramontańskiej, która się tak często zaklina na wszystko, co jej świętem, że nią zawsze kieruje poczucie sprawiedliwości wobec uciemiężonych, — faktu, który sam przez się udowadnia, że ci „obrońcy prawa bożego“ gotowi w danej chwili podeptać to prawo, gotowi, w celach germanizacyjnych, oddać się rządowi nawet w ko-

ściele i w razie słusznej opozycji, wyprawić komedję nawet przed ołtarzem. Mówię o zajściu jakie swego czasu wydarzyło się w Niemieckich Piekarach, mieście, którego ludność w przeważnej części, a okolica zupełnie jest polską. Otóż, w kościele tamtejszym używano od wieków podczas nabożeństwa śpiewów polskich; okoliczny lud szedł sobie do kościoła z psałterzem Kochanowskiego i modlił się po swojemu. Niepodobało się to jednakże tamtejszemu kuratusowi czy proboszczowi ks. Sobocie, nuże tedy w zapędzie cywilizatorskim rugować „rubaszny" język, a zaprowadzać na jego miejsce „gładką" ucywilizowaną szprachę niemiecką. Znalazł on w tym celu znakomitego poplecznika w osobie swego kapelana, który, widząc jak mała drużyna zainaugurowanych śpiewaków została przygłuszoną przez chór chłopów polskich, posunął się w swym kaznodziejskim zapale, aż do wyrazów, godnych karczmy, nie świątyni.

I znany wam zapewne zjazd śląskich katolików w Glinicach, nie odbył się bez epizodów, w których dzielni szermierze germańskiej kultury naciągali swe łuki przeciwko bezbronnym słowianom. Już samo zwołanie zjazdu do Glinic, położonych w okolicy nawskróś polskiej, miało być demonstracją w imieniu budzącego się tu i ówdzie ducha niemieckiego. Nie taili się z tem zresztą sami ojcowie zjazdu: hr. Ballestracm, ks. Tranz, von Schalscha i inni przywódcy śląskiego ultramontanizmu, lecz owszem zaznaczyli przez usta prezydującego z „przyjemnością" ten fakt, że udało im się zjechać do Glinic. W toku obrad sypały się z ust naszych „sprzymierzeńców", jak z procy denuncjacje przeciw wymarzonej agitacji wielkopolskiej, będącej znanem hasłem żelaznego księcia, jeżeli chodzi o podeptanie jakiego przynależnego nam prawa; sypały się twierdzenia nadzwyczaj śmiałe, że lud górnośląski jest „gut Deutsch", chociaż częstokroć po niemiecku wcale nie

rozumie; zaklinano się, że katoliccy mężowie Śląska nigdy nie pozwolą na to, aby między tym ludem starał się ktoś kolwiek szerzyć „panslawizm“ czy też „panpolonizm“ i tem samem chciał go oderwać od niewzruszonego pnia *des grossen und einigen Vaterlandes*. Czyż charakterystyczne wystąpienie ks. Franza podczas obrad nad ostatnim punktem uchwalonego tamże programu, nad punktem, tyczącym się języka wykładowego w szkołach, nie powinno ostatecznie otworzyć oczu tym wszystkim z inteligencji polskiej nietylko w Śląsku ale i w Księstwie, którzy tak bardzo wierzą w stałość i szczerość ultramontańskich sojuszników? Nie można wymagać od rządu, aby w szkołach, do których uczęszczają w przeważnej części dzieci pochodzenia słowiańskiego, pozwolił na wprowadzenie języka polskiego, resp. czesko-morawskiego; przekraczałoby to zakres politycznej możliwości i rzuciłoby na centralistów światło, w którem by się mógł rząd dopatrzeć niezupełnie lojalnych twarzy i dla rzucanych przez się insynuacyj, jakoby stronnicy centrum nie dosyć byli patrjotami, mógłby w tem żądaniu znaleźć ugruntowanie; wystarczy wykład jednego przedmiotu, t. j. religji w odpowiednim języku; zresztą język polski nie jest językiem cywilizacyjnym, nie jest językiem nadającym się do pracy naukowej, — oto kwintesencja wywodów tego „sympatycznego“ polakożercy w sutannie, tego apostoła znanej u nas aż nadto łagodnej germanizacji i wynarodowiania za pomocą środków „godziwych“ tego sprawiedliwego obrońcy uciśnionych.

Cóż dopiero powiedzieć o szlachetnej strategice, zastosowanej przez wszechwładny komitet wrocławski podczas ostatnich wyborów? Górny Śląsk, posiadający przeszło miljon polskiej ludności i wysyłający do sejmu jednego tylko niekatolickiego posła, wskutek dawnego kompromisu z konserwatywnymi, zdobył się dotychczas na dwóch tylko posłów,

którzy mają odwagę bronić szczerze i otwarcie interesów ludu polskiego, na pp. majora Szmulę i sędziego Lechotę. Obaj ci panowie, złożywszy niejednokrotnie dowody swej prawdziwej sympatji ludu z którego wyszli, wypadli przez to samo z łaski tutejszych przywódców. Jednego z nich, Lechotę, tak przyparło do ściany, że zamierzał pierwotnie złożyć swój mandat. Posłował on dotychczas z okolic hutniczych, znając dobrze stosunki robotników tamtejszych fabryk, wyzyskiwanych nietylko materjalnie, ale i uciskanych pod względem moralnym, bronił zawsze interesów swych wyborców w sposób, godny reprezentanta ludu, zaznaczając niejednokrotnie w sejmie ich smutne położenie. Tem samem ściągnął na siebie zarzut, jakoby podburzał lud przeciwko swym chlebodawcom, zarzut, który uczyniono także „Katolikowi", grożąc mu zabiciem na owym zjeździe i, dzięki agitacjom jeneralnego zarządcy majątków hrabiego Schaffgotscha, p. Erbsa z Bytomia, jednego z wybitniejszych działaczy pośród tamtejszych ultramontanów, oświadczył, że dalej posłować nie będzie, nie chcąc narażać swych wyborców na utratę chleba, gdyby, mimo nacisku z góry, mieli głosować na niego. Wkrótce jednak zamiar swój cofnął i został postawiony przez centralny komitet wrocławski na kandydata już nie w okręgu bytomskim, lecz w okręgu wielkostrzeleckim, którego ludność jest rolniczą — wobec stosunków, których wcale nie poznał. Tymczasem majora Szmulę, obeznanego właśnie z kwestjami agrarnemi, obracającego się dotychczas tylko pomiędzy ludnością wiejską, postawiono w okręgu hutniczym, w okręgu bytomskim, skąd dotychczas posłował p. Lechota. Jeżeli się przytem zważy, że oba te okręgi uważane były za najmniej pewne, to trzeba nam bezwarunkowo przyjść do tej konkluzji, że szanowny komitet centralny, nie mogąc usunąć niemiłych sobie posłów na drodze jawnej, pragnął w ten sposób zwichnąć

im nogę. Istotnie, szlachetne i godne chrześcijańskich mężów postępowanie.

Przytoczyliśmy kilka tych faktów, aby szanowny czytelnik, mniej obeznany ze stosunkami Górnego Śląska a łudzony przez zbyt może optymistycznie patrzące dzienniki, przynajmniej częściowego nabrał wyobrażenia o taktyce, jakiej przeciwko nam używają nasi najserdeczniejsi. Jeżeli zaś zajmowaliśmy się tutaj silną tylko partją, to uczyniliśmy to dlatego, ponieważ frakcja centrum na Górnym Śląsku najpotężniejsza, jak tego zresztą i ostatnie dowiodły wybory, i złączona z ludem, posiadającym bardzo mało poczucia plemiennej godności, jednym z najsilniejszych węzłów w danych warunkach, wspólnością wyznania, największe na niego wywiera wpływy. Inne partje, wobec tej potęgi oddziaływania na lud, zupełnie znikają. O represaljach zaś z bezpośredniej strony rządu nie wspominamy, ponieważ charakter ich nie różni się niczem od charakteru środków, używanych w Księstwie, a znanych szanownym czytelnikom „Kraju“ z korespondencyj specjalnego sprawozdawcy poznańskiego. Partji specyficznie polskiej niema; w niektórych tylko miejscach zaczęły się śmielsze podnosić głowy przeciw uroszczeniu niemców i zaczęły rozbudzać w sercach ludu ogień, który zdawał się już dawno przygasać zupełnie. Nielicznego zresztą zastępu takich osobników dostarczyło w ostatnim czasie przeważnie „Towarzystwo górnośląskie przy uniwersytecie wrocławskim“.

„Towarzystwo górnośląskie“ — tu przechodzimy do stosunków wrocławskich — założone zostało przed kilku laty dzięki staraniom pewnej garstki młodych ludzi, czujących potrzebę utworzenia instytucji, któraby wypełniała braki wychowania szkolnego pod względem językowym. Wiadomo, że język polski nie należy tutaj do przedmiotów obowiązujących, ale bywa w niektórych gimnazjach wykładany, jako

przedmiot fakultatywny, i to przeważnie dla tych, którzy się zamierzają poświęcić studjom teologicznym. Że nauka jego, przy nader ograniczonej liczbie godzin wykładowych (2 tygodniowo) i przy braku specjalnego wykształcenia wykładających go nauczycieli, idzie bardzo licho, rzecz to więcej niż naturalna. Towarzystwo to, zajmując się wypełnianiem tych braków, ucząc się literatury i czytając najcelniejsze utwory naszych autorów, przyczynia się niemało do podniesienia swych członków pod względem plemiennej godności, zwłaszcza, że większa część Górnoślązaków, wychowana w szkołach niemieckich i przywykła do słuchania ciągłych bauialuk, zwykłych u chełpliwych kulturtregerów, że Polacy są narodem barbarzyńskim, że żadnych nie posiadają płodów duchowych, godnych, aby się niemi zajęto, dlatego przechodzi na stronę urgermanów, ponieważ widzi w nich wyższość cywilizacyjną. Ponieważ dalej, wstęp do towarzystwa nie jest zamknięty i dla Wielkopolan, kształcących się przy tutejszej wszechnicy, a posiadających naturalnym sposobem rozwinięte poczucie narodowe, zawiązują się pomiędzy nimi a Górnoślązakami nierzadko stosunki przyjacielskie i niejeden z tych ostatnich poświęca się z zapałem sprawie własnego ludu. Wprawdzie szereg „narodowców“ nie jest zbyt liczny; wielka część członków nie nazywa się jeszcze Polakami, ale tylko „polnisch sprechende Oberschlesier“, bojąc się, aby otwarte przyznanie się do sprawy potępionych, nie szkodziło im w późniejszej karjerze, zwłaszcza, że „obrońcy“ ludu na Górnym Śląsku i w sprawy towarzystwa wciskają nierzadko swe nosy, wietrząc prądy niezgodne z ich programem; bądź co bądź jednakże, towarzystwo górnośląskie jest stosunkowo dobrodziejstwem i może niejedną wyświadczyć przysługę interesom słowiańskim. Tyle nadziei co do spraw górnośląskich.

Z życia tutejszych Polaków niewiele mam do zanotowania;

toczy się ono spokojną falą, bez tej gry różnorodnych kolorów, któreby pozwoliły kronikarzowi, zamiast podzielenia się z łaskawym czytelnikiem suchem sprawozdaniem, stworzyć barwniejszy obrazek. Koncentruje się ono przeważnie w tutejszych towarzystwach polskich, których oprócz „górnośląskiego“ jest tutaj aż dziewięć: poza uniwersytetem „towarzystwo przemysłowców polskich“ i „towarzystwo handlowe“; przy uniwersytecie zaś „towarzystwo literacko-słowiańskie“, „towarzystwo medyczne“, „towarzystwo filozoficzne“, „towarzystwo Hozjusza“, „kółko towarzyskie“, „czytelnie dzieł nowszych“ i „czytelnia akademików Polaków we Wrocławiu“. Wobec tej liczby towarzystw polskich, w mieście tak niemieckiem, jak nasze, mogłoby się istotnie zdawać, że życie jest nadzwyczaj ruchliwe. Tymczasem tak nie jest; w towarzystwach, mianowicie akademickich, skarżono się niejednokrotnie na ogólną ospałość i oziębienie. Zwłaszcza literacko-słowiańskie pod tym względem celuje. Może być, że winny temu i prawa towarzystwa, ścieśniające nadzwyczaj zakres jego działalności; wykłady bowiem wolno tylko miewać z literatury i historji słowiańskiej — swoją drogą pole szerokie, ale nieprzydatne dla członków, z których nadzwyczaj mała liczba poświęca się slawistyce i wogóle językom. Przeważna część bowiem tutejszych akademików poświęca się studjom medycznym, naukom przyrodniczym, prawu — a najmniej filologji.

Naturalną jest rzeczą, że wykłady z dziedziny literatury lub historji opracowywane przez niespecjalistów, muszą być tylko dorywczemi, pobieżnemi i wiele zajęcia budzić nie mogą. To też żadne posiedzenie odbywające się co tydzień w jednem z audytorjów uniwersyteckich, nie trwa dłużej nad godzinę: przy odczytach i krytykach rzadko kto zabiera głos; odczyty krytyki traktowane po gimnazjalnemu, nie mogą przynosić

jakichkolwiekbądź korzyści, przebrzmiewają też zupełnie niepostrzeżenie. Kwestji z ogólniejszego pola wiedzy traktować nie wolno; zagadnienia palące, któreby mogły każdego, medyka i filologa zająć, mianowicie zagadnienia z socjologji etc., uważane bywają za herezję, za bunt przeciwko pięćdziesięcioletniej tradycji (w przyszłym latowym semestrze święci towarzystwo pięćdziesiątkę i wydaje ku uczczeniu tej rocznicy książkę jubileuszową), w którą się zgrzybiałe towarzystwo uzbraja przy każdej sposobności. Natomiast, dobrodziejstwem dla tutejszej młodzieży jest „czytelnia". Założona przed rokiem, rozwija się dotychczas dosyć pomyślnie; posiada własny swój lokal w bliskości uniwersytetu i zgromadza codziennie sporą liczbę akademików, zbierających się tutaj na czytanie dzienników politycznych, czasopism beletrystycznych i naukowych, których spora liczba wyłożona na stole. Czytelnia posiada pewną supremację nad innemi towarzystwami, które wchodzą w jej skład (wszystkie, oprócz „górnośląskiego" i „filozoficznego", założonego przed kilkoma tygodniami), posiada wspólną kasę, wspólną bibljotekę, załatwia korespondencje z towarzystwami innych miast uniwersyteckich. Za jej staraniem odbył się zjazd akademików po uniwersytetach niemieckich w dniach 15 i 16 października, w którym prócz Berlina i Wurzburga brali udział reprezentanci wszystkich uniwersytetów niemieckich, gdzie studjują Polacy. O zjeździe samym i zadaniu tych zjazdów, na przyszły raz — również i o innych tutejszych towarzystwach, ponieważ korespondencja i tak już przekroczyła zwykłą miarę. Wspomnę tu jeszcze tylko o jednem towarzystwie, t. j. o „towarzystwie Hozjusza", założonem w przeszłym zimowym semestrze, dzięki staraniom jakiegoś Galicjanina, który się tu poświęcał studjom prawniczym i teologicznym. Ma ono na celu opozycję przeciw „liberalizującym" prądom Wielkopolan (łączyło ono tak nazwanych,

w przeciwieństwie do zachodnio-prusaków, należących do tow. Hozjusza) i łączy w sobie naturalnie żywioły wsteczne. Że towarzystwo to nie dla naszego gruntu, okazuje się to dziś, ponieważ liczy ono obecnie coś około 6 czy 7 członków.

II.

Wrocław, 20 czerwca 1886.

W czytelni tutejszego stowarz. akademików Polaków odbyła się rewizja, mająca na celu wydostanie akt, dotyczących przeszłorocznego zjazdu akademików Polaków w Gnieźnie. Podobne rewizje odbyły się także w stowarzyszeniach akademickich polskich przy innych uniwersytetach. Pomimo, że nic nie znaleziono, wkrótce i do nas nadszedł nakaz rozwiązania stowarzyszenia. Senat uniwersytecki oparł się temu rozporządzeniu, motywując swój opór tem, że działalność stowarzyszenia nic wspólnego z agitacją polityczną nie ma. Niewiadomo jeszcze, czy protest władz odniesie jakikolwiek skutek. Z drugiej strony, akademicy Polacy, zebrawszy się w czytelni, zredagowali protest przeciwko zarzutom zrobionym im przez ministra oświaty Gosslera, jakoby w stowarzyszeniach znajdowały się ruchy nihilistyczne. — Od kilku tygodni przestały wychodzić w Bytomiu „Postęp Rolniczy“ i „Gazeta Górnośląska“, a to z powodu, że drukarnia p. Stan. Przyniczyńskiego została zasekwestrowana na opłacenie kar sądowych, wynoszących 800 talarów. P. Przyniczyński pracuje na Górnym Śląsku od lat 12, pozakładał wiele instytucyj rolniczych i nie szczędząc kosztów, starał się wszelkiemi siłami o podniesienie dobrobytu tej prowincji. — Redaktor „Katolika“ w tych dniach zaczął odsiadywać trzechmiesięczną karę,

na jaką został skazany za artykuły, pomieszczone w gazecie.— W tych dniach przeszło 40 rodzinom w Bytomiu doręczono rozkaz wydalenia się z granic państwa pruskiego najdalej do dnia 1 lipca, ponieważ nie mogły udowodnić, że są poddanemi pruskiemi. Tylko górnicy, należący do knapszaftów i to do klasy z całkowitemi wpłatkami, mogą zostać aż do dalszego rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych.

III.

Wrocław, 10 sierpnia 1886.

Rozwiązanie stowarzyszeń akademickich. Rezultaty apelacji do ministrów oświaty. Czem był zjazd gnieźnieński. Rewolucyjne skłonności w stowarzyszeniach. Konserwatyzm i anemja. Bibljoteki i odczyty. Życie towarzyskie młodzieży akademickiej. Zewnętrzna organizacja stowarzyszeń.

Dziś, gdy stowarzyszenia akademików polskich przy uniwersytetach niemieckich istnieć już przestały, należy im się wspomnienie ogólne, streszczające choćby pobieżnie, czem były związki bratnie na obczyźnie. Charakterystyka taka potrzebną jest raz dla tego, aby czytelnicy mogli osądzić, o ile — nie już słusznym, ale chociażby przyzwoicie upozorowanym był edykt, rozwiązujący te skromne przytuliska oddalonych od kraju jednostek, a powtóre dlatego, aby ciż rozproszeni obecnie towarzysze, zdawszy sobie sprawę ze straty jaką ponieśli, wyjaśniwszy zalety i wady pogrzebionych instytucyj, uprzytomnili sobie ideę łączności i wspólnych celów, która ich zawsze ożywiać powinna, pomimo braku zewnętrznego jej upostaciowania. Kilka rysów takiej charak-

terystyki postaramy się przytoczyć poniżej; wprzód jednak powiemy słów jeszcze parę o rezultatach, jakie odniosły rekursy niektórych zarządów stowarzyszeń do ministrów oświaty oraz o zachowaniu się wobec rozporządzenia rządowego akademików niemców.

Można było zgóry odgadnąć, jaką będzie odpowiedź ministra Gosslera na przedłożenia deputacji akademików berlińskich. „Będę się starał, ażeby to, co było dobrego w towarzystwach, zachować". To „dobre" jednak jest pojęciem bardzo względnem.

Najważniejsza chęć zachowania swej właściwości plemiennej jest w prostem zrozumieniu zwykłego śmiertelnika czemś bynajmniej nie nagannem, ale „mężowi stanu" może się przedstawiać jako dążność zagrażająca całości państwa. Niemniej charakterystyczną jest odpowiedź, jaką otrzymali polscy słuchacze politechniki drezdeńskiej od saskiego ministra oświaty. „Ministerjum — brzmią słowa odpowiedzi — nie uważa zażalenia, które akademicy drezdeńscy wysłali do senatu po rozwiązaniu ich stowarzyszenia, za słuszne i uzasadnione. Wprawdzie nie można udowodnić z akt przesłanych, że dane towarzystwo jako takie brało udział w przeszłorocznym zjeździe gnieźnieńskim, fakt to jednakże niezbity, że na owym zjeździe powzięto uchwały, które, łącząc wszystkie towarzystwa polskie w jedno powszechne zgromadzenie (Versammlung), miały poszczególne związki zarówno obowiązywać. Przytem „Dzien. Pozn.", który osobną dla stowarzyszeń otworzył rubrykę, nie ogłosił w sprawozdaniu owego zjazdu głównego celu, w jakim się ono zebrało, a przez to pozostawiono zupełną wolność działania i stawiania wniosków, obowiązujących poszczególne stowarzyszenia. Stowarzyszenie politechników drezdeńskich narodowości polskiej odebrało zaproszenie i protokół z owego zjazdu, lecz jaką dało

zjazdowi odpowiedź, na to prezes towarzystwa pomimo ponawianych żądań nie dał określonego wyjaśnienia. Pomimo, że towarzystwo otrzymało protokół z owego zjazdu prezesowi stowarz. niewiadomym jest zamiar utworzenia wspólnego związku, czego przypuścić nie można, gdyż oprócz protokółu był w „Dzienniku poznańskim" artykuł, traktujący o tej sprawie. Ponieważ dalej towarzystwo w żadnym razie udowodnić nie może, że wobec zjazdu zachowało się przecząco, dlatego senat działał właściwie i słusznie, „traktując towarzystwo jako zdolne przyłączyć się, co się wprawdzie jeszcze nie stało, ale co każdego czasu stać by się mogło, do wspólnej organizacji związków istniejącej poza granicami zakładu i posiadającej nieograniczoną kompetencję postanowień i przez to zachwiać cel i dobrą sławę zakładu. Dlatego też zniesienie stowarzyszenia wydaje się i z tego punktu widzenia uzasadnione podług § 23 rozdz. 4 porząd. dyscypl. politech., podczas kiedy motyw, na który senat w rozporządzeniu swem szczególniejszy położył nacisk, a który opiewa, że stowarzyszenie inne cele miało na oku aniżeli te, które podawało w swych statutach, wobec tego stanu rzeczy nie potrzebuję już żadnych wyjaśnień". Tak więc tu jako główny powód rozwiązania podano zjazd gnieźnieński, podczas kiedy w stosunku do Berlina, który udziału razem z Würzburgiem w zjeździe nie brał, nie można było tego zarzucić, a znów studentom z Wrocławia pan minister publicznie robił wymówki, że współczują „nihilistom" czy „anarchistom". Jednem słowem, na każdy wypadek umiano wynaleźć broń inną, ale wszystkie jednakowej słuszności.

Aby czytelnicy nie sądzili, że zjazd gnieźnieński był rzeczywiście jakąś zasadzką na całość i dobrą sławę niemieckich zakładów, powiem słów parę i o tym zjeździe. Polscy studenci, znający się po większej części już z ław gimnazjalnych, a po

części z wędrówek po uniwersytetach, pragnęli odświeżyć znajomość i przyjaźń, pragnęli się wspólnie zabawić i pogawędzić. Obrano sobie Gniezno jako punkt zborny, nie dla tego bynajmniej, iżby je uważano za metropolję polskiego życia, lecz dla tego, że jest to stacja, przez którą większa część młodzieży musi przejeżdżać, udając się czy to do Wrocławia czy Berlina, Lipska, Halli, Würzburga lub Gryfji. Że zaś nie przepijano się tylko, jakby to uczynili studenci niemieccy, lecz mówiono troszeczkę poważniej o pracy, że chciano poznać się lepiej i w imię tej pracy pobratać się, ażeby spotkawszy się kiedyś po skończeniu nauk, na drodze publicznego życia, nie być sobie zupełnie obcymi. Że to poznanie, a raczej przypomnienie wspólne chciano i nadal utrwalić, nadając mu wyraz zewnętrzny częstszego spotykania się, tego brać młodzieży polskiej za złe nie można, zwłaszcza, że posiadała aż dotąd te same prawa, co i jej *commilitones* niemieccy, łączący się przecież także w tak nazwane „*Cartellverbindungen*". Mówiono o założeniu wspólnego organu akademickiego, ale i tutaj zdawało się zebranym, że stoją na podstawie zupełnie prawnej, ponieważ studenci niemieccy posiadają również swe własne świstki. Oczywista więc, że młodzież zbierając się w Gnieźnie, nie popełniła nic nielegalnego, a przeto zarzut i obawa, wyrażona w powyżej przytoczonym reskrypcie jaknajzupełniej upada.

Ale oprócz zjazdu gnieźnieńskiego podawano i inne jeszcze przyczyny przy uzasadnianiu ukazu, rozwiązującego prądy rewolucyjne — socjalno czy nihilistyczno-rewolucyjne, zarzucane specjalnie polskim słuchaczom wszechnicy wrocławskiej i narodowo-polskie prądy rewolucyjne, które zarzucano ogółem wszystkim. Co się tyczy pierwszego punktu, to historję tych mniemanych akcyj antyspołecznych znamy bardzo dokładnie. Był czas, gdy „socjaliści" genewscy przy-

syłali swe pismo „Przedświt“ tutejszej młodzieży na ręce towarzystwa literacko-słowiańskiego, jako najbardziej znanego po za granicami. Myliłby się jednakże, ktoby sądził, że młodzież polska, choćby z ciekawości wzięła to pismo do ręki. Przeciwnie, prezesi towarzystwa uczuwali, czego im za złe brać nie można, drganie nerwów na sam widok czterech zadrukowanych na gęsto stronnic, udawali się pokilkakrotnie do redakcji genewskiej, aby ich nadal nie raczyła „Przedświtem“, kładąc nacisk, jak się należało, na cel towarzystwa — nie polityczny lecz naukowy, a gdy i to nie pomogło, chwyciła się środków ostatecznych, oddając niebezpiecznika w ręce policji. Mamy przed sobą trzy kopje listów, pisanych w tym celu do Genewy, udzielonych nam łaskawie, z których pozwolimy sobie choćby ostatni przytoczyć dosłownie: „Szanownej redakcji „Przedświtu“ pozwalamy sobie niniejszem na to zwrócić uwagę, że towarzystwo liter.-słow., jako instytucji wyłącznie naukowej wszelkie cele polityczne zupełnie są obce, jakeśmy to już ponownie (ma być kilkakrotnie) oświadczyli i że dla tego pisma „Przedświt“ odbierać sobie nie życzymy. Mamy nadzieję, że teraz przynajmniej szanowna redakcja życzenie nasze uwzględni. Wrocław 15 sierpnia 1883, z szacunkiem zarząd tow. liter.-słow.“ Od tego czasu, jak nas zapewniano, widokiem „Przedświtu“ żadne nie zgorszyło się oko.

Zarzut swój pan minister mógł co do Wrocławia — na innych wszechnicach nawet pozory nie zaszły — na następującym chyba oprzeć fakcie: Był tu student, ale nie umiejący zresztą po polsku ani słowa, któremu uniwersytet na doniesienie policji wytoczył był proces o komunikowanie się z socjalistami niemieckimi i rosyjskimi nihilistami. Proces ten atoli wypadł dla pozwanego jaknajpomyślniej, gdyż nietylko nie udowodniono mu niczego, ale uniwersytet w swej konkluzji

uniewinniającego wyroku oświadczył wyraźnie, że człowiek tak pilny i składający w swoim czasie egzamina, nie może mieć tyle czasu na poświęcenie go agitacjom społecznym. Pan M. jako dawniejszy wychowaniec poznańskiej św. Marji Magdaleny zachował podobno z tych czasów serdeczne sympatje dla Polaków i miał pomiędzy dawniejszymi współuczniami polskimi i na uniwersytecie przyjaciół. Zrobiono mu z tego zarzut — daremny. Opieramy się na faktach, ponieważ mieliśmy odnośny protokół w ręku. W dalszym ciągu zrobiono u jednego z kolegów Polaków rewizję, i ta wypadła bezowocnie. To „nic" jednakże wystarczyło p. ministrowi do zrobienia zarzutu młodzieży. Przytoczyliśmy to wszystko dość obszernie, gdyż fakty te były mniej znane ogółowi szerszemu i nie mogły być dlatego dostatecznie wyzyskane choćby przez posłów w Berlinie.

Niektórzy z bardziej różowo patrzących studentów, a nawet i niektóre gazety poznańskie łudziły się nadzieją, że młodzież niemiecka okaże w danym wypadku solidarność ze swymi polskimi kolegami, chociażby przez wzgląd na zasadę *hodie mihi, cras tibi*. Nie łudził się nikt kto zna obecną młodzież na uniwersytetach niemieckich i ducha jaki wśród niej panuje. „Bei dieser Herabwürdigung der Wissenschaft, welche einzig und allein als Brotstudium betrachtet wird, hört alles auf" — wyraził się do piszącego te słowa znany i u nas prof. Caro; słowa te zastosowane do wszechnicy wrocławskiej można niestety rozciągnąć do wszystkich prawie uniwersytetów niemieckich. Chleb, równoznaczny tutaj z urzędem, karjerą, oto hasło niemieckiej młodzieży; tytuł jakiego „*Ratha*", czy on jest „*wirklicher geheimer Rath*" czy nie, oto gwiazda przewodnia w ślad której żeglują.

Student niemiecki zatracił tradycje swych poprzedników, z których szlachetni się szeregowali obrońcy uciśnionych,

częstokroć wprawdzie lubujący się w mgłach romantycznych, częstokroć nie umiejący stanąć na gruncie rzeczywistym, głosząc ideę powszechnego braterstwa i absolutnej sprawiedliwości, ale zawsze gotowi wylać serce dla upośledzonego i ze wstydem odwracający szlachetny swój profil od mosiężnych błysków pikelhauby, która już wtenczas zaczęła sobie wywalczać powoli miejsce w kościele społecznych ideałów, aby dziś na jego głównym stanąć ołtarzu.

Po za urzędowem uczęszczaniem na prelekcje i wyuczeniem się napamięć potrzebnych rozdziałów do egzaminu, student niemiecki spędza czas przy kuflu i nabywa w wypróżnianiu piwa szalonej, dla przeciętnego polskiego żołądka niepojętej doskonałości; śpiewa swoje „*Ergo bibamus*", czasami „*Krapüliński und Waschlapski*", znany wiersz Heinego, przyjęty — charakterystyczne — do Commersbuchu; tędy owędy zaintonuje „*Freiheit, die ich meine, die mein Herz erfüllt*", lub też koncentruje się w rozmaitych „naukowych" stowarzyszeniach, których zadaniem i celem, jak opiewają programatowe ogłoszenia, „die Pflege deutscher Wissenschaft, deutscher Freiheit, deutscher Gerechtigkeit und deutscher Moral". Nie dziw więc, że rozporządzenie, naruszające w podstawach wolność akademicką, nie wywołało żadnego protestu ze strony tych kuflowych entuzjastów niemieckiej wolności, lecz owszem pewien nawet poklask.

Pokazywano nam przed kilkunastu dniami — już po zniesieniu towarzystw wrocławskich — list wystosowany w osobistej sprawie do jednego z polskich słuchaczy, w którym zbiorowy autor, pewien związek niemiecki, oświadcza Polakom, apostrofując do nich bez ogródki: „*sie werden doch hier nur gelitten*" (jesteście tu tylko tolerowani). Rzeczywiście apostrofa bardzo taktowna, nie mówiąc „szlachetna" godna

rycerskich fechterów, szukających honoru w pociętym nosie i pokrajanej łysinie.

Jeden tylko rektor wszechnicy wrocławskiej p. Penffers stawiał przez dość długi przeciąg czasu opór rozporządzeniu ministra. Postępowanie swoje motywował on pomiędzy innemi i „spokojem" młodzieży polskiej. „Spokój" ten, o ile ma oznaczać brak burszowskich wybryków, właściwych studentom niemieckim, jest bez wątpienia objawem dodatnim. Przeniesiony jednak do sfery umysłowej, może on być wskazówką pewnej martwoty duchowej. Czy twierdzenie to da się odnieść do uczących się Polaków w zakładach niemieckich, nie będziemy tu roztrząsać; to pewna, że kierunek, jaki nadaje młodzież swej pracy po za prelekcjami, nie przedstawia się zupełnie dodatnio. Wypowiedzieliśmy kilka uwag w tym względzie w pierwszym tegorocznym numerze „Kraju", stosując je specjalnie do uniwersytetu wrocławskiego; dziś, mając przed sobą sprawozdania dość dokładne z innych wyższych zakładów i kilka listów wybitniejszych członków poszczególnych stowarzyszeń, charakteryzujących ich ustrój i kierunek, możemy sąd swój dawniejszy rozszerzyć.

Uderza nas przedewszystkiem zbytnie zasklepianie się w przeszłości; ze spisu choćby odczytów leżącego przed nami, zawiewa od czasu do czasu pewien zaduch grobowy. Dziwić się temu nie można: społeczeństwo, znajdujące się w takiem położeniu jak nasze, udarowane przytem większą dozą fantazji i uczucia, aniżeli zimnym rozsądkiem, zwraca z natury rzeczy oczy swe tam, gdzie podług jego mniemania pogrzebiona jego sława i wielkość. Cała nasza poezja dotychczasowa, cała wybitniejsza sztuka, to Niobe płacząca nad pomarłemi dziećmi. To też młodzież najwrażliwsza na wszystko to co drażni jej zmysły, od samego początku upajana duszącą wonią romantycznej pieśni, oślepiana blaskiem częstokroć fałszywym mi-

nionych czasów, przedstawionych tendencyjnie przez rozmaitych historyków, z przyjemnością obraca się na tem właśnie polu, bojąc się połączyć gorącą swą rękę z zimną dłonią rzeczywistości. „Księstwo“ i wszystko co w niem jest, oto miara, którą przeciętna młódź mierzy swą czynność. Słyszeliśmy, jak we Wrocławiu na budzący się pewien rodzaj postępowszej akcji, odzywały się głosy pomiędzy akademikami: „panowie! dajcie pokój, bo cóż na to powiedzą w Księstwie!“ To redukowanie wszystkiego co się myśli i co się chce czynić do pojęć panujących w Księstwie, jest hamulcem wszelkiego kroku naprzód. Anemja młodzieży jest skutkiem anemji ogólnej Księstwa, anemja zaś ogólna tylko dalszem stadjum anemji młodzieży — *circulus vitiosus*, z którego nie umiemy się wydostać; zaklęte koło, którego odczarować nie zdołał nawet tak znakomity czarodziej jak ks. Bismark. Oczywista, że „patrjotyzm“ kształcony w ten sposób, jest tylko pojęciem oderwanem, że jest płonnem tylko gonieniem mar, tego nie trzeba wcale dowodzić; że dalej taki patrjotyzm dla wielkości państwa niemieckiego nie może być szkodliwym. Śmielsze poglądy nawet w kwestjach czysto naukowej natury napotykały na największy opór prawomyślnej, dobrze wychowanej młodzieży. Znamy np. fakt nadzwyczaj charakterystyczny, który miał mniej więcej przed trzema laty miejsce w Lipsku, gdzie pewnemu prelegentowi, nie dającemu nic więcej nad popularny referat z popularnego dziełka Drapera: „O stosunku wiary do rozumu“, odebrano głos, ponieważ, jak się wyraził prezes, referaty podobne obrażają uczucia „wierzących“. Analogiczny zdarzył się przypadek i we Wrocławiu, gdzie się posunięto aż do stawienia wniosku o udzielenie nagany jednemu z członków, który podczas dyskusji nie zgodził się na twierdzenie, jakoby wiara katolicka była jedyną miarą historycznych oceniań.

Wogóle unikano szerszego otarcia się o myśl postępowszą; ustawy towarzystw, zabraniające zajmowania się kwestjami „politycznemi i religijnemi", brane dosłownie działały zabijająco. Można się przecież nie zajmować polityką i religją, a jednak nie potrzeba odżegnywać się od poznania choćby najprostszych zdobyczy na polu wiedzy nowoczesnej. Wynikiem tego kierunku był naturalnie i sposób zaopatrywania bibljotek: oprócz dzieł historyczno-literackich, częstokroć bardzo podejrzanej wartości, rzadko znaleźć można było książkę, którąby treścią swą opierała się na zdobyczach nowożytnej wiedzy. Takie niezbędne dla każdego, roszczącego sobie pretensję do wykształcenia rzeczy, jak Darwin, Haeckel, Büchner, Mill, Rodbertus, Marx. Ueberwegh, Lange, Dulning, Buckle, choćby nawet Spencer etc., to białe kruki po bibljotekach studenckich. W Lipsku np. wynosiła bibljoteka około 300 dzieł, lecz „dzieła, składające się na nią, niewielką, jak nam piszą przedstawiały wartość". Z wyjątkiem bowiem dzieł znaczniejszych poetów, jak dzieła Słowackiego, Krasińskiego, Syrokomli, Ujejskiego, kilku dzieł historycznych (Szujski, Skarbek etc.) 2 czy 3 historyj literatury i kilku innych (tom szkiców Spencera), bibljoteka wielkiemi skarbami poszczycić się nie może". Jeżeli zaś, jak n. p. we Wrocławiu, gdzie w celu propagowania nowszej literatury zawiązało się było przed dwoma laty osobne towarzystwo: „Czytelnia dzieł nowszych", która nawiasem powiedziawszy, w chwili rozkwitu liczyła członków 15, a przecięciowo od 8—10; jeżeli więc znalazło się kilka dzieł takich, to te czytywane były przez bardzo małą liczbę wybranych. Nawet pisma perjodyczne leżały częstokroć nierozcięte. Co do odczytów, to jak już nadmieniliśmy, były one w znacznej bardzo części treści historyczno-literackiej — nie mówimy o fachowych sekcjach; w niektórych towarzystwach, jak „Literacko-sło-

wiańskie“ we Wrocławiu i tow. würzburskie, obracano się wyłącznie na tem polu. Wynikło to po części z pewnej przystępności tych przedmiotów dla wszystkich, a po największej części z uczucia. Nic mielibyśmy nic przeciw temu poświęcaniu się historji i literaturze; zapomnieliśmy powiedzieć, że zajmowano się naturalnie po większej części historją i literaturą słowiańską, przeważnie polską; gdyby, zwłaszcza co się literatury tyczy, zapoznawano słuchaczy z bieżącem piśmiennictwem, ale tematy wiecznie jedne i te same, opracowywane bywały podług najzwyklejszych podręczników. Odczyty wzbudzały rzadko kiedy silniejsze zainteresowanie się obecnych; dyskusja była w wielu wypadkach ospałą i brał w niej udział zwykle mały tylko procent członków. Tak samo było w Dreznie i tak samo w Berlinie, gdzie odczyty bywały na każdem posiedzeniu tygodniowem; obok odczytów robiono referaty, których po 3 na niejednem posiedzeniu można było usłyszeć. Referat każdy zajmował przeciętnie $^1/_4$ do $^1/_2$ godziny czasu, wyłączywszy dyskusję. Odczyty nie były ułożone podług żadnego systemu; kto się zgłosił na ochotnika, miał wykład i obierał sobie dowolny temat. A ponieważ wszystkich zawodów i fakultetów akademicy do towarzystwa należą, więc były one bardzo różnobarwne. Zresztą pisano mniej więcej przed dwoma laty o tem w „Kraju“. Tyle co do naukowej strony towarzystw; pozostaje nam jeszcze do powiedzenia kilka słów o wpływie ich na pożycie młodzieży i o ich zewnętrznej organizacji.

Dzięki wrodzonemu młodzieży pociągowi do zabawy, przepędzano po urzędowem posiedzeniu kilka godzin wieczornych przy kufelku piwa, jako najtańszego trunku i zaśpiewano sobie jaką piosenkę akademicką lub nawet poważniejszej treści; deklamowano, ten i ów zagrał na fortepianie, którego dostarczał gospodarz lokalu, lub zapełniano czas pogawędką.

Takie przeplatanie zabawy nie pozwalało nigdy na przerodzenie się jej w „knajpę“ niemiecką; jeżeli zaś kiedykolwiek przestąpiono miarę, to czyniła to mała garstka, ogół podobne wybryki zawsze potępiał. Poczytujemy też „Czytelni wrocławskiej“ za zasługę, że krótko przed zamknięciem, dowiedziawszy się o brzydkiej chorobie moralnej, w jaką wpadła zresztą bardzo mała cząstka jej członków, o grze w karty, jednogłośnie, jak nas zapewniano, graczy napiętnowała. Wrzucilibyśmy te śmiecie do własnego pieca, gdyby owe wystąpienie odniosło było pożądany skutek. Lecz, jak wiemy dokładnie, rak ten na nowo zaczął się wżerać w ciało społeczeństwa akademickiego. Jak już powiedzieliśmy, oddawało się temu szlachetnemu zajęciu kilku tylko i to tych samych; fakt jednak, że przegrywano w ciągu jednego wieczora po sto do dwustu marek. że dalej pomiędzy nimi byli nawet jak nam zaręczano stypendjaci tow. nauk. pom. oraz wzgląd, że po zamknięciu „Czytelni“ niema innego środka, aby zapobiec możliwemu szerzeniu się tej ponętnej dla każdego młodego człowieka zarazy, nad drogę publicznego wystąpienia, skłonił nas, na życzenie kilku członków społeczeństwa akademickiego, do tego kroku. Mamy nadzieję i mocno wierzymy, że ogół młodzieży nie ulegnie temu ale i najmniejszy procent choćby nawet „paniczów“ nie powinien usprawiedliwiać zarzutów bismarkowskich: „Polacy pójdą do Monaco“.

Co się tyczy zewnętrznej organizacji towarzystw, to opierały się one na ustawach, potwierdzonych przez senat, lub jak w Berlinie, przez policję. Składały się z członków zwyczajnych lub też nadzwyczajnych i honorowych. Posiedzenia ogłaszane na czarnych tablicach uniwersytetów lub po pismach dzieliły się na zwyczajne i nadzwyczajne. Zwyczajne odbywały się zwykle co tydzień, nadzwyczajne kilka razy w semestrze — jeżeli szło o ustanowienie lub zmianę praw obowiązujących,

o wybór zarządu albo o obchód uroczystości. Zarząd obierano co semestr, a składał się zwykle z prezesa, sekretarza, kasjera, bibljotekarza i ławników. Majątek towarzystw stanowiły pieniądze i bibljoteki. Niektóre z towarzystw miały fundusze żelazne prócz miesięcznych wkładek, które obowiązywały członków. Wkładki te wynosiły od 0,50—1,50 m. na miesiąc. Towarzystwa polskie akademickie istniały: w Berlinie jedno: tow. nauk. akad. pol., do którego należeli słuchacze z uniwersytetu, akademji technicznej, rolniczej, górniczej i weterynaryjnej. Liczba wynosiła w końcu około 50 członków, zresztą chwiała się pomiędzy 60 a 70. Bibljoteka liczna wynosiła przeszło 4.800 tomów, pomiędzy temi dzieła większej wartości. W Dreznie jedno: tow. nauk. politechn. pol., miało członków 10; w Gryfji jedno: tow. nauk. akad. pol. Liczba członków chwiała się przecięciowo pomiędzy 16 a 20. W Halli również jedno towarzystwo mające sekcję agronomiczną, a liczące około 15 członków. W Lipsku obok tow. nauk. akad. pol. było tow. bratniej pomocy. Tow. nauk. liczyło 17 członków ostatniemi czasy. We Wrocławiu istniały następujące towarzystwa: 1) Czytelnia akad. pol., 2) Literacko-słowiańskie, najstarsze założone, przez prof. Purkyniego, miało 50-tą rocznicę obchodzić w tym roku, 3) Kółko towarzyskie, które chciało święcić 17 rocznicę w sam dzień rozwiązania tow. 4) Towarzystwo medyczne, 5) Towarzystwo filozoficzne, w którem pracowano w celu przysposobienia się do egzaminów i dlatego też wykłady były po niemiecku. 6) Towarzystwo Hozjusza, katolickie. 7) Towarzystwo czytelni dzieł nowszych, które od roku było zawieszone i 8) Tow. Górnośląskie. Liczba członków czytelni a więc mniej więcej ogół polskiej młodzieży wynosił mniej więcej około 50—60. Z tej liczby przypadało na „literacko-słow." przecięciowo 20 członków; na „medyczne" 22, „filozoficzne" 6, „kółko" około 30—40, „Hozjusza" 6—7,

na „czytelnię dzieł nowszych“ 8—10. Trzeba dodać, że jedni i ci sami członkowie należeli do kilku towarzystw naraz. Ogólna bibljoteka wynosiła około 4.000 tomów. Nie podawaliśmy liczby członków ścisłej, lecz wynikającej z zestawienia dwóch ostatnich semestrów. Towarzystwo Górnośląskie, o którem pisaliśmy obszerniej w 1 numerze „Kraju“, a które nie wchodziło w skład „Czytelni“, liczyło członków mniej więcej 20—25 (przy rozwiązaniu 24).

IV.

Wrocław, 30 września 1886.

Zjazd katolików.

Starożytne miasto nasze, gdzie „niegdyś, jak mówi „Schles. Volkszeitung“, poganin walczył z bohaterskiemi hufcami Henryka i gdzie cudowne słowo Czesława pokonało dzikie hordy barbarzyńców“, dostąpiło niedawno zaszczytu ugoszczenia w swych murach bojowników nowszej daty.

Mówiąc po ludzku i zostawiając całą poezję zamierzchłych czasów organowi księdza Franza, powiemy, że od 13 sierpnia aż do 2 września odbywali tutaj swe doroczne obrady katolicy niemieccy, a właściwie przedstawiciele partji centrum. Mimo bowiem głośnych zapewnień odpowiedniej prasy, że w zjeździe tym brał udział cały niemiecki świat katolicki, rzeczy miały się troszeczkę inaczej. Ale ponieważ szczera nasza przyjaciółka, jak przywykły dotąd jeszcze nazywać „Schles. Volkszeitung“ poważne organy poznańskie, wypowiedziała z dumą, że „poza zjazdem niemasz katolików“, więc skłaniamy czoło i pozostajemy przy powyższem ogólnem określeniu.

Bądź co bądź jednak była to manifestacja świetna, zdolna wlać przekonanie, jeżeli nie o prawdziwości podjętych tamże prawd, to przynajmniej o tem, co na razie pewno katolikom wystarczy, że katolicyzm jest potęgą z którą liczyć się trzeba. „Katolicy — mówi z powodu zjazdu „Frankfurter Ztg." — doszli w tej walce i przez nią (mowa o walce kulturnej) do takiej potęgi w państwie, która wszelkie tego państwa czynniki zmusza do liczenia się z nimi, która, co więcej, w wielu razach w ich ręce kładzie rozstrzygnięcie dalszego rozwoju naszych (niemieckich) stosunków wewnętrznych. Takiego stanowiska nie porzuca się, lecz owszem, stara się je podtrzymać i podwyższyć, a rozumny umysł znajdzie zawsze środki do tego, zwłaszcza tam, gdzie zaufanie w przewodnictwo tak jest bezwzględnem wśród mas, jak właśnie wśród katolików niemieckich". I ma rację to pismo; nigdzie pewnie nie mają masy takiego bezgranicznego zaufania w prowodyrstwo jak w Niemczech, w ziemi „wolności i filozoficznej spekulacji". Wypływa to naprzód z istoty katolicyzmu, który zaleca pokorę wobec wszystkich, oraz z właściwości natury niemieckiej, której jedną z najbardziej charakterystycznych cech jest zginanie się przed autorytetem. Ta uniżoność wszystkim klasom społeczeństwa niemieckiego jest wrodzona a bezprzykładna karność wojskowa, jaka ma miejsce w Prusach, nie jest samym tylko wytworem strachu przed karą, ale w przeciętnej dziedziczną właściwością plemienia. Protestantyzm, który duchowi ludzkiemu miał rozwiązać skrzydła, nie wpłynął pod tym względem wcale a wcale na swe najbliższe dzieci. Cóż dopiero mówić o członkach społeczności germańskiej, wzrosłych w katolicyzmie, zahartowanych w ogniu jego prześladowania, patrzących do tego jeszcze na zbliżające się coraz bardziej czerwone widmo socjalnej rewolucji? Nie dziw wcale, że w takich warunkach zaufanie w przewodnictwo staje się

absolutnem; że wynikiem tego absolutnego zaufania jest jedność, na którą się na tym zjeździe katoliccy mężowie tyle razy powoływali, że nareszcie z tej potęgowanej jedności wypłynąć musi zwycięstwo choćby chwilowe. „Zebraliśmy się tutaj, mówił Ballestraem, ażeby wobec przyjaciół i nieprzyjaciół udowodnić, że i nadal zachowamy *jedność*, stanowczość i wytrwałość i że będziemy dążyć do tego, do czegośmy dotychczas dążyli".

Wszak jeszcze przed ostatnim zjazdem sam „olbrzym" naszego czasu, cofnął się przed tą siłą, która się dzisiaj uosobiła po za Alpami, *ultra montes*, w chudej, ascetycznej postaci zwolennika św. Tomasza, papieża-poety, a w Meppeu w liliputowej figurze Windthorsta, o zapadłych policzkach, szerokich ustach, wypukłej łysinie, który pragnie „nie prędzej się wyprządz aż go sam Bóg wyprzęże". Bez kwestji, ostatnie te słowa wyrzeczone przez przywódcę centrum na pierwszem publicznem zebraniu wrocławskiem świadczą nietylko o indywidualnej wielkości „Małej Ekscelencji", lecz są także zapowiedzią dalszej walki przeciw „zamulaniu kulturkampfu" i zdradzają zarazem wiarę w osiągnięcie swego celu. Najbliższym zaś celem, jaki sobie dawniejszy minister hanowerski wytknął jest zapewnienie katolicyzmowi decydującej przewagi w Niemczech, a dalszym zapewne triumf kościoła rzymskiego w świecie całym.

Jednym z najgłówniejszych punktów środkowych, około którego obracały się retoryczne występy mówców centrum, był temat restytucji zakonów. „Pragniemy przywrócenia zakonnych stowarzyszeń" — mówił z zapałem poseł akwizgrański dr. Lingeus, którego pergaminowa, wybladła twarz przypominała średniowiecznego flażellatora — „pragniemy ich przywrócenia bez wyjątku, nawet jezuitów". Wtórowali mu w tem wszyscy wybitniejsi mówcy: biskup Gleich i ks.

Huhn, Windthorst i Huene, a wiceprezydent *Freiherr* von Heeremann zarzucał historykom, przedstawiającym działalność zakonów w niewłaściwem oświetleniu, poprostu brak obeznania się z przedmiotem, albo fałszowanie faktów: „die meisten, die gegen diese Orden schreiben und schreien, haben nie einen Jesuiten gekannt, nie ein Buch eines Jesuiten gelesen und haben nie eine Predigt eines Jesuiten gehoert... alle sie folgen einer gefaelschten Geschichtsschreibung und einer falschen Darstellung der Tatsachen". Jak widać z kategorycznych wystąpień w tym względzie, restytucja klasztorów będzie jednym z najgłówniejszych postulatów centrum w nadchodzącej kadencji sejmowej.

Naturalną zaś konsekwencją przywrócenia zakonów będzie oddanie oświaty w ich ręce, o czem bardzo głośno i bardzo szeroko na zjeździe tegorocznym rozprawiano, posuwając życzenia swe aż do założenia osobnego uniwersytetu. Oto wywody tyczące się tej materji, jednego z najwybitniejszych mówców, wspomnianego już powyżej dra Lingeusa: „Żądamy pełnej swobody dla prawdy i pragniemy swobody nauki, pragniemy swobodnej, katolickiej wszechnicy. Jesteśmy przekonani, że swobodny uniwersytet niemiecki przyjść musi, aby utworzyć ognisko prawdy i swobodnej wiedzy wobec naszych upadłych i zmitrężałych wszechnic, które święcąc największe uroczystości, nie wspominają ani o Bogu, ani o jego prawach". Wymowny poseł wypił tutaj widocznie do uniwersytetu heidelberskiego.

Dalej kładziono po tysiąc razy nacisk na to, że państwa bez katolicyzmu, bez autorytetu ostać się nie mogą; że katolicyzm budujący swój system właśnie na autorytecie, jest najlepszym puklerzem od odbicia pocisków rewolucji. Wyznawano otwarcie, że katolicyzm stracił swą niejako abstrak-

cyjną naturę i stał się dzisiaj czynnikiem niezbędnym do zachowania społecznego porządku.

Aby tem skuteczniej działać w celu zachowania tego porządku, trzeba starać się o uzyskanie wpływu nad klasą robotniczą. I pod tym względem zjazd wrocławski wypowiedział swój program przez usta znanego agitatora pomiędzy robotnikami ks. dra Hitze. Chcąc dać jaki taki obraz wywodów autora dzieł „*Kapital und Arbeit*", „*Quintessenz der sozialen Frage*", „Das haeussliche Glueck" etc., w kilku tylko słowach streścimy jego rozumowania. Podług posła gladbachskiego państwo powinno starać się o zewnętrzne środki w celu zabezpieczenia doli robotników, o zewnętrzne instytucje; a wypełnienie zaś tych instytucyj duchem idealnym jest rzeczą kościoła. Pierwszym środkiem poprawy położenia klas pracujących jest rozpalenie w nich gasnącej wiary i restytucja uszanowania przed autorytetem, — przytem zwrócenie ich ócz w stronę zaziemską, gdzie należy szukać kompensaty za trudy doczesne. Gdyż „robotnika, który tu na ziemi szczęścia szuka i szukać go musi, ponieważ nie wierzy w świat zaziemski, nigdy dla siebie nie zjednamy". Ażeby osiągnąć polepszenie doli robotników, zaleca kościół rozmaite rodzaje łask swych, pomiędzy temi modlitwę różańcową, trzecią regułę św. Franciszka, a przedewszystkiem zawiązywanie stowarzyszeń robotniczych, które powinny pracować w tym samym duchu, w jakim kościół pracuje. Przewodnictwo tych stowarzyszeń powinni ująć w swe ręce księża i wogóle katolicy, gdyż „jeżeli my sami nie staniemy na ich czele, wtedy robotnicy za innymi pójdą przewodnikami". Aby tem lepiej móc działać, trzeba starać się o zakładanie bibljoteczek, kas posiłkowych, mianowicie zaś kas oszczędności: „dajmy robotnikowi w ręce książeczkę kasy oszczędności, aby widział, jak to z fenigów robią się talary, jak to powoli można zostać *kapitalistą*, niech w o-

szczędności widzi przyjemność. Potrzeba ściślejszego połączenia stowarzyszeń z kościołem np. za pomocą wspólnych nabożeństw, wspólnych komunij etc., a przy okazjach tych kazanie powinien mieć właśnie *jezuita*".

Z innych punktów zasługują jeszcze na wzmiankę żądanie, wypowiedziane przez Windthorsta, ażeby papieżowi przywrócono *patrimonium*, oraz władzę(?) nad misjami, które chcą się nawet zająć Bułgarją. Wszystko to kwestje ogólniejszego znaczenia i jako takie powinny zainteresować i światłego czytelnika polskiego.

Jeszcze jedna rzecz, interesująca specjalnie Śląsk i Księstwo: oto wydział dla spraw szkolnych raczył znowu powtórzyć swój postulat, ażeby dzieciom innej narodowości wykładać religję w ich własnym języku.

KRONIKA ŚLĄSKA 1886 ROKU

Rozpoczynając niniejszem kronikę śląską, niech nam będzie wolno nasamprzód podać granice, obejmujące ludność polską naszej prowincji. Ludność ta za czasów pierwszych Piastowiczów rozlana po całym Śląsku, została w ciągu wieków wypartą prawie zupełnie na prawy brzeg Odry; po lewej zaś stronie ciągnie się tylko wąskim nadbrzeżnym pasem. Wyrażając się szczegółowiej, sięga żywioł polski na północ do południowych kresów powiatu brzeskiego (Brzeg), do wschodnich części powiatów namysłowskiego i oleśnickiego (Namslau-Oels) i niektórych na południo-wschód zwróconych okolic powiatu sycowskiego (Poln. Wartenberg) i milickiego. Odtąd zaś aż do przeciwległych powiatów pszczyńskiego (Pless) i raciborskiego inclus. rozlewa się falą szeroką na cały prawie Górny Śląsk czyli obwód rejencyjny opolski. Po lewym zaś brzegu polskiemi są wschodnie kresy powiatu hlubczyckiego, w przeważnej części zamieszałego przez czechomorawian i niemców; cały powiat kozielski i wschodnie części powiatu niemodlińskiego (Falkenberg) i prudnickiego (Neustadt). Mówiąc o ludności polskiej, wynoszącej około miljona, mamy na myśli ludność wiejską, gdyż miasta z małemi wyjątkami zapełnione są przez Niemców i żydów; proletarjat rzemieślniczy rekrutujący się w przeważnej części z ludności wiejskiej, a osiedlający się po miastach, prawie zupełnie jest zniemczony.

Na tym więc terenie rozgrywa się walka plemienna, która niewiadomo jak się jeszcze skończy, choć zdawaćby się mogło

że zwycięstwo przechyli się niechybnie na stronę kulturników. Posiadają oni bowiem bezwarunkowo broń silniejszą od nas: materjalną — kapitał i moralną — inteligencję. Kapitał prawie wyłącznie skupia się w rękach niemieckich, wszelkie większe majątki ziemskie, wszelkie fabryki, kopalnie, huty, handel nietylko większy lecz i mniejszy itd., do nich należą. Chłopu polskiemu pozostają mniejsze gospodarstwa, które częstokroć konkurencji wytrzymać nie mogą i przechodzą w ręce kapitalistów i zaledwie tyle mu przynoszą aby wyżył „po chłopsku", i podatki zapłacił, lub też służba u „panów". Służba u panów, obdarzając go zarobkiem tak lichym, że nawet „po chłopsku" nie podobna mu życia opędzić, czyni go jeszcze zależnym od nich i pod względem moralnym. Nie ma on swej własnej inicjatywy, czyni tak jak mu każą. Zresztą posiadając od wieków wpajaną sobie uległość przed tem co się nazywa powagą, dobrowolnie gnie się wobec chlebodawców noszących lepszy surdut od niego i mówiących językiem, jakim mówią w „mieście"; dobrowolnie zabija w sobie wszelki materjał, któryby zeń samodzielnego uczynił człowieka. Ten dziedziczny brak własnej woli i poddawanie się wpływom silniejszych występuje w najjaskrawszych barwach u tej małej garstki „inteligencji", która mimo ciężkich warunków wychodzi z łona ludu.

Mieliśmy nieraz sposobność obserwowania młodych ludzi, poświęcających się naukom, zwłaszcza na wszechnicy wrocławskiej i ze smutkiem patrzyliśmy, jak im trudno pozbyć się tych śladów, którymi piętnuje człowieka długowieczna niewola, pogarda, upodlenie. Rozwijają się powoli; ponad mechaniczne przyswajanie sobie wiadomości, potrzebnych do egzaminów, rzadko który z nich się wzniesie: samoistniejszą myśl, szersze poglądy posiada tylko mała nadzwyczaj garstka wybranych. Przytem pozostaje im jako spadek smutnych

stosunków, wśród których wzrośli, pewien rodzaj strachliwej pokory wobec księdza i junkra lub choćby nawet szlachcica polskiego w tej postaci, w jakiej się ci panowie pokazują na tutejszych uniwersytetach — w szczególności, a w ogólności wobec każdego autorytetu. Obierając sobie jeszcze stan, który sam przez się w wysokim wpływa stopniu na przytłumienie samodzielniejszych porywów, stan duchowny, nie dziw, że padają po największej części ofiarą czynników niemieckich, obdarzonych bardziej rozwiniętemi siłami intelektualnemi, większą energją i rzutkością jak n. p. dzisiejsi działacze w rodzaju Ballestraemów i Franzów.

Jeżeli więc w ostatnim czasie zaczęło się budzić poczucie plemiennej godności wobec plemiennej nienawiści, to przy tej „niedokrwistości" nawet w inteligencji, dość dużo jeszcze wody upłynie, zanim obecny ruch ogarnie całe masy, zwłaszcza, że i główne źródło, z którego wypłynęła reakcja przeciw prądom germanizacyjnym, nie zupełnie jest czystem. Walka kulturna, oto najgłówniejszy moment, który wywołał pewne objawy życia w ludności słowiańskiej. Ale walka kulturna zwrócona w swych zasadniczych ideach przeciw kościołowi, nie mogła wychować szermierzy narodowych; mogła tylko wychować ludzi, którzy chwytając w celu obrony Rzymu, za każdą broń, która im wpadnie pod rękę, potrafili także znaleźć dawno zardzewiałą szablicę — sprawę polską na Śląsku. Zaczęto agitować, a rozbudzającemi się gdzie niegdzie objawy antyniemieckiemi zaczęto niby hustką czerwoną straszyć Bismarka, jak wiadomo bardzo wrażliwego na wszystko, co nosi nieszczęśliwą nazwę „polnisch". Tymczasem pokorny ludek polski, od wieków prowadzony na pasku autorytetu biegł na oślep za swymi przywódcami i mniemanymi przyjaciółmi, tracił dla nich częstokroć chleb u protestanckich lub żydowskich wyborców i wysyłał sporą liczbę „swoich"

do parlamentu. Wiadoma rzecz, że dzięki Polakom górnośląskim partja środkowa zyskała dwudziestu najgorliwszych szermierzy, tem gorliwszych, że w przeważnej części posiadających i imię arystokratyczne i wielki zapał — czynniki, z któremi kościół katolicki związany jest najściślejszemi węzły.

Zdawałoby się, że indywidua, wyniesione do godności „przedstawicieli i obrońców ludu" przez lud, powinny wszelkiemi siłami bronić moralnych i materjalnych interesów tego ludu. O obronie interesów materjalnych, ani mowy być nie może, boćby to się sprzeciwiało wręcz ich własnym dążeniom, dążeniom wielkich kapitalistów, a jak bronią moralnego jego dobra, nota facta doceant. Nie będziemy sięgali zbyt daleko, przypomnijmy tylko znane zebranie śląskich katolików, które odbyło się we wrześniu roku zeszłego w Gliwicach, a którego przebieg aż nadto świadczy, jak to sprawiedliwymi rzecznikami polskiego i katolickiego ludu są ci katoliccy mężowie.

Pominąwszy tyle a tyle wykrzykników na temat „grosspolnische Agitation", pominąwszy odgróżki rozmaitych księży à la arcybiskupi komisarz Strzybny, ks. Edler, Reschke i inni, na temat: nie damy zasiewać ziarna niezgody pomiędzy górno-śląską katolicką bracią, tj. między katolikami niemieckimi (wielkimi posiedzicielami i księżmi, gdyż innych niema) a polskim ludem; zaklinania się na wszystkie świętości posła von Schalscha, że polonizować nie pozwoli — notabene ludu polskiego; opuściwszy tyle a tyle innych wiernopoddańczych zapewnień i antipolskich zaręczeń, powtórzmy nasamprzód w krótkich zarysach przebieg rozpraw nad faktem, w danym razie najbardziej nas dotyczącym — nad sprawą językową.

Zgromadzenie, unormowawszy na tym zjeździe program,

którego się winni trzymać w parlamencie, postawiło jako szósty, ostatni paragraf, następujący postulat — „ażeby do wykładu nauki religji wolno było używać języka polskiego, czeskiego, resp. morawskiego w tych szkołach ludowych, do których uczęszczają dzieci odpowiedniego pochodzenia". Żądanie nadzwyczaj skromne zdradza samo przez się interes katolicki — więcej dlatego rodzaju przyjaciół ludu nie potrzeba. To też, kiedy jeden z szlachetniejszych, ksiądz Kirchniawy, chciał postulat ten rozszerzyć i wniósł, aby nietylko religję ale wogóle wszystkie przedmioty wykładano w odnośnych językach, spadła na poczciwca cała burza z ust rozmaitych mówców, mianowicie zaś święte wargi znanego pewnie Szan. Czytelnikom kanonika Franza pełne były niebardzo świętego oburzenia. „Nie można narażać sprawy katolickiej podobnemi wymaganiami; obrona praw naturalnych i kościelnych jest naszem zadaniem; stawiając postulaty tyczące się języka niezależnie od religji, wchodzimy na pole dla nas niewłaściwe. Żądając podobnego rozszerzenia praw językowych, dotykamy zakresu innych przedmiotów; trzebaby nam wprzódy cały systemat zmienić; trzebaby nam wymagać, ażeby dzieci pochodzenia słowiańskiego, wprzód się nauczyły po polsku lub czesku, zanim im damy elementarz niemiecki, to zaś sprzeciwia się nietylko interesom niemieckim, cywilizacyjnym, ale wystawia na szwank i dobro kościoła. „Oto hic Rhodus, hic salta! księdza Franza. Zresztą ksiądz Franz ma ze swego stanowiska najkompletniejszą rację — niech tylko będzie otwartszym; jego akcję potwierdza dziś orzeczenie ks. Bismarcka na jednem z ostatnich posiedzeń sejmowych — „walkę kulturną podjąłem nie tyle przeciw kościołowi, ile przeciw panoszącym się coraz bardziej żywiołom polskim". Znakomitym zausznikiem żelaznego księcia jest ten katolicki kapłan!

Niech mi wolno będzie przytoczyć inny jeszcze dowód tej opieki nad polskim ludem. Wychodzi w Bytomiu znane pismo „Katolik", którego program nie wiele się różni od innych katolickich pism ludowych. Zapełnia on swe łamy, oprócz krótkich artykułów wstępnych, streszczających zwykle obrady sejmowe, krótkiemi korespondencjami ze wszystkich prawie okolic Górnego Śląska. Uważny czytelnik znajdzie w tych minjaturowych sprawozdaniach mimo arcypobożnej zaprawy w tym rodzaju, że ludzie w tej a tej wsi nie chodzą do kościoła lub jeżeli idą, to kaszlą podczas kazania, że się nie zapisują do różańca, tańczą po karczmach, itp. niejedno pociągnięcie pióra, malujące smutne materjalne położenie ludu zwłaszcza w okolicach hutniczych i niejedną wzmiankę o ucisku, jakiego się dopuszczają urzędnicy i chlebodawcy na swoich podwładnych pod względem moralnym, zakazując im mówić po polsku, zabraniając im niewinnych zabaw i stowarzyszeń polskich i tym podobnych „antikulturnych zachcianek" polskiego ludu. Szczera obrona tej uciemiężonej pod każdym względem ludności oraz polskość „Katolika" była oddawna solą w oku tym panom. Zarzucając mu publicznie buntowanie klas niższych przeciw posiadaczom i „agitację wielkopolską", postanowili ci przedstawiciele śląskiego katolicyzmu zabić „Katolika" i zastąpić go innem piśmidłem, które też od nowego roku wychodzi. Naturalnie, że w tej agitacji przeciw organowi ks. Radziejowskiego prym trzymał ks. Franz, sekundowali mu w godny sposób takie osobistości, jak ks. Philippi i ks. Widera. Charakterystycznem i dosadnie świadczącem o usposobieniu tutejszego kleru było wyrażenie ks. Widery, zwrócone do kanonika Franza „zum Herr Kanonikus, verschaffen sie nur einen tüchtigen Redacteur und wir werden schon das Unsrige thun" — i rzeczywiście, jak wzmiankowałem powyżej, słowo stało się ciałem i zamieszkało między nami.

Od nowego roku bowiem zaczęto wydawać w Katowicach nowe pismo „Monikę“ połączoną nierozerwalnym węzłem z „Aniołem Stróżem“, mające zastąpić „Katolika“. Ażeby to przedsiębiorstwo tem większy miało pokup, postarano się o znakomity passe-partout, o aprobatę największej dla katolików śląskich powagi — wrocławskiego biskupa — Herzoga. Wielkie to zero, przed którem zawsze stoi niezbędne „jedno“, ks. Franz, kazało sobie napisać przez jakiegoś nadwornego znawcę „barbarzyńskiego“ języka rodzaj błogosławieństwa, czyli raczej okólnika, który umieszczono na czele pierwszego numeru, a który dla oryginalności stylu i gramatyki w dosłownym podajemy odpisie:

Wrocław, d. 12 listopada 1885

„Na doniesienie“ z dnia 4 b. m. odpowiadam Wielebnemu księdzu i księdzom (tak!) wespół podpisanym, że założeniem obu pism familijnych (tj. Moniki i Anioła Stróża), napełnia mnie żywą radością. Proszę Boga, żeby to przedsięwzięcie błogosławić raczył. Nie omieszkam polecić je Wielebnemu Duchowieństwu mojej djecezji. Wielebnego księdza proszę wyrazić moje podziękowanie i moje uznanie tym księdzom (tak!) którzy wniosek (jaki?) podpisali, równie jak wszystkim tym którzy to przedsięwzięcie popierają“.

Książę-Biskup † Robert

Wielebnemu książęcobiskupiemu
komisarzowi Dziekanowi
Ks. Mrks w Miechowicach G. K. 5319a.

Rozpoczęto agitować na wszystkie strony, gorliwi o chwałę bożą i postępy germanizacji księża górnośląscy zapowiedzieli podobno — tak przynajmniej pisał „Dziennik poznański“ i my z prywatnej słyszeliśmy strony — że na kolendę nie przyjdą, jeżeli lud „Moniki“ nie zaabonuje, a ks. Sarnez, re-

daktor tego pobożnego świstka, napisał list do Tow. Górnośląskiego przy uniwersytecie wrocławskim, polecając swoje wydawnictwo. Nie mniej ciekawym pod względem ducha i stylu jest i prospekt; przytaczamy go tutaj, aby Szan. czytelnicy mieli jeszcze lepsze pojęcie o kulturze śląskiej:

„Takie czasopismo ma być Monika, podobne do niemieckiego tygodnika, w Donauworth w Bawarji wychodzącego, który katolikom po niemiecku mówiącym jak najbardziej polecamy (co czytelnikom polskiej Moniki do niemieckich katolików?). Nasza Monika ma zawierać nauki dla wszystkich wychowawców, na pierwszem zaś miejscu dla rodziców ludu śląskiego, po polsku mówiącego (czemu nie polskiego? Istnieje nawet pomiędzy członkami Tow. Górnośląskiego prąd, którego zwolennicy nazywają siebie nie polakami, lecz ślązakami po polsku mówiącymi, aby się odróżnić od nadzwyczaj małej garstki tych, którzy się po prostu polakami mienią i szczerze z resztą młodzieży polskiej innych dzielnic sympatyzują), omijając wszelkich (tak!) spraw publicznych, szczególnie politycznych. Wydana (tak!) będzie bez (tak!) waszych księży!“

W dalszym ciągu nie będziemy nudzili powtórzeniem głośnej i tyle razy omawianej sprawy zaprowadzenia języka niemieckiego w kościele w Piekarach, ani też obszernem wytoczeniem procesu znanej taktyki centralistów śląskich podczas przeszłorocznych wyborów do parlamentów, gdzie bądź jak bądź życzliwym interesom polskiego ludu kandydatów Letochę i Szmulę postawiono umyślnie w najniepewniejszych okręgach i to w okręgach, które tym posłom najmniej były znane. Szmulę — obeznanego ze stosunkami ludności hutniczej w okręgu czysto agrarnym, wielko-strzeleckim, przeciwnie zaś Letochę, który stąd właśnie dotychczas posłował, w okręgach hutniczych, wobec interesów, z którymi wzmiankowani

posłowie najmniej byli obeznani. Z drugiej strony panowie śląscy posunęli się względem p. Letochy tak daleko, że zrobiwszy mu podobny co i „Katolikowi“ zarzut, chcieli go prawie gwałtem usunąć i tak go przycisnęli do muru, że szanowny poseł sam się zrzekł pierwotnie kandydatury, nie chcąc, jak się wyraził, narażać interesu ludu wobec możnych chlebodawców, gdyby go tenże mimo opozycji Ballenstraema i Franza do Berlina posłał.

Sądzimy, że tych kilka przykładów starczy na udowodnienie jakiemi uczuciami kierują się nasi serdeczni, sprawiedliwi sprzymierzeńcy, jak ich zwykł zwać „Kurjer“ i „Dziennik Poznański“. Jakżeż wobec tych faktów brzmi rozczulanie się posłów centralistycznych na temat narodowości polskiej, jakiem kłamstwem wydają się choćby te słowa ślązaka Porscha: „Co do języka, to jesteśmy za tem, aby górno-ślązak uczył się języka niemieckiego, ale przedewszystkiem chodzi o to aby on wogóle czego się nauczył i aby się religji dostatecznie nauczył. Temu na zawadzie stoją atoli środki zbyt gwałtowne, a tego rezultat, że kształcenie ludu na Śląsku daje powód do obaw, że i dzieci nie mają dostatecznych wiadomości religji“. Kłamstwo to mieści w sobie wielką dozę prawdy — normę, podług której kierują się powolni germanizatorzy; mieści w sobie słowa, które się stały ewangelją śląskich katolików: germanizować powoli, a prędzej przyjdziemy do celu.

Przechodzę dalej do zanotowania kronikarskim sposobem kilku jeszcze faktów, charakteryzujących dosadnie działalność rządową w naszej prowincji. Najprzód rozporządzenie landrata raciborskiego, podług którego „wszyscy ci polacy, którzy bez pomocy tłumacza mogą się porozumieć w niemieckim języku, powinni być wpisani w odnośnej rubryce pism statystycznych jako niemcy“. Powód do tego dało p. landratowi liczenie ludności, które wykazało, że liczba zamieszkałych w powiecie

raciborskim niemców, z wyjątkiem miasta samego — wynosi w stosunku do ogólnej liczby mieszkańców, zaledwie 14%. Dalej ukaz królewskiej prokuratorji, aby urzędnicy sądowi zdawali szczegółowe raporty, ile dzieci polskich nie może dawać zeznań sądowych dla braku znajomości języka niemieckiego i aby potem raporty te posyłali z wyszczególnieniem narodowości rodziców odpowiednim inspektorom szkolnym. Jest aż nazbyt widoczne zakreślenie programu, jak ci cywilizatorzy mają sobie w szkole postępować.

Wogóle szkoła na Śląsku nie jest ogniskiem nauki lecz raczej siedzibą najwstrętniejszego wyzuwania dzieci ze wszystkich szlachetnych uczuć. Odpowiedniemi dla tych celów kreaturami są nauczyciele. Po większej części synowie chłopscy, przyzwyczajeni od samej młodości do gięcia się przed „panem", który do tego jest niemcem, nie słysząc nigdy o jakichkolwiek węzłach, które ich łączą z pniem rodzinnym, wchodzą młodzi do seminarjum. Tu naturalnym sposobem nałykawszy się wyziewów „cywilizacyjnych", poznawszy przytem społeczną różnicę pomiędzy ukształconym i honorowanym niemcem, a szorstkim i pogardzanym chłopkiem polskim, nabierają powoli nienawiści do własnego gniazda i jak wszyscy nowochrzceńcy stają się „plus pape que le pape".

Demoralizowani przytem przez rząd, który za każde ich gadzinowe ukąszenie obdarza orderem i gotówką, posuwają się w swym germanizacyjnym zapale do tego stopnia, że pod surową karą zakazują dzieciom mówić lub śpiewać po polsku nawet we własnym domu. Mimo to wszystko jednakże język niemiecki nie robi spodziewanych postępów; nauka uprawiana w takiej szkole i przy takich warunkach zamiast umysł ożywić i rozwinąć, zabija. „Schlesische Volkszeitung" nawet przytoczyła w pierwszych tygodniach tego roku list jakiegoś księdza, który treścią swoją zadaje kłam pruskiej cywilizacji.

„Co to jest, pyta się rzeczony ksiądz chłopca w szkole, pokazując mu liczbę „pięć“? „To jest fünf“ odpowiada malec. Co to jest „fünf“? „ja nie wiem“. Widziałeś już „fünf“ gruszek? „Nie“! A widziałeś „pięć“ gruszek? Dopiero na to chłopiec dał przytakującą odpowiedź! Ustęp ten powtórzyliśmy dosłownie za rzeczoną gazetą. O licznych postępach w języku niemieckim i wogóle o stanie cywilizacyjnym na Śląsku dzięki tej taktyce świadczy i tabela, którą za gazetą „Post“ podaje „Schlesische Ztung“ organ tutejszych konserwatystów czy nacjonał liberałów, jak chcecie, gdyż dwa te stronnictwa splotły się obecnie w uścisku wężowym w nikczemne „jedno“. Oto i liczby: w obwodzie rejencji wrocławskiej wzrosła liczba rekrutów, nie mających wcale znajomości języka niemieckiego od r. 1882/3 do 1884/5 z 0,78 na 0,93; analfabetów zaś było na 1000 rekrutów w obwodzie rejencji:

	1866/7	1871/2	1875/6	1880/1	1881/2
wrocławskiej	64	18	16	6	4
lignickiej	7	6	11	9	4
opolskiej	75	68	67	43	35

Na każdy 1000 rekrutów posiadających szkolne wykształcenie, znajduje się jednakże pewna liczba takich którzy tylko po polsku pisać i czytać umieją a mianowicie:

w rejencji	1866/7	1871/2	1875/6	1880/1	1884/5
wrocławskiej	6	8	9	11	9
opolskiej	408	480	421	424	352

Można sobie wystawić jakim strachem napełniają kulturników pruskich liczby z Opolskiego.

Ten sam dziennik podaje dalej, że w czasie czterech lat, t. j. od r. 1881 do 1884 zawarto na Śląsku 1.942 ślubów pomiędzy analfabetami; dalej że na 128.815 ślubów, w tym

samym czasie zawartych, nie umiało się podpisać mężczyzn 4.003 a kobiet 7.261.

Wymowne to cyfry, i świadczą — zwłaszcza ostatnie — o stanie szkolnictwa w naszej prowincji.

Widzą to i katolicy tutejsi i zalecają rządowi, aby dla germanizacji powoli kopał kanały, gdyż w ten sposób prędzej do portu zawinie — „germanizacja na Górnym Śląsku postępowała normalnie, a gdyby się tu i ówdzie wstrzymała i w miejsce jej weszła propaganda narodowo-polska, to jedynie rząd byłby temu winien, z powodu wprowadzonej tu sprawy językowej i kulturkampfu“, mówił w sejmie temi dniami powyżej już wspomniany adwokat wrocławski, p. Porsch. Tyle na dzisiaj.

POSŁOWIE TOMU XIX—XXII

Tytułem „Pisma prozą" objęliśmy artykuły i przemówienia treści literackiej i społecznej z całego okresu działalności publicystycznej. Zgodnie z zapowiedzią podział tych pism jest grupowy, nie chronologiczny. Ponieważ poszczególny tom tych pism nie reprezentuje jakiejś pory rozwoju więc obejmujemy uwagi o nich jednem posłowiem — sumarycznie.

Dłuższe wykłady uniwersyteckie wymagają bądź opracowania przez specjalistów — prof. Witold Klinger przygotowuje wydanie wykładu o Prometeizmie — bądź dłuższej pracy przygotowawczej nad rękopisami, niekiedy bardzo trudno czytelnemi lub niekompletnemi. Dlatego pomijamy je tutaj, uwzględniając tylko krótsze prelekcje uniwersyteckie, albo ogłoszone już drukiem, albo zachowane w czytelnym rękopisie.

Z recenzyj teatralnych, pisanych pod przymusem, nie odzwierciadlających indywidualności twórcy dajemy tylko parę. Pomijamy też parę nie posiadających znaczenia korespondencyj z czasów studenckich, broszurkę społeczno-historyczną o charakterze kompilacyjnym „Moskwa wobec unji i Polski" Lwów nakł. Tow. im. Staszica 1889 i dwa przemówienia (na obchodzie jubileuszu Teatru Narodowego w Pradze 1915 oraz mowy rektorskiej 1921) z powodu braku rękopisów. Z małemi wyjątkami pisma te przedrukowane zostały z pierwodruków czasopismach; nie posiadając rękopisów nie mogliśmy w paru miejscach po-

prawić tekstu niejasnego. Swoisty sposób przestankowania w artykułach z wczesnego okresu, jako oddający tok myśli, zachowaliśmy bez zmiany.

Trudności szczególne nasuwały rozprawy o Lenartowiczu, ponieważ artykuł „Wieś polska a poezja Lenartowicza" jest innem nieco ujęciem jednej kwestji poruszanej w broszurze o tym pisarzu z 1893 a artykuł o Lenartowiczu z „Pamiętnika" 1905 r. — teza doktorska Kasprowicza, — przeróbką i uzupełnieniem tejże broszurki popularnej z 1893. Zestawienie tych dwu rozpraw byłoby ciekawe dla interesujących się postępem kultury intelektualnej poety. Z powodu przeniesienia do późniejszej rozprawy całych ustępów z pierwszej niepodobna było drukować obydwu in extenso.

Obrano więc sposób kompromisowy:

Z pierwszej rozprawy daliśmy te początkowe rozdziały, których treść jest odrębna lub w najmniejszym stopniu przypomina rozprawę z 1905 przedrukowaną, prócz not w całości. I w ten jednak sposób nie dało się uniknąć dwukrotnego drukowania paru mało zmienionych ustępów a nawet identycznych zwrotów. Za lepsze uważaliśmy to jednak od psucia kompozycji poszczególnych rozdziałów przez usuwanie zdań, które były, lub miały być powtórzone.

Materjał ugrupowany został w ten sposób, że naprzód daliśmy rozprawy o literaturze polskiej, następnie — o literaturze obcej; potem rozprawy treści społecznej, przemówienia i feljetony.

Nieszczerym pietyzmem byłoby przypisywać tym artykułom czy przemówieniom wybitną wartość. Większość z nich — wręcz przeciwnie, posiada bardzo małą wartość bezwzględną, są między innemi słabe nawet artykuliki literackie. Pośrednia wartość tych rzeczy jest wieloraka. Jedne, jak artykuły o Mickiewiczu czy Lenartowiczu rzucają światło na przekonania i umiłowania poety. Inne, jak n. p. artykuł o Hauptmanie, charakteryzują

epokę, gust i ruch literacki tych czasów. Inne, jak przemówienia patrjotyczne — hart, trzeźwość, chłopską mądrość i tężyznę duszy poety. Są wreszcie i takie, jak korespondencje z czasów studenckich, które mogą służyć za przyczynki do dziejów historji kultury naszej w tych czasach, do historji rozwoju poety. A wszystkie one dają nam pewne wyobrażenie o Kasprowiczu jako obywatelu, o jego szarym dniu pracy, o jego służbie społecznej jako szeregowca, o zgodności jego czynów i haseł, o trudzie i pracy w jego rozwoju, o poziomie umysłowym środowisk i czasów w jakich musiał tworzyć i walczyć. Nie zaimponuje nikomu Kasprowicz jako historyk literatury, czy uzdolniony literat, ale imponuje, budzi cześć i miłość najwyższą we wszystkiem jako człowiek — siłą moralną, jędrnością umysłu, zgodnością z samym sobą.

NOTY BIOGRAFICZNE

Życiorys jest — w jeszcze większym stopniu niż dziejopisarstwo — tłumaczeniem znaczenia i związku faktów — nietylko ich zbiorem. Jak historja jest więc życiorys konstrukcją, nie mogącą rościć pretensji do odtworzenia życia twórcy. Życiorysy artysty są nadto zazwyczaj jednostronne: uwzględniają przedewszystkiem życie od strony jego przejawów w sztuce. Niczyja twórczość jednak, nawet najwspanialsza i najszczersza, nie wyraża życia bez reszty a stosunek życia duchowego w sztuce poprzez sztukę do życia rzeczywistego twórcy nie jest bynajmniej tak prosty, jak się napozór zdaje. Wszak w sztuce wyraża się często to, co w życiu rzeczywistem zostało stłumione lub niezrealizowane — albo to, co stanowi podświadomy element — albo to, co jest marzoną tylko nie rzeczywistą możliwością indywidualności twórcy. Twórczość nie jest więc nigdy tylko odbiciem życia. Ludzie talentu interesują nas „od strony swej sztuki", ale bogata i wielka indywidualność winnaby być poznana nietylko w tem, co z niej przejawiło się w sztuce, ale we wszystkich zasadniczych rysach swej struktury. Trudnem zadaniem, które trzeba podjąć w przyszłości, będzie charakterystyka Kasprowicza, obejmująca całokształt rozwoju jego indywidualności, traktująca twórczość i stosunek życia do twórczości jako integralną część tak pojętej całości.

Dziś w toku pośpiesznie posuwającego się naprzód wydawnictwa, wobec braku materjałów musimy się ograniczyć do krótkiego prowizorycznego rzutu ważniejszych danych biograficznych. Jan

Kasprowicz urodził się we wsi Szymborzu na Kujawach pod Inowrocławiem, 12 grudnia 1860 roku, jako najstarszy syn ubogich włościan, Piotra i Józefy z Kloftów. Lata dziecinne poety znamy w ogólnych zarysach z ich poetyckiej transpozycji w „Wojtku Skibie". Chorowity, nie zdradzający zainteresowań praktycznych chłopiec nie budził w ojcu nadziei na pomoc i wyrękę. Miłość i wyrozumienie znajdował przedewszystkiem u matki, dla niej też specjalnie zachował głęboką miłość do końca życia. Jej też zawdzięcza pierwsze bodźce, rozbudzające w dziecięcej duszy tęsknoty, wiodące poza rzeczywistość otaczającą. Idąc na odpust do starej kolegjaty w Kruszwicy, lub na inne uroczystości zabierała chłopca ze sobą i na takich wędrówkach, bądź też przy innej sposobności, opowiadała mu legendy, związane z miejscowościami, bądź zabytkami. Ustęp o religijności Lenartowicza w rozprawie Kasprowicza, tak wyraźnie subjektywny, świadczy, jakie wrażenie musiały zrobić na małym Janku obrzędy religijne, jak fascynowały wyobraźnię, jak budziły drzemiące skłonności mistyczne i artystyczne. Zadatki na twórczość artystyczną przejawiły się najprzód w kierunku rysunku. One też zaważyły na dalszych losach chłopca, choć już jako uczeń szkoły powszechnej zyskał sympatję i zainteresowanie nauczyciela, Dybalskiego. W roku 1873 Janek Kasprowicz narysował na drzwiach Kujawiaka i Kujawiaczkę w strojach ludowych. Rysunki te tak zainteresowały bawiącego przejazdem w Szymborzu pana Wysockiego, że postanowił zająć się chłopcem i udał się na naradę do nauczyciela Dybalskiego. Ten również był zdania, że chłopcem należy się zaopiekować. Janek Kasprowicz był już wtedy uczniem gimnazjum w Inowrocławiu (od r. 1870) codzień rano, zimą i latem, musiał wędrować kilka kilometrów z Szymborza do Inowrocławia. Od czasu zainteresowania, jakie mały Janek wzbudził rysunkami, losy jego o tyle się poprawiły, że pan Wysocki wspólnie z doktorem Czaplickim opłacali wpis szkolny. Największem ułatwieniem w trudnem po-

łożeniu chłopca było to, że znalazłszy ludzi, którzy się nim zainteresowali i przyjaciół w szkole, braci Kryszewskich, nie potrzebował już chodzić piechotą do szkoły tylko udawał się do znajomych sąsiadów w pobliżu a ci odsyłali go, wraz z własnemi dziećmi, końmi do gimnazjum a po lekcjach przywozili z powrotem. Około roku 1876 zainteresował się losami chłopca Józef Kościelski z Szarleja i trochę mu pomagał, zamierzał nawet kształcić go na malarza, ale po namyśle Janek oświadczył, że woli się uczyć w gimnazjum. Chętkę do rysunków, która tak wpłynęła na jego losy, zachował poeta do końca życia, choć nie odgrywała ona ważniejszej roli w jego twórczości. Stosunki z Kościelskim zachował poeta do czasów uniwersyteckich, raz czy dwa po wyjeździe na uniwersytet otrzymał od niego pieniądze, ale potem Kościelski o systematycznem udzielaniu pomocy nie pamiętał, a poeta się nie chciał przypominać. Okres pobytu w gimnazjum należał do bardzo przykrych. Składały się na to i ciężkie warunki materjalne rodziców, i system germanizacyjny, a także brutalny, pogardliwy stosunek kolegów szkolnych do Kasprowicza, jako syna chłopskiego. Nauka nie szła gładko, temperament chłopca był przyczyną kilku zatargów z władzą szkolną a krnąbrne „stawianie się" spowodowało konieczność wędrówek po różnych zakładach. Najprzód po zatargu z nauczycielem przeniósł się przyszły poeta na krótko do Poznania, potem do Opola, stamtąd do Raciborza, gdzie bawił do r. 1883. Po awanturze z nauczycielem przeniósł się znowu do Poznania, gdzie zdał maturę w gimnazjum Marji Magdaleny 1884 roku. Bawiąc na Śląsku żywo interesował się losem ludu i robotnika polskiego, w Poznaniu był duszą związku stowarzyszeń, wzorowanych na związkach Filomatów i Filaretów. Szczęśliwym trafem rodzina Kryszewskich (z dwoma braćmi kolegował i przyjaźnił się już w Inowrocławiu) przeniosła się również w tym czasie do Poznania i w ich domu odnalazł znów Kasprowicz czystą i przyjazną atmosferę. Z siostrą kolegów, Walerją Kryszewską łączyła poetę

młodzieńcza przyjaźń miłosna. Panna marzyła o poświęceniu się muzyce i jej to poeta zawdzięcza pierwsze zetknięcie się z kulturą muzyczną. Z nią prowadził rozmowy o literaturze i sztuce, jej zwierzał się ze swych planów i poświęcał poezje młodzieńcze, w niej znajdował wiarę w swoją przyszłość poetycką. U Kryszewskich, pod pozorem koncertów panny, odbywały się zebrania Filaretów poznańskich. Dawne marzycielskie skłonności ustępowały w tych czasach coraz bardziej, (choć nienawistne wiersze do wrogów pisywał oddawna), młodzieńczemu radykalizmowi, w antyklerykalnych i antykonserwatywnych zapędach. Temperament i weny poetyckie bróździły w pracy szkolnej, jednak już w gimnazjum niemieckie wiersze p. t. „Macht des Gesanges" i „Agamemnons Ermordung und Rache des Orestes" zyskały uznanie nauczycieli.

Na studja uniwersyteckie udał się Kasprowicz najprzód do Lipska. Historja kultury, filologja klasyczna, literatura nowoczesna pociągały poetę najbardziej. Prof. Ludwik Krzywicki, który bawił wówczas również na studjach w Lipsku, charakteryzuje ówczesnego Kasprowicza, jako młodzieńca o zupełnie jeszcze nieskrystalizowanych poglądach społecznych i nie przeczuwającego nawet swej wielkiej drogi poetyckiej, wrzącego nienawiścią przeciw konserwatyzmowi i kościołowi — przytaczał między innemi referat Kasprowicza o papieżach, wygłoszony na zebraniu studenckiem. — Wiódł wtedy Kasprowicz żywot burzliwy, szybko zmieniał przedmioty, zawsze gwałtownych miłości, pracował niesystematycznie, dorywczo, okresami, nieraz niesłychanie intenzywnie. (Potrafił np. bez przerwy niemal dniami i nocami pracować nad przekładem Shelleya, dopóki go nie ukończył). Małym swym groszem gospodarować nie umiał, wskutek tego nadszarpywał zdrowie i siły niehigjenicznem odżywianiem. Uwagę Krzywickiego zwróciła wówczas u Kasprowicza zdolność malowania typów chłopskich w opowiadaniach o ludzie, szcze-

gólniej dziewczyn wiejskich. Po roku przeniósł się Kasprowicz do Wrocławia w nadziei łatwiejszego znalezienia tam zarobku. Tam brał żywy udział w ruchu robotniczym patrjotyczno-socjalistycznym, za który dostał się na skutek denuncjacji pierwszej swej żony do więzienia.

Pierwsze małżeństwo Kasprowicza było nierozważnym krokiem młodzieniaszka, który dał mu gorzkie doświadczenie. Cały ten dramat charakteryzuje oscylacje młodego Kasprowicza między wielką zmysłowością i wielkim idealizmem. Była to Polka, zamieszkała we Wrocławiu, starsza od poety, ale piękna. Małżeństwu nic nie stało na przeszkodzie, była to bowiem osoba zamożna, posiadająca willę we Wrocławiu. Usposobienie jej jednak, w wysokim stopniu histeryczne, prowadzące do niesamowitych awantur i erotomanji, unieszczęśliwiło poetę i otworzyło mu oczy na położenie, w jakiem się znalazł. Walerja Kryszewska, przyjaciółka lat młodzieńczych, której się poeta wkrótce po ślubie — podczas pobytu w Poznaniu — zwierzał, iż „ma chałupę i kobietę", pisze w swojem wspomnieniu, iż poeta na uczcie, na której wszyscy byli „zawiani", dał się namówić na ślub cywilny, a potem kroku tego żałował. Rodzice Marjana Seydy doradzili bawiącemu wówczas w Poznaniu Kasprowiczowi, aby się rozwiódł. Kasprowicz poszedł za ich radą, a denuncjacja i następne uwięzienie Kasprowicza były aktem zemsty opuszczonej żony. Ta wkrótce potem rozchorowała się na nerwy i umarła, zapisując poecie w testamencie willę, której on jednak nie przyjął. Reminiscencje tego przeżytego przez poetę, dramatu odnaleźć można w początkowych pieśniach poematu „Miłość"[1]). Motyw miłości-grzechu,

---

[1]) *Cytowana w „Miłości" „Violetta" kojarzyła się poecie z jakimś faktem z okresu tego nieszczęśliwego pożycia i stąd poeta na całe życie zachował przesąd, że po bytności „na Traviacie" spotka go jakieś nieszczęście i nigdy na tę operę nie chodził.*

aczkolwiek zbiegał się z prądami metafizyki życia erotycznego w literaturze na schyłku XIX wieku, nie był więc w tym poemacie bynajmniej literackim, przeciwnie — bardzo osobistym. Może bez tego dramatu życiowego nie przejawiłaby się w literaturze tak silnie cecha zmysłowości Kasprowicza, siła namiętności, o której, chcąc przedstawić sobie całą osobowość Kasprowicza w pewnym okresie jego życia, nie można zapominać.

Okres życia spędzony w więzieniu (6 miesięcy w r. 1887) nie był bardzo przykrym, gdyż poeta zjednał sobie dyrektora więzienia niemieckiemi wierszami. Tegoż roku, przed osadzeniem w więzieniu, był poeta jako delegat młodzieży na pogrzebie Kraszewskiego[1]*) w Krakowie i wtedy, jak pisze Z. Wasilewski, poznał się z Henrykiem Rewakowiczem i Bolesławem Wysłouchem. Ci namówili go, aby się przeniósł do Lwowa, gdzie też od r. 1889 osiadł poeta na stałe. W pierwszych latach pobytu we Lwowie bliższe stosunki łączyły go z Bolesławem i Marją Wysłouchami t. zw. ludowcami. Prawdopodobnie to otoczenie sprzyjało uświadomieniu poety, co go dzieli od socjalistów. W tym też czasie interesuje się poeta żywo artykułami Jana Ludwika Popławskiego. Władysław Jabłonowski pisze w swem wspomnieniu (nadesłanem do red. Księgi Pamiątkowej Kasprowicza), iż Kasprowicz przy spotkaniu z Popławskim w r. 1890 na uroczystości mickiewiczowskiej w Krakowie mówił Popławskiemu, iż w „Głosie" czytuje przedewszystkiem jego piękne artykuły. Wpływ Popławskiego zapewne wzmocnił się z jego przeniesieniem się do Lwowa. Cały okres współpracownictwa w „Kurjerze Lwowskim" był*

---

[1]) *Kraszewski był też jednym z protektorów talentu K-a; zachował się list poety do Kraszewskiego w którym dziękuje za polecenie go redakcji „Kłosów", w piśmie tem jednak żadnego wiersza pod wymienionym w tym liście pseudonimem, „Gopliczanin", niema.*

bardzo ciężki dla poety. Artykułów politycznych nie pisywał, zarabiać więc musiał czarną robotą dziennikarską, do której należały i dyżury nocne i „praca nożyczkami". Praca ta wynagradzana była bardzo nędznie, dorabiał więc poeta, pracując jednocześnie na polu oświatowem, popularnemi broszurkami, wydawanemi w towarzystwie im. Staszica („Rosja wobec Unji i Polski" 1889, „Żywot Karola Marcinkowskiego" 1891, „Lirnik mazowiecki" 1893). Działalność społeczną Kasprowicza pętały władze austrjackie, będące w porozumieniu z władzami pruskiemi. Już sam pobyt w Austrji umożliwiono Kasprowiczowi tylko naskutek interwencji Kazimierza Badeniego, uzyskanej za wstawiennictwem Adama Asnyka. Badeni jednak, przejęty lojalnością wobec Austrji, groził Kasprowiczowi, „że go wyrzuci z Austrji jeśli się nie uspokoi". Dziennikarską i popularyzatorską pracę łączył Kasprowicz z pracą tłumacza, wynagradzaną również bardzo licho. Podnietę dla twórczości artystycznej dostarczała obfita lektura poetów obcych i letnie wyjazdy w Tatry. Warunki finansowe stały się dla poety jeszcze trudniejsze od czasu małżeństwa w r. 1892 z Jadwigą Gąsowską. Poetyckim wyrazem szczęścia, jakie znalazł w tej miłości Kasprowicz, jest „Amor Vincens" i „Miłość" z cyklu „Z gór" . W roku 1894 odbył poeta podróż do Szwajcarji i północnych Włoch, która dała obfity plon poetycki („Krzak dzikiej róży"). W tym czasie zaczyna się ożywiać życie kulturalne Lwowa, a poeta zyskuje sympatje i uznanie nietylko wśród elity, lecz i w szerszych kołach inteligencji. Jeden z bliskich znajomych ówczesnych Kasprowiczów, historyk i publicysta Ernest Łuniński, zwrócił mu uwagę na niemieckie utwory rodaka, Stanisława Przybyszewskiego, z którym Kasprowicz znał się z czasów szkolnych na Kujawach, ale później nie utrzymywał żadnych stosunków. Przyjazd Przybyszewskiego do Lwowa w r. 1899 i odnowienie znajomości z Kasprowiczem miały bolesne dla poety następstwa. Żona poety

dała się porwać urokowi, jaki wywierała w owych latach twórczość Przybyszewskiego i opuściła dom Kasprowicza. Szarpana tęsknotą do dwóch pozostawionych małoletnich córeczek, które poeta po wyjeździe żony z tkliwością wychowywał, powracała jeszcze parokrotnie do męża, by go znowu dla Przybyszewskiego opuścić. Po tych nieudanych prośbach nawiązania zerwanego stosunku poeta w gniewie i bólu się zapamiętał: zakazał żonie nawet widywania dzieci, oddawszy je pod opiekę siostry żony, Anny Gąsowskiej i dopiero po latach zakaz ten cofnął. W tych to latach zawodu i bólu zrodził się cierpieniem nabrzmiały hymn „Święty Boże". Koncepcja tego hymnu nasunęła się poecie podczas pobytu w Zaleszczykach, gdzie poeta spędził (razem z córkami) lato 1899 r. W przedsionku kościoła parafialnego wmurowana jest tablica, poświęcona pamięci zmarłych w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia na cholerę i morowe powietrze. Wrażenie tej tablicy skojarzyło się w umyśle poety z opowiadaniami jego matki o strasznej klęsce cholery, która nawiedziła Kujawy. Hymn napisany został w Zaleszczykach 1899 r.

Dramat przeżyty głęboko zapadł w duszę poety, i nurtował go długie lata: Świadczy wymownie o tem i książka „O bohaterskim koniu i walącym się domu" i „Ballada o Słoneczniku". Zawód poety nie był pierwszym, odsunął się więc od ludzi i mimo tej żywiołowej serdeczności tej niezwykłej prostoty i łatwości w obcowaniu z nimi, zachowywał zawsze pewien dystans w stosunku do swego ja intymnego. Cierpienie nie oderwało poety od intenzywnej pracy; brał żywy udział w pracach „Związku naukowo-literackiego" (od roku 1898 do 1914 był jego wiceprezesem) i nie ustawał w pracy tłumacza. Według informacyj prof. W. Hahna, od r. 1900 datuje się praca Kasprowicza nad przekładami z Ajschylosa. W tym właśnie roku w czasopiśmie „Eos" wydrukowano urywek z Choefor tego tragika. Podstawową pracą zarobkową pozostaje wciąż dziennikarstwo. W roku 1902 prze-

chodzi Kasprowicz do „Słowa Polskiego". Przejścia tego, spowodowanego lepszemi warunkami, jakie w piśmie tem poecie zaofiarowano, nie należy uważać jako symptom zmiany przekonań politycznych. W tych zachowywał poeta zawsze niezawisłość myśli i trzeźwość sądu; irytowały go zawsze mocno zakusy i próby aneksji na męża partji i nadużywanie jego nazwiska, jako sztandarowego. Możemy co się tyczy tej kwestji, ufać świadectwu tak wiarygodnemu jak Leopolda Staffa. Kasprowicz był zawsze radykałem, nieustępliwym bojownikiem praw narodowych i demokratycznych, obce mu były kompromisy i wybiegi partyjne jak: racjonalizm a wstrętną i nienawistną ugodowość we wszelkiej formie. Współpraca w „Słowie" zbliżyła go z Janem Ludwikiem Popławskim, którego oddawna cenił i z Zygmuntem Wasilewskim, który był jednym z pierwszych wielbicieli i propagatorów twórczości Kasprowicza.

Namawiany głównie przez prof. Kazimierza Twardowskiego, pragnącego wydobyć poetę z trudnych warunków finansowych, zapobiec rozpraszaniu jego sił na dorywcze prace zarobkowe, zużytkowania natomiast wielkiego oczytania poety dla celów pedagogicznych, postanowił poeta przygotować się do objęcia katedry literatury porównawczej. Twardowski zaprzągł Kasprowicza do złożenia doktoratu (za tezę posłużyła rozszerzona w tym celu rozprawa o Lenartowiczu) i wziął na siebie wszystkie zabiegi, a poeta zgodził się na to pod presją troski o byt córek. W roku 1908 otrzymał nominację a wiosną 1909 roku rozpoczął wykłady. Nietyle przeciw systematycznej naukowej pracy, ile przeciw urzędowym i oficjalnym wystąpieniom buntowało się całe jestestwo poety, jego powołanie do wolnej inspiracyjnej twórczości, jego krnąbrna prosta i szczera natura. Przejęty zapałem dla jakiegoś pisarza mógł wygłosić przepiękny odczyt jak np. 1895 roku o Shelley'u, natomiast praca na zamówienie była mu wstrętna, a w oficjalnych przemówieniach bywał do naiwności nieśmiały

i nieporadny. Zbyt silne miał jednak poczucie odpowiedzialności społecznej, by się od raz podjętej pracy uchylać. Rzetelność w wypełnianiu obowiązków była jedną z najistotniejszych jego cech. Bardzo trafnie i precyzyjnie scharakteryzował tę stronę charakteru poeta Michał Pawlikowski w tych słowach swego wspomnienia: „Nikt nie zdaje sobie sprawy z tego poczucia powagi spraw, których się podjął, z tej solidności przekonań i solidności obywatelskiej, które go (K-a) cechowały. Kasprowicz był mocarzem wysiłku, przez który prowadził go niezłomny charakter, tak jak przez opór formy prowadziła go jego wielka, czująca dusza i gorące serce poety". Lecz ta lojalność względem obowiązków, które mu nie odpowiadały, pojęta może zbyt ogólnikowo, sprawiła, że niepotrzebnie naginał się do tego, co było konwencją, nie istotnym warunkiem spełnienia na katedrze swego zadania. Starając się być profesorem, podobnym do innych, pozbawił Kasprowicz swe wykłady najcenniejszego pierwiastka swej twórczości, inspiracyjno-uczuciowego: Przygotowywał się do wykładów pracowicie i pisał je przed wygłoszeniem. Dlatego też wykłady były dla poety strasznym ciężarem, nie czuł się na katedrze sobą i wstydził się swych wykładów. Gdy przyjaciele Kasprowicza, wiedząc o tem, przekomarzali się i „grozili", że przyjdą na wykład, zaklinał ich, żeby mu tej przykrości nie robili.

Mimo, że przygotowywanie do wykładów pochłaniało mu wiele czasu, był jednak poeta już swobodniejszym i mógł częściej pozwalać sobie na ożywczo na jego twórczość działające podróże. Dawne ciężkie warunki finansowe sprawiły, że stosunkowo późno poznał Włochy i Anglję, choć dawno jako tłumacz z duchem kultury tych krajów obcował. Zamierzając pisać hymn św. Franciszka, przebywał w Assyżu a „Salve Regina" napisał w Rzymie. To była zdaje się, pierwsza dalsza, po szwajcarskiej, podróż Kasprowicza. Szczególnie pokochał Włochy, świetnie zawładnął językiem i lubował się włoską poezją ludową. (Włochy poznał

poeta dokładnie w szeregu podróży, odbytych przeważnie w towarzystwie Leopolda Staffa). Wolny od jarzma dziennikarskiego, mógł sobie Kasprowicz pozwolić na dłuższe przebywanie w Poroninie. Tatry odegrały ogromną rolę w kształtowaniu jego wyobraźni artystycznej i bez nich niepodobna sobie wyobrazić twórczości Kasprowicza. Ale chociaż ten pejzaż dominuje w „Księdze ubogich" i „Moim świecie", zbyt silnie zrośnięta była jego dusza z pejzażem kujawskim, aby wizje rodzinnych pól nie wyłoniały się we wszystkich potężniejszych erupcjach twórczych (Hymny12), we wszystkich tęsknotach za przeszłością („O bohaterskim koniu", „Moja pieśń wieczorna", „Chwile"). W kategorjach tych dwu pejzaży tworzyła wyobraźnia Kasprowicza, a pełnię swej osobowości odczuwał tylko w otoczeniu przyrody. Z ludźmi żył raczej na płaszczyźnie zainteresowań intelektualnych i kulturalnych, wyjątkowo tylko zawierając ściślejszą przyjaźń, jak z Leopoldem Staffem. Z pośród wybitnych pisarzy swej epoki zbliżył się nadto tylko z Żeromskim i to dopiero pod koniec życia, w czasie wojny. Nie wyłączało to zresztą łatwości i prostoty obcowania z mnóstwem ludzi, którzy do niego lgnęli. Te właśnie cechy i ten przy dobrym trunku rodzący się humor „dobrym towarzyszom gwoli", jednały mu przyjaciół oddanych wśród bardzo różnych ludzi, nader często nieliczących się nietylko z dystansem, jaki ich od poety dzielił, ale i nie szanujących czasu poety. Talent przywiązania a nawet spoufalania ludzi nie zmieniał istoty stosunku do nich, który dobrze sformułowała Maryla Wolska w ten sposób: „odgraniczał się od nich najczęściej milczeniem lub żartem. Czynił zawsze wrażenie szorstkiego puzdra, w którym ukrywał się skarb".

Pod jesień żywota znalazł poeta przyjaźń i miłość, Rosjanki, Marji Buwin. Pierwszy raz poznał się z nią we Włoszech jeszcze 1906, decydującem było jednak dopiero spotkanie w 1910 r. we Lwowie, podczas jej powrotu z Włoch do Rosji. Różne względy a szczególniej wzgląd na córki, moralność i różnice wieku, spra-

wiły, że poeta długo się wahał, zanim zdecydował się na małżeństwo, zawarte w r. 1911. Związek ten niewątpliwie przyczynił się do sciszenia tych rozterek, jakie władały duszą poety. Inteligencja, głębokie i wierne oddanie żony, sprawiły, że znalazł w niej powiernicę natchnień twórczych i wyrozumiałą towarzyszkę, a potem tkliwą i wytrwałą opiekunkę w ostatnich latach życia.

W zbiorku „Chwile" (liryki, należące do tego zbiorku były drukowane przedtem w pismach, poczynając od „Ateneum Polskiego" w r. 1908) znajdujemy kilka listów poetyckich pisanych do przyszłej żony, jej poświęcił „Marchołta" i do niej zwraca się w „Księdze ubogich".

Wojna rozogniła żywe zawsze uczucia patrjotyczne poety, napełniła go wiarą, że spełnia się jego zapowiedź w nadejście nowego jutra. Od chwili wybuchu wojny przechylił się wyraźnie do orjentacji koalicyjnej i stanął na jej gruncie z właściwą sobie siłą i namiętnością przekonań. Wybuch wojny zastał Kasprowicza w Poroninie, gdzie pozostał do jesieni 1915 r. Wróciwszy do Lwowa, przebywał tam stale do końca wojny, zajęty uniwersyteckiemi wykładami i działalnością polityczną, w której brał żywy udział. Po napisaniu „Księgi ubogich", pochłonięty duchowo zagadnieniami politycznemi, nie mógł swobodnie oddawać się własnej twórczości; przełożył podczas wojny wszystkie dzieła Eurypidesa i szereg dramatów Szekspira. W szeregu satyrycznych wierszów drukowanych w „Szczutku", dawał Kasprowicz wyraz pogardzie dla małoduszności i kompromisowości, zawodowych i niezawodowych polityków i budził tę wiarę w ostateczny triumf sprawy Polski, którą utożsamiał z triumfem wartości moralnych nad złem w świecie. W przemówieniach publicznych wzywał do hartu i godności narodowej, w podróżach do Warmji, na Mazury i na Pomorze w czasach ustalania granic Polski budził poczucie narodowe. W ostatnim okresie życia

pracował dużo nad przekładami, głównie Szekspira i starych ballad angielskich. Chory na cukrzycę i serce, nie opuszczał umiłowanej swej „Harendy", willi położonej w Zakopanem na drodze do Poronina, którą nabył w r. 1924 i gdzie zmarł 1 sierpnia 1926 roku. „Mój świat" napisany został w tej ciężkiej śmiertelnej chorobie.

Charakterystykę poety i jego twórczości zawierają dwie monografje Zygmunta Wasilewskiego: „Jan Kasprowicz, zarys wizerunku", 1923 i Stefana Kołaczkowskiego: „Twórczość Jana Kasprowicza", 1924 a nadto wspomnienia o Kasprowiczu Z. Wasilewskiego. Tu ograniczyć nam się wypada do kilku rysów zasadniczych.

Kasprowicz był najpotężniejszą osobowością wśród poetów i pisarzy końca XIX-go i początku XX-go wieku w Polsce. Jako organizacja religijno-moralna należy do plejady duchów tak wielkich, jak Mickiewicz i Norwid. O bogactwie tej organizacji decyduje głębia moralna, trzeźwość intelektu i niezwykła bujność temperamentu; zasób sił, brak jednostronności, zdarzającej się tak często wśród talentów artystycznych. To wszystko pozwoliło wyrazić się jej w tak długiej drodze rozwoju, — mimo zmagań i walk wewnętrznych, mimo przeciwieństw — klasycznie doskonałej jako całość. W okresie kryzysu kultury, w tak trudnych warunkach pracy dla pisarza w Polsce, w okresie tak częstych spaczeń i załamań, przedwczesnych wyjałowień, Kasprowicz należał do wyjątków, nie odstręczających choćby jednym jedynym drobnym rysem. Był to człowiek prosty i silny w najszlachetniejszem tych słów znaczeniu i zarazem najbogatszy w zasoby ducha. Twórczy, walczący jego żywot, pełen harmonji i ukojenia jego schyłek, stanowią krzepiący godność człowieczą wizerunek.

S. K.

Biblioteka Wydziału Zaocznego W. S. P. Kraków

SPIS RZECZY TOMU XXII

Str.

ŻYCIORYS MARCINKOWSKIEGO (Broszura popularna wyd. nakł. Tow. im. St. Staszica, Lwów, 1891) . 7

O CHAŁUBIŃSKIM (Przemówienie podczas odsłonięcia pomnika Chałubińskiego w Zakopanem) pd. „Kurjer Codzienny“ 21. VIII 1903 105

OJCOM NA CHWAŁĘ (Przemówienie na obchodzie Konstytucji Trzeciego Maja w Zakopanem, 3. V 1915) . 110

W 126 ROCZNICĘ KONSTYTUCJI 3 MAJA (Przemówienie wygł. d. 2 Maja 1917 trzeciego roku wielkiej wojny w sali ratuszowej we Lwowie) pd. nakł. Altenberga i sp. Lwów, 1917 119

W SETNĄ ROCZNICĘ SKONU KOŚCIUSZKI (Przemówienie wygł. na uroczystej Akademji, urządzonej 14-go października w teatrze miejskim we Lwowie) pd. nakł. „Książnicy polskiej“, Lwów 1918. 131

O MIŁOŚCI OJCZYZNY (Przemówienie wygł. w sali ratuszowej we Lwowie, 3. IX 1920.) pd. „Słowo Polskie“ nr. 418, 421, 1920 146

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE P.T.N. 14. IV 1919 pd. w publikacji „Zjazd Nauczycielski“ nr. 2, 1919 . 158

PRZEMÓWIENIE REKTORSKIE PRZY WRĘCZENIU HONOROWYCH DOKTORATÓW kard. Mercier, Marsz. Fochowi, Prezydentowi Poincaré, Hooverowi

Str.
i prof. Lordowi — pd. „Gazeta Warszawska“ 30. V 1922 r. 162
PRZEMÓWIENIE NA AKADEMJI KU CZCI MARCINKOWSKIEGO pd. „Kurjer Pozn.“ nr. 131, 1923 167

KORESPONDENCJE Z CZASÓW STUDENCKICH

Z Wrocławia 29. XII. 1885 (pod pseud. Piotr Huta) I. „Kraj“ nr. 1. 1886 175
Z Wrocławia 20. VII. 1886 (pod pseud. Piotr Huta) II. „Kraj“ nr. 24. 1886 184
Z Wrocławia 10. VIII. 1886 (pod pseud. Piotr Huta) III. „Kraj“ nr. 34. 1886 185
Z Wrocławia 30. IX. 1886 (pod pseud. Piotr Huta) IV. „Kraj“ nr. 40. 1886 198
Kronika Śląska (pod pseud. Fr. Szyba) V. „Przegląd społeczny“ 1886 204
POSŁOWIE TOMU XIX—XXII 216
NOTY BIOGRAFICZNE 219

Druk Tomu XXII i ostatniego wydania zbiorowego dzieł Jana Kasprowicza, ukończono dnia 23 sierpnia 1930 roku.

Biblioteka
Studium
Zaocznego
P. W. S. P.
Kraków

Kasprowicz
Pisma prozą

B IV 33295

Kdn. Zam. 163. 17. III. 52. — 60.000.

UP - Kraków BG
1050210530